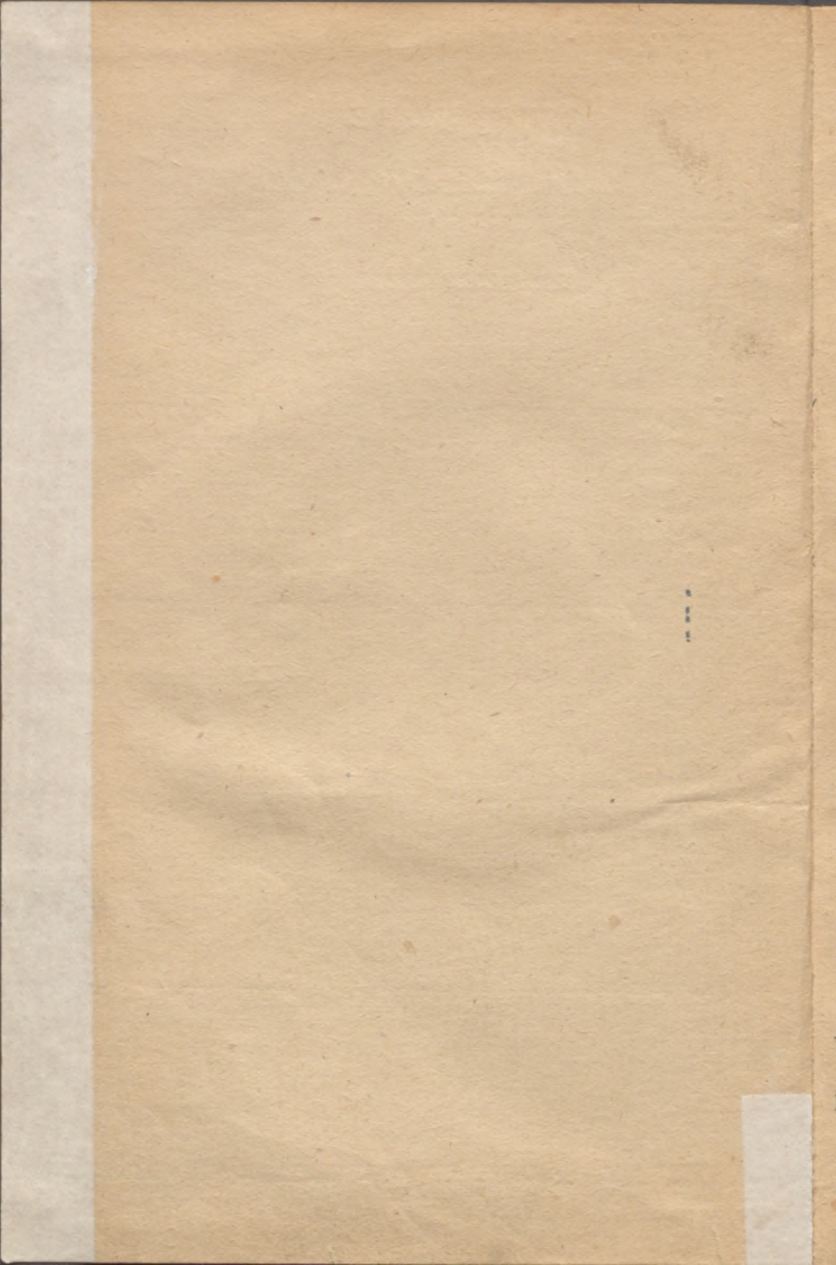


OSKAR WILDE

PISMA ZEBRANE

TOM PIERWSZY



163221

OSKAR WILDE

37132

OBRAZ
DORJANA GRAY'A

PRZEKLAD

MARJI FELDMANOWEJ

PISMA
ZEBRANE

1

W A R S Z A W A — 1 9 2 2
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



163221

II

K. 708/51

CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie

PRZEDMOWA.

Artysta jest twórcą piękna.

Objawiać sztukę, ukrywać artystę — oto cel sztuki.

Krytykiem jest, kto swe własne wrażenia piękna umie w odmiennej wyrazić formie, w nowym przejawieć materiale.

Zarówno najwyższa jak najniższa forma krytyki jest pewnego rodzaju autobiografią.

Kto w pięknie odnajduje sens brzydkiego, jest zepsutym, wcale nie będąc czarującym. To błąd.

Kto w pięknie odnajduje sens pięknego, posiada kulturę. Ma przyszłość.

Wybrani są ci, dla których piękno posiada li znaczenie piękna.

Niema książek moralnych lub niemoralnych. Są książki napisane dobrze lub źle. Nic więcej.

Niechęć dziewiętnastego stulecia do realizmu jest wściekłością Kalibana, widzącego w zwierciadle własną swoją twarz.

Niechęć dziewiętnastego wieku do romantyzmu jest wściekłością Kalibana, nie widzącego w zwierciadle swojej twarzy.

Etyczne życie człowieka stanowi część mate-

raju artysty, ale etyka sztuki polega na doskona-
 łem użyciu niedoskonałego środka.

|| Żaden artysta nie pragnie czegoś dowieść. Na-
 wet rzeczy prawdziwe dadzą się dowieść.

|| Żaden artysta nie posiada sympatyj etycznych.
 Sympatja etyczna jest u artysty niewybaczalnem
 zmanierowaniem stylu.

|| Żaden artysta nie jest chorobliwym.

Artysta może wyrażać wszystko.

Myśl i język są dla artysty narzędziami sztuki.

Cnota i występki są dla artysty materiałem
 sztuki.

Ze stanowiska formy typem sztuki jest mu-
 zyka. Ze stanowiska uczucia, typ jest sztuką
 aktorską.

Wszelka sztuka jest zarazem powierzchnią i sym-
 bolem.

Kto sięga pod powierzchnię, czyni to na wła-
 sną odpowiedzialność.

Kto kocha symbol, czyni to na własną odpo-
 wiedzialność.

W rzeczywistości sztuka odzwierciedla obser-
 watora, nie życie.

Rozmaitość zdań o dziele sztuki dowodzi, że
 dzieło jest nowe, skomplikowane i zdolne do
 życia.

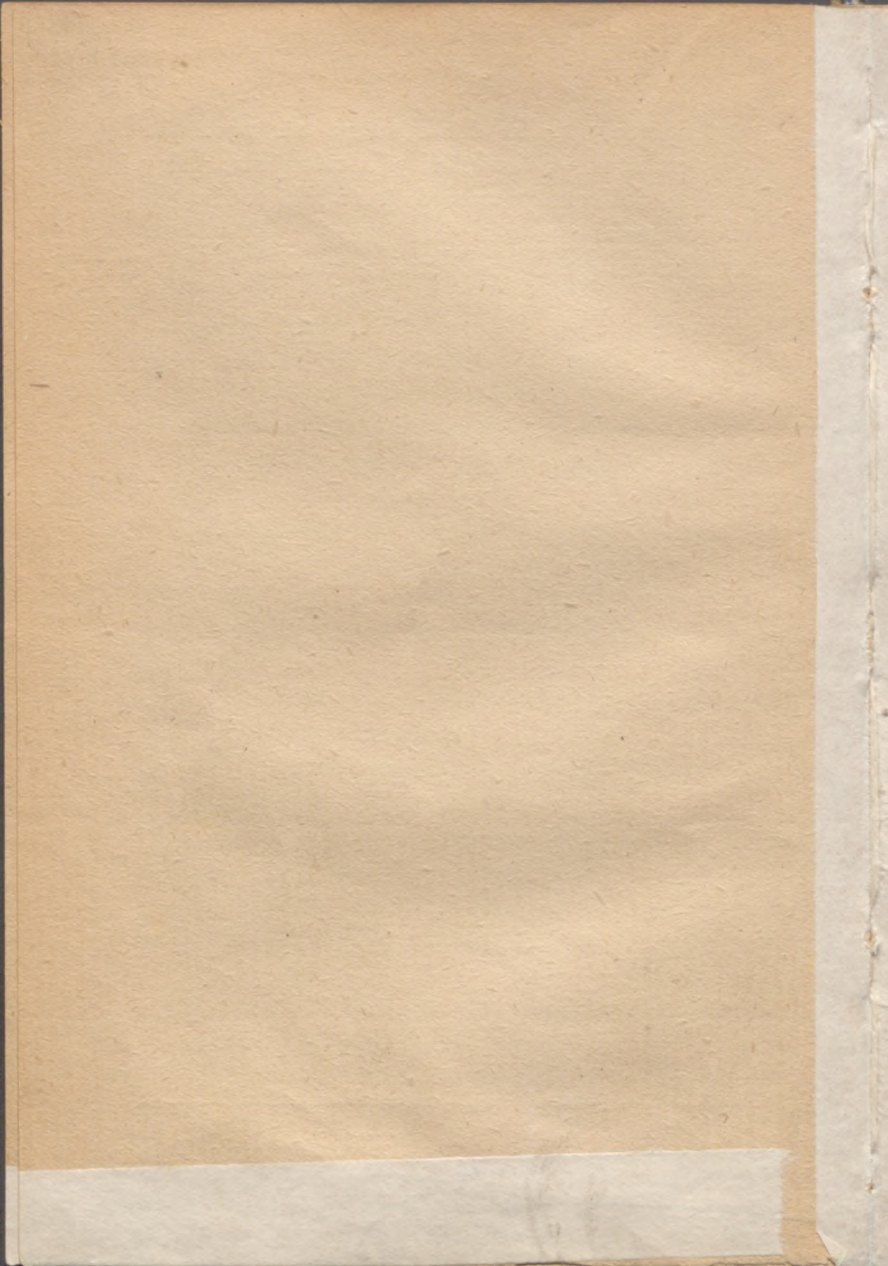
|| Niezgodność krytyków między sobą, dowodzi
 zgodności artysty z sobą.

Możemy komuś wybaczyć, że stwarza coś

użytecznego, dopóki dzieła swego nie podziwia.
Jedynem usprawiedliwieniem dla człowieka, który
stwarza coś bezużytecznego, jest wielki podziw dla
swego dzieła.

/ / / / Wszelka sztuka jest bezużyteczna.

Oskar Wilde.



I.

Miękka woń róż napelniała pracownię, a ilekroć wietrzyk letni musnął drzewa w ogrodzie, przez otwarte drzwi wnikał ciężki zapach bzu, lub mniej intensywna woń kwitnącego głogu.

Z kąta, leżąc na perskim dywanie i wypalając jak zwykle niezliczone mnóstwo papierosów, lord Henry Wotton mógł jeszcze chwycić refleksy rozkwitłego krzewu wielokwiatu o miodnej woni i barwie: drżące jego gałązki z trudem zdawały się dźwigać ciężar swej płomiennej piękności. Tu i owdzie fantastyczne cienie przelatujących ptaków zamigotały na tle jedwabnych firanek, co spływały wzdłuż szerokich okien, a cienie te wywoływały na chwilę wrażenie obrazów japońskich. Wtedy lord myślał o owych malarzach z Tokio, o wąskich bladych twarzach, którzy za pomocą sztuki z konieczności nieruchomej, starają się wywoływać wrażenie życia i ruchu. Stłumione brzęczenie pszczoł, z trudem szukających sobie drogi wśród wysokiej, niekoszonej trawy, lub z monotonną wytrwałością wirujących dokoła złotych pyłków kwieciami wi-ciokrzewu, potęgowało jeszcze panującą wokół ciszę. Stłumiony gwar Londynu przypominał głębokie tony dalekich organów.

W pośrodku pokoju, na pionowo ustawionych sztalugach stał naturalnych rozmiarów obraz młodego człowieka niezwykłej piękności, a w pewnej odległości od obrazu siedział artysta sam, Bazyli Hallward, który nagle zniknięciem przed paru laty wywołał był wielką wrzawę, dostarczając materiału do najrozmaitszych przypuszczeń.

Uśmiech zadowolenia przemknął i osiadł na twarzy malarza, wpatrującego się w tę wdzięczną a zarazem wspaniałą postać, którą stworzył swym artyzmem. Nagle jednak zerwał się, przymknął oczy i palce położył na powiekach, jakby w mózgu swym chciał uwięzić dziwny sen, z którego obawiał się przebudzić.

— Najlepsze twoje dzieło, Bazyli, najlepsze z wszystkich, jakie kiedykolwiek stworzyłeś — nieco znużonym głosem ozwał się lord Henry. — Musisz je na przyszły rok postać na wystawę Grosvenorską. Akademia zbyt wielka i zbyt banalna. Ilekroć tam byłem, zastawałem zawsze tylu ludzi, że nie mogłem widzieć obrazów — co było okropne, lub też tyle obrazów, że nie mogłem widzieć ludzi, co było jeszcze znacznie gorsze. Pozostaje zatem tylko wystawa Grosvenorska.

— Zdaje mi się, że obrazu tego nie dam na żadną wystawę — odparł malarz, odrzucając głowę w tył, jak to już był czynił w Oxfordzie, do śmiechu pobudzając kolegów.

— Nie, nie dam go nigdzie!

Lord Henry podniósł brwi i poprzez mgliste, błękitne kółeczka dymu, w fantastycznych zwojach unoszącego się z jego ciężkiego, opjumentem nasyconego papierosa, ze zdumieniem spojrzał na malarza.

— Nie dasz na wystawę? Ale czemu, chłopcze drogi? Czy masz jaki powód? Doskonałe okazy z was malarzy! Wszystko robicie by zdobyć sławę, a gdy ją zdobędziecie, wydaje się jakobyście się jej najchętniej chcieli pozbyć. To z waszej strony głupio, bo jedyną rzeczą gorszą od tego że o nas mówią, jest to, że o nas nie mówią. Taki obraz mógłby cię wynieść nad wszystkich młodych artystów Anglii i wzbudzić zazdrość starych — gdyby wogóle starzy ludzie zdolni byli do jakiegokolwiek uczucia.

— Wiem, że się będziesz śmiał ze mnie — odparł malarz — ale istotnie nie mogę tego obrazu wystawić. Za wiele weni włożyłem z siebie samego.

Lord Henry wyciągnął się na dywanie i począł się śmiać.

— Tak wiedziałem, że będziesz się śmiać, a jednak tak jest.

— Włożyłeś za wiele z siebie samego! Dali-bóg, nie wiedziałem, że jesteś tak próżny. Ja bo istotnie nie mogę znaleźć podobieństwa między twoją surową, ostrą twarzą i kruczym włosiem, a tym Adonisem, który wygląda, jakby był cały z kości

słoniowej i listków róży. Nie, mój drogi Bazyli, toż to narcyz, a ty — no, bezwątpienia masz w twarzy wyraz uduchowienia i tak dalej, ale piękność, prawdziwa piękność kończy się tam, gdzie się zaczyna uduchowienie. Uduchowienie jest już samo w sobie rodzajem przesady i psuje harmonję każdej twarzy. Niech tylko człowiek się zamyśli, zaraz cały się staje nosem lub czołem, lub cokolwiek innem szpetnem. Spojrz tylko na ludzi pracujących z powodzeniem w jakimś zawodzie naukowym. Jacyż brzydcy! Oczywiście z wyjątkiem dygnitarzy kościelnych. Ale też w kościele wcale się nie myśli. Biskup ośmdziesięcioletni mówi zupełnie to samo, czego go uczono gdy miał lat ośmnaście i dlatego też zawsze wygląda zachwycająco. Twój tajemniczy młodzieniec, którego nazwiska nigdy mi nie wymieniłeś, ale którego obrazem jestem istotnie oczarowany, na pewno nigdy nie myśli. Jestem przekonany. Jest bezmyślną piękną istotą, która zawsze powinna tu być w zimie, kiedy nie mamy kwiatów, a także w lecie, kiedy nam potrzeba czegoś dla ochłodzenia naszej hiperkultury. Nie pochlebiaj sobie Bazyli: wcale a wcale nie jesteś do niego podobny.

— Nie rozumiesz mnie Henry — odparł artysta. — Naturalnie, że nie jestem do niego podobny. Wiem o tem tak samo dobrze jak ty. I szkoda byłoby gdybym był do niego podobny. Wzruszasz ramionami? Mówię jednak prawdę. Pewnego

rodzaju fatalizm unosi się nad każdą niezwykłością fizyczną czy duchową — fatalizm, który w historii stąpa za ociągłiwymi krokami królów. Lepiej nie być innym od swych bliźnich. Brzydkim i głupim najlepiej na tym świecie. Mogą żyć jak im się podobą i przyglądać się zabawie. Jeśli nic nie wiedzą o zwycięstwie, to bywa im też zaoszczędzona świadomość klęski. Żyją, jak powinniśmy żyć wszyscy, cicho, obojętnie, bez niepokoju. Nie sprowadzają zguby na drugich, ale też i drudzy nie sprowadzają jej na nich. Twoje stanowisko, Henry, twój dobrobyt, mój umysł, jakimkolwiek on jest, mój talent, cokolwiek on wart, piękność Dorjana Gray'a — wszyscy my odpokutujemy za to, co nam bogowie dali — odpokutujemy strasznie.

— Dorjan Gray? Więc tak się nazywa? — podjął lord Henry, zbliżając się do Bazylego Hallwarda.

— Tak, tak się nazywa. Nie miałem zamiaru ci tego powiedzieć.

— Dlaczego nie?

— Ach, nie mogę ci tego wytłumaczyć. Jeśli kogo bardzo kocham, przed nikim nie wymieniam jego nazwiska. Zdaje mi się, jakobym poświęcał część z niego samego. Nauczyłem się kochać tajemniczość. Zdaje się, że ona jedna może życie nasze uczynić niezwykłym i cudownym. Najpowszechniejsza rzecz zyskuje urok, gdy się ją zachowuje w tajemnicy. Gdy wyjeżdżam z Londynu, nikomu

nie mówię dokąd. Gdybym to zrobił, pozbawiłbym się całej przyjemności. Może to nierozsądne, ale mnie się wydaje, że taka tajemniczość wnosi w nasze życie trochę romantyzmu. Obawiam się, że mnie będziesz uważał za strasznie dziecinnego.

— Wcale nie — odparł lord Henry — wcale nie, mój drogi Bazyli. Zapomniałeś zapewne, że jestem żonaty i że urok małżeństwa na tem właśnie polega, że wzajemne łudzenie się jest tu nieodzownem. Ja nigdy nie wiem, gdzie jest moja żona, a moja żona nie wie nigdy o moich zamiarach. O ile się spotykamy — a zdarza się to czasem, gdy jesteśmy gdzieś razem zaproszeni, lub idziemy do księcia — wtedy z najpoważniejszą miną opowiadamy sobie najgłupsze rzeczy. Moja żona to umie — lepiej nawet odemnie. Ona nigdy nie jest w kłopotcie, gdy chodzi o daty — ja zawsze. Ale jeśli mnie nawet przychwyci, to wcale mi nie urządza sceny z tego powodu. Czasem chciałbym aby to zrobiła, ale ona poprzestaje na wyśmianiu mnie.

— Nie cierpię, gdy się w ten sposób wyrażasz o swem małżeństwie — rzekł Bazyli Hallward, podchodząc do drzwi wiodących do ogrodu. — Jestem pewny, że jesteś bardzo dobrym mężem i wstydzisz się tylko swoich cnót. Dziwny z ciebie człowiek. Nigdy nie powiesz nic moralnego, a nigdy nie zrobisz nic złego. Twój cynizm nie jest niczem innem jak pozą.

— Naturalność nie jest niczem innym jak pozą i to pozą najbardziej drażniącą ze wszystkich jakie znam — ze śmiechem zawołał lord Henry.

Obaj młodzi mężczyźni wyszli do ogrodu i usiedli na długiej ławie bambusowej, ustawionej w cieniu dużego krzewu wawrzynu. Promienie słońca ślizgały się po błyszczących liściach. W trawie drżały małe stokrótki.

Po chwili lord Henry wyjął zegarek.

— Trzeba mi odejść Bazyli — rzekł — ale za nim pójdę, obstaję byś mi odpowiedział na pytanie, które ci wprawdzie zadałem.

— Na jakie pytanie? — spytał malarz nie podnosząc oczu.

— Wiesz doskonale.

— Doprawdy, że nie.

— Więc ci powtórzę. Chciałbym, abyś mi wyjaśnił, dlaczego nie chcesz wystawić obrazu Dorjana Gray'a. Chciałbym znać prawdziwy powód.

— Podałem ci go.

— O, nie. Powiedziałeś, że za wiele włożyłeś w obraz ten z siebie samego. To przecież dzieciństwo.

— Harry — rzekł Bazyli Hallward, patrząc mu prosto w twarz — każdy obraz malowany z przejęciem jest obrazem artysty, nie zaś modelu. Portretowany jest tylko pobudką, okazją. Nie jego, ale raczej siebie samego malarz odsłania na płótnie. Powód, dla którego nie chcę obrazu tego wystawiać,

jest ten, że obawiam się czy nie odsłoniłem w nim tajemnicy własnej duszy.

Lord Henry się zaśmiał.

— A tą tajemnicą?

— Powiem ci — rzekł Hallward, ale po twar-
czy jego przemknął wyraz pomieszania.

— Cały jestem oczekiwaniem, Bazyli — rzekł
lord patrząc na niego.

— Właściwie niewiele tu do opowiadania —
odparł malarz — i obawiam się czy mnie zrozu-
miesz. Może nawet nie uwierzysz.

Po twarzy lorda Henryka przemknął uśmiech.
Przechylił się, zerwał różową stokrótkę i jął się jej
przyglądać.

— Jestem pewny, że zrozumię — rzekł, wpa-
trując się uważnie w drobny, złotawy, pierzasty
listeczek — a co się tyczy wiary, to mogę uwie-
rzyć we wszystko, o ile jest bodaj trochę niepraw-
dopodobnem.

Wiatr strząsnął z drzewa nieco kwiecica, a cięż-
kie pęki bzu rozkwitłego, leniwie kołysały się w par-
nem powietrzu. Konik polny ćwierkał koło muru,
a długa, cieniuchna jętka o brązowych skrzydeł-
kach z gazy, mignęła niby błękitna niteczka. Lord
miał wrażenie, że słyszy bicie serca Bazylego Hall-
warda i ze zdumieniem czekał co nastąpi.

— Rzecz jest poprostu taka — począł malarz
po chwili. — Przed dwoma miesiącami poszedłem
na przyjęcie do lady Brandon. Wiesz, że my, nie-

szczęśni artyści, musimy się od czasu do czasu pokazywać w towarzystwie, aby publiczności przypomnieć, że nie jesteśmy dzikimi ludźmi. Powiedziałeś raz, że w stroju wizytowym, w białym krawacie, nawet makler giełdowy może zdobyć reputację człowieka cywilizowanego. Otóż zaledwie dziesięć minut byłem w pokoju, rozmawiając z niesłychanie przesadnie postrojonemi wdowami i nudnymi akademikami, gdy nagle uczułem, że ktoś na mnie patrzy. Odwróciłem się nawpół i poraz pierwszy ujrzałem Dorjana Gray'a. Gdy spojrzenia nasze się spotkały, uczułem, że błdnę. Zdjęło mnie dziwne uczucie lęku. Wiedziałem, że stoję naprzeciw człowieka, którego sama osobistość jest tak fascynującą, że jeśli się jej poddam, wchłonę całą moją istotę, całą moją duszę, całą moją sztukę. Nie chciałem, aby życie moje podlegało wpływom zewnętrznym. Sam przecie wiesz, Harry, jak jestem z natury niezależny. Byłem zawsze własnym swym panem, byłem nim, zanim spotkałem Dorjana Gray'a. Wtedy... nie wiem, jak ci to wytłómaczyć, ale coś zdawało mi się mówić, że stoję przed strasznym przełomem w mem życiu. Miałem dziwne przeczucie, że los ma dla mnie w pogotowiu wyjątkowe radości i wyjątkowe cierpienia. Przerażony odwróciłem się, by wyjść z pokoju. Nie sumienie mnie wypędzało, ale pewnego rodzaju tchórzliwość. Nie chcę wcale upiększać, że chciałem poprostu umknąć.



— Sumienie i tchórzliwość, to w gruncie rzeczy jedno i to samo, Bazyli. Sumienie jest firmą spółki. Oto wszystko.

— W to ja nie wierzę, Henry, i nie wierzę też, abyś ty w to wierzył. Ale jakikolwiek był powód — może nim była duma, bo byłem bardzo dumny — dość, że wysuwałem się ku drzwiom. I wtedy zetknąłem się naturalnie z lady Brandon.

— Wszak pan nie zamierza już uciekać, Mr. Hallward? — krzyknęła. — Znasz przecież jej specjalnie krzykliwy głos.

— O, tak, wszystko w niej jest pawie z wyjątkiem piękności — rzekł lord Henry, długimi nerwowymi palcami rozstrzępiając stokrótkę.

— Nie mogłem się jej pozbyć. Prowadziła mnie do Królewskich Wysokości i ludzi uorderowanych i ugwieżdżonych, do starszych dam w olbrzymich tjarach i o papuzich nosach. Nazywała mnie najdroższym przyjacielem. Raz w życiu się z nią widziałem, niemniej uwzięła się by mnie zrobić lwem towarzystwa. Zdaje mi się, że właśnie któryś z moich obrazów cieszył się wielkiem uznaniem, przy najmniej gazety się nim zajmowały, no a podług tego przecież mierzy się w dziewiętnastym wieku nieśmiertelność. Nagle znalazłem się naprzeciw człowieka, którego osobistość tak dziwnie mną wstrząsnęła. Staliśmy tuż obok siebie i dotykaliśmy się niemal. Oczy nasze się spotkały. Z mojej strony było to może nierozwagą, ale poprosiłem lady

Brandon, by mnie przedstawiła. A może w gruncie rzeczy nie było to jednak nierozwagą. Było poprostu czemś nieuniknionem. I bez przedstawienia bylibyśmy z sobą mówili. Jestem tego pewny. I Dorjan mi to później powiedział. I on czuł, że przeznaczeniem naszym było, abyśmy się poznali.

— A jak lady Brandon opisała tego cudownego młodzieńca? — spytał lord Henry. — Wiem że o wszystkich swoich gościach daje krótkie *précis*. Przypominam sobie, jak mnie prowadziła do jakiegoś starego pana o czerwonej brutalnej twarzy, całkiem okrytego orderami i wstęgami, i tragicznym szeptem, który wszyscy w pokoju mogli doskonale słyszeć, trąbiła mi do ucha najdziwniejsze o nim szczegóły. Uciekłem poprostu. Lubię wyrabiać sobie o ludziach zdanie osobiste. Ale lady Brandon postępuje ze swymi gośćmi jak akcjonariusz ze swym towarem. Albo ich wcale nie zna, albo opowiada o nich wszystko, prócz tego coby się chciało wiedzieć.

— Biedna lady Brandon! Zbyt ostro ją sądzisz, Harry! — rzekł Bazyli Hallward z roztargnieniem.

— Mój drogi, posłuchaj: chciała otworzyć salon, a udało jej się otworzyć tylko restaurację. Jakże ją mam podziwiać? Ale co powiedziała o Dorjanie Gray'u?

— Ach, coś w tym rodzaju: cudowny chłopiec — dobra biedna matka nierozłączną moją przyjaciółką — całkiem zapomniałam, czem się zaj-

muje — zdaje się, że niczem — a, prawda... gra na fortepianie, czy też na skrzypcach, kochany Mr. Gray.

Obydwaj musieliśmy się śmiać i zaraz staliśmy się przyjaciółmi.

— Śmiech, to wcale niezły początek przyjaźni, a najczęściej jest też najlepszym zakończeniem — wtrącił młody lord, zrywając drugą stokrótkę.

Hallward potrząsnął głową.

— Harry, ty nie rozumiesz, czym jest przyjaźń, lub nieprzyjaźń. Lubisz wszystkich, to znaczy, że wszyscy są ci obojętni.

— Jakaż to niesprawiedliwość z twojej strony! — zawołał lord Henry, odrzucając kapelusz i wzno-
sząc oczy ku chmurkom, co niby płatki białego,
lśniącego jedwabiu, mknęły po wydrażonym tur-
kusie letniego nieba. — Tak, strasznie jesteś nie-
sprawiedliwym. Czynię wiele różnic między ludźmi.
Wybieram sobie przyjaciół dla ich piękności, zna-
jomych dla ich dobrego charakteru, a wrogów dla
ich bystrej inteligencji. Człowiek nie może być dość
ogłędny przy wyborze swych wrogów. Ja nie
mam ani jednego, któryby był głupcem. Wszyscy
są ludźmi o wybitnym intelekcie, więc wszy-
scy mnie szanują. Czy to świadczy o wielkiej
próżności? Zdaje mi się, że jestem trochę próżny.

— Ma się rozumieć, Harry. Ale wnioskując
z twego podziału, to ja jestem zapewne tylko twym
znajomym.

— Ależ mój drogi stary! Ty jesteś dla mnie znacznie więcej niż znajomym.

— A znacznie mniej niż przyjacielem. Coś w rodzaju brata zapewne.

— O, brata! Ja sobie niewiele robię z braci. Mój starszy brat nie chce umrzeć, a młodszy, zdaje się, nigdy nie robią nic innego.

— Harry! — wykrzyknął Hallward, ściągając brwi.

— Drogi chłopcze, nie myślałem tego tak całkiem serjo! Ale nie mogę się powstrzymać od nienawidzenia mych krewnych. Może to stąd pochodzi, że nikt z nas nie może znosić innych ludzi, mających te same błędy, co my. Doskonale rozumiem wściekłość angielskiej demokracji na tak zwane występki wyższych klas. Masy czują, że pijaństwo, głupota, niemoralność są ich przywilejem i że każdy z nas, czyniacy z siebie osła, dopuszcza się kłusownictwa w ich obrębie. Kiedy ten biedny Southwark z powodu sprawy rozwojowej stawał przed sądem, oburzenie ich było wprost wspaniałe. A jednak nie wierzę, aby bodaj dziesiąty procent proletariatu prowadził życie nienaganne.

— Nie zgadzam się ani na jedno słowo z tego wszystkiego co powiedziałeś, a co więcej, jestem pewny, że i ty się na to nie zgadzasz.

Lord Henry gładził ciemną, śpiczastą bródkę

i hebanową laseczką uderzał w koniuszek swego lakierka.

— Jakież z ciebie typowy anglik, Bazyli. Po raz drugi robisz już tę samą uwagę. Skoro prawdziwemu anglikowi rzuci się jakąś myśl — co zawsze jest przedwczesnem — nigdy nie przyjdzie mu do głowy zbadać, czy myśl ta prawdziwa czy fałszywa. Jego obchodzi wyłącznie to, czy wypowiadający wierzy w nią, lub nie wierzy. Tymczasem wartość idei zupełnie jest niezależna od człowieka, który ją wypowiada. Istnieje nawet prawdopodobieństwo, że idea jest tem więcej intelektualną, im człowiek jest mniej szczerym, tem mniej bowiem będzie ona zabarwiona jego potrzebami, pragnieniami lub przesadami. Ale nie chcę przecież rozprawiać z tobą o polityce, socjologii lub metafizyce. Mnie więcej się podobają ludzie niż zasady, a ludzie bez zasad więcej, niż wszystko na świecie. Opowiedz mi coś więcej o Mr. Dorjanie Gray'u. Często go widzujesz?

— Codziennie. Nie czułbym się szczęśliwym, gdybym go nie widywał codziennie. Jest mi niezbędnie potrzebny.

— To dziwne! Sądziłem, że nigdy nie będziesz się troszczył o coś innego, prócz swej sztuki.

— On teraz całą moją sztuką — poważnie rzekł młody malarz. — Czasem myślę, że w dziejach świata istnieją tylko dwie ważne epoki. Jedną stanowi wystąpienie nowego medjum w sztuce,

drugą — wystąpienie nowej indywidualności... Czem dla malarzy weneckich było wynalezienie barw olejnych, tem dla rzeźby greckiej była twarz Antinousa. A dla mnie stanie się tem pewnego dnia twarz Dorjana Gray'a. Nie tylko, że podług niego maluję, rysuję, szkicuję — naturalnie, że wszystko to robię — ale poza tem jest on dla mnie czemś znacznie więcej niż modelem lub projektem. Nie mówię, że jestem niezadowolony z tego, co podług niego malowałem, lub że piękność jego jest tego rodzaju, że sztuka nie zdoła jej odtworzyć. Nie istnieje nic takiego, czegoby sztuka nie mogła wyrazić i wiem, że to, co stworzyłem po zetknięciu się z Dorjanem Gray'em, jest dobre — najlepsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek malowałem. A jednak dziwne to jest... nie wiem, czy mnie zrozumiesz... osobistość jego natchnęła mnie zupełnie nowym rodzajem sztuki, nowym stylem. Mogę teraz tworzyć w sposób przedtem mi nieznany. »Sen kształtów w dnie zadumy« — kto to powiedział? Zapomniałem, ale to właśnie wyraża, czem dla mnie stał się Dorjan Gray. Sama obecność tego chłopca — bo w istocie wygląda niemal na chłopca, mimo, że skończył już lat dwadzieścia — sama jego obecność... ach chciałbym wiedzieć, czy ty możesz odczuć, co to wszystko znaczy? Samą swą obecnością odsłania mi bezwiednie linje nowej szkoły, mającej obejmować całą namiętność ducha romantyzmu i całą doskonałość sztuki greckiej. Harmonja

ciała i duszy, jakże to wiele! My w swym obłędzie oddzieliliśmy jedno od drugiego, wynajdując realizm, który jest powszednim i idealizm, który jest pustym. Harry, gdybyś ty wiedział, czym jest dla mnie Dorjan Gray! Wszak przypominasz sobie ów krajobraz, za który mi Agnew ofiarował tak niesłychaną cenę, ale z którym ja się nie chciałem rozstać. Obraz ten należy do najlepszych, jakie namalowałem. A czemu? Ponieważ Dorjan Gray siedział obok mnie, kiedy malowałem. Przenikał mnie w jego obecności jakiś prąd subtelny, i po raz pierwszy w życiu w zwykłym leśnym krajobrazie dostrzegłem ten czar, za którym zawsze tęskniłem, a którego nigdy nie zdołałem uchwycić.

— Bazyli, to coś nadzwyczajnego. Muszę zobaczyć Dorjana Gray'a.

Hallward wstał i zaczął chodzić po ogrodzie. Po chwili wrócił.

— Harry — rzekł — Dorjan Gray jest dla mnie jedynie motywem artystycznym. Ty może nie w nim nie zobaczysz. Ja w nim widzę wszystko. W tem co tworzę, najwięcej jest z niego tam, gdzie wcale niema jego obrazu. On jest inicjatorem nowego stylu, jak już powiedziałem. Odnajduję go w wygięciach pewnych linii, w piękności i subtelności pewnych barw. Oto wszystko.

— A czemu nie chcesz wystawić jego obrazu? — spytał lord Henry.

— Bo bezwiednie w obrazie tym dałem wy-

raz temu memu artystycznemu ubóstwieniu. Oczywiście, że Dorjanowi nigdy o tem nie wspominałem. On o tem nie wie zgoła. Nigdy się nie dowie. Ale świat mógłby odgadnąć, przed bezmyślnymi, ciekawymi oczyma tłumu nie chcę obnażać swej duszy. Nie chcę kłaść swego serca pod jego mikroskop. Za wiele w obrazie tym ze mnie samego, Harry, za wiele mnie samego.

— Poeci nie są tak skrupulatni jak ty. Wiedzą, jak bardzo namiętność sprzyja zdobywaniu popularności. Złamane serce doczeka się dzisiaj mnóstwa wydań.

— Nienawidzę ich za to! — zawołał Hallward. — Artysta powinien stwarzać piękno, ale nie wkładać w nie nic ze swego życia. Żyjemy w epoce kiedy ludzie tak się obchodzą ze sztuką, jak gdyby ona była przeznaczona do pewnego rodzaju autobiografji. Zatraciliśmy abstrakcyjny zmysł piękna. Pewnego dnia ja go pokażę światu, i dla tego to świat nigdy nie zobaczy mego obrazu Dorjana Gray'a.

— Zdaje mi się, Bazyli, że postępujesz niesłusznie, ale nie chcę się z tobą sprzeczać! Tylko bankruci umysłowi prowadzą sprzeczki. Ale powiedz mi, czy Dorjan Gray bardzo cię kocha?

Malarz namyślał się przez chwilę.

— Bardzo mnie lubi — odparł po chwilowem milczeniu — wiem, że mnie lubi. Naturalnie, że mu strasznie pochlebam. Dziwną mi sprawia przy-

jemność mówić mu rzeczy, o których wiem, że ich później pożałuję. Zwykle okazuje mi dużo sympatji. Siedzimy w pracowni i rozprawiamy o tysiącnych rzeczach. Czasem jest okropnie bezmyślny i zdaje się wprost znajdować przyjemność w udręczaniu mnie. I wtedy, Harry, czuję, że całą swą duszę oddałem człowiekowi, który się z nią obcho-
dzi jak z kwiatem do butonierki, lub skrawkiem dekoracji, schlebiającym jego próżności, lub ze stroikiem, służącym na jeden dzień letni.

— Bazyli, w lecie dni się dłużą — mruknął lord Henry. — Może ty się nim rychlej znudzisz, niż on tobą. Smutno się robi na tę myśl, ale bezwątpienia genjusz trwa dłużej niż piękność. To wyjaśnia fakt, dlaczego wszyscy zadajemy sobie tyle trudu, aby się stać hiperkulturownymi. W dziekiej walce o byt potrzeba nam czegoś, co trwa, i dlatego zapełniamy sobie umysł gruzami i faktami, w głupiej nadziei utrzymania się na swem stanowisku. Główek wszechstronnie wykształcony, to ideał nowoczesny. A dusza takiego wszechstronnie wykształconego człowieka jest czemś strasz-
nem. Wygląda niby jakiś bric-à-brac-magazyn, pełen okropności i kurzu, gdzie wszystko ocenia się powyżej wartości... Mimo to sądzę, że ty się nim znudzisz pierwszy. Pewnego dnia spojrzysz na swego przyjaciela i dostrzeżesz, że jest trochę prze-
rysowany, albo rozdrażni cię coś w jego kolory-
cie, lub coś podobnego. W duchu będziesz mu

czynił gorzkie wymówki, z głękokiem przeświadczeniem, że ci wyrządził krzywdę. A gdy znów przyjdzie do ciebie, będziesz dlań zimny i obojętny. Smutne to, ponieważ zmieni ciebie. Co mi opowiedziałeś, to cały romans. Można by go nazwać romansem artystycznym, a najgorszą rzeczą każdego romansu jest to, że robi ludzi tak bardzo nieromantycznymi.

— Harry, nie mów tak! Póki życia, będę pod wpływem osobistości Dorjana Gray'a. Ty nie możesz odczuć tego, co ja czuję. Zbyt często się zmieniasz.

— Ach, drogi mój Bazyli, właśnie dlatego mogę to odczuć. Wierni znają tylko trywialną stronę miłości: niewierni znają jej tragedję.

I lord Henry potarł zapalstkę o śliczną srebrną papierośnicę i zapalił papierosa z miną tak pełną zadowolenia i godności, jakoby świat cały ujął był tem jednym określeniem.

Wśród ciemnej zieleni bluszczu ćwierkały wróble, a błękitne cienie obłoków przemykały po trawie jak jaskółki. Jak pięknie było w ogrodzie! I jak zajmujące były uczucia drugich ludzi — wydawały mu się znacznie więcej zajmującemi od ich myśli. Własna dusza i namiętności przyjaciół — one to nadawały życiu urok. Z cichą radością wyobrażał sobie nudne śniadanie, które go ominęło, ponieważ tak długo bawił u Bazylego Hallwarda. Gdyby był poszedł do ciotki, niewątpliwie byłby

tam spotkał lorda Goodberry'ego i cała rozmowa byłaby się obracała koło kwestji wyżywiania biednych i konieczności zakładania domów poprawy. Każda klasa byłaby wygłaszała kazania o ważności cnót, do których praktykowania nie miała we własnem życiu sposobności. Bogaci byliby mówili o wartości oszczędności, a próżniacy o godności pracy. Jakto świetnie, że zdołał się uwolnić od tego wszystkiego.

Myśl o ciotce nasunęła mu pewne przypomnienie. Zwrócił się do Hallwarda i rzekł:

— Mój drogi, teraz sobie przypominam.

— Co sobie przypominasz, Harry?

— Przypominam sobie gdzie słyszałem już poprzednio nazwisko Dorjana Gray'a.

— Gdzież to było? — spytał Hallward, lekko marszcząc czoło.

— No, Bazyli, nie patrz na mnie tak gniewnie. To było u mojej ciotki, lady Agaty. Mówiła mi, że odkryła cudownego młodego człowieka, który jej będzie pomagał w East End i że młodzieniec ten nazywa się Dorjan Gray. Muszę co prawda dodać, że nigdy nie wspominała mi o jego piękności. [Kobiety nie umieją oceniać piękności, przynajmniej dobre kobiety tego nie umieją.] Mówiła mi o nim, że jest bardzo poważny i ma piękny charakter. Wyobrażałem sobie już chuderławę stworzenie w okularach, o rzadkich włosach, stra-

szliwie piegowate, z olbrzymiemi nogami. Szkoda, że nie wiedziałem, że to twój przyjaciel.

— Cieszę się, Harry, że o tem nie wiedziałeś.

— Dlaczego?

— Bo nie chcialbym, abyś się z nim zetknął.

— Nie chciałbyś, abym się z nim zetknął?

— Nie.

— Mr. Dorjan Gray jest w pracowni — zameldował służący, który właśnie wszedł do ogrodu.

— Teraz musisz mnie przedstawić — ze śmiechem zawołał lord Henry.

Malarz zwrócił się do służącego, który stał w słońcu, mrużąc oczy.

— Parkerze, poproś Mr. Gray'a, by zaczekał chwilę. Zaraz tam przyjdę.

Służący skłonił się i wyszedł.

Wtedy Hallward spojrzał na lorda.

— Dorjan Gray jest najdroższym moim przyjacielem — rzekł. — Z natury jest prosty i sympatyczny. Ciotka twoja miała słusność we wszystkim, co o nim powiedziała. Nie psuj go. Nie staraj się zdobyć nad nim wpływu. Twój wpływ byłby dla niego zgubnym. Świat tak wielki i tylu jest ludzi niezwykłych. Nie zabieraj mi tego jednego człowieka, nadającego sztuce mej cały urok. Życie moje jako artysty zależy od niego. Pamiętaj, Harry, że ci ufam.

Mówił bardzo powoli i zdawało się, że słowa te wymuszano na nim, wbrew jego woli.

— Cóż ty za głupstwa wygadujesz! — z uśmiechem rzekł lord Henry i, ująwszy pod ramię Hallwarda niemal pozbawionego woli, poprowadził go do mieszkania.

II.

Gdy weszli, zobaczyli Dorjana Gray'a. Siedział przy fortepianie, odwrócony od nich plecami i przewracał kartki szumanowskiego zbioru »Sceny leśne«.

— Bazyli, musisz mi to pożyczyć — zawołał. — Chcę wyćwiczyć. To prześliczne rzeczy.

— Zależy od tego, jak dziś będziesz pozował, Dorjanie.

— Ach, dość już mam tego pozowania i nic mi nie zależy na własnym portrecie naturalnej wielkości — odparł Dorjan Gray przekornie, niby nadąsany dzieciak rzucając się na krzesło.

Na widok lorda Henryka, spłonął przelotnie i zrywając się z miejsca rzekł:

— Wybacz, Bazyli, ale nie wiedziałem, że nie jesteś sam.

— Lord Henry Wotton, dawny przyjaciel z Oxfordu — przedstawił malarz. — Właśnie mi opowiadałem, jak doskonale pozujesz, a oto wszystko zepsułeś.

— Nie zepsułeś mi przyjemności poznania pana — rzekł lord Henry, przystępując do Dorjana i podając mu rękę. — Ciotka moja często mi o panu opowiada. Jest pan jednym z jej ulubieńców i, jak się obawiam, jedną z jej ofiar.

— Chwilowo figuruję u lady Agaty na czarnej liście — odparł Dorjan Gray z komicznym wyrazem skruchy. — Przyrzekłem zeszłego wtorku towarzyszyć jej do jakiegoś klubu w Whitechapel i na śmierć zapomniałem o tej całej historii. Mieliśmy grać razem duet — nawet trzy duety podobno. A teraz nie mam już odwagi jej odwiedzić.

— Ach, już ja pana pogodzę z moją ciotką. Jest panem zachwycona i nie sądzę, aby pańska nieobecność zbyt była zaszkodziła. Słuchacze myśleli zapewne, że to duet. Gdy ciotka Agata siada do fortepianu, wali w niego za dwoje.

— Niezbyt to pochlebne dla niej, a i mnie nie zrobił pan komplementu — z uśmiechem odparł Dorjan.

Lord Henry mu się przyglądał. Tak, był istotnie cudownie piękny, z delikatnie zarysowanymi purpurowymi ustami, z pogodnemi, błękitnemi oczyma i falistym złotym włosom. W twarzy jego było coś takiego, co natychmiast budziło doń zaufanie. Malowała się w niej cała szczerokość młodości i cała niepokalana czystość. Czuć było, że świat go je-

szcze nie skaził. Nic dziwnego, że Hallward go uwielbiał.

— Zbyt pan zachwycającym, Mr. Gray, aby być filantropem — zbyt zachwycającym. I lord Henry osunął się na sofę i otworzył papierośnicę.

Malarz tymczasem zajęty był mieszaniem farb i porządkowaniem pędzli. Wyglądał jakby go coś dręczyło, a usłyszawszy ostatnią uwagę lorda Henryka, spojrzał na niego i po chwilowem wahaniu rzekł:

— Harry, chciałbym dziś skończyć ten obraz. Czy bardzo byś się pogniewał, gdybym cię prosił, abys odszedł?

Lord Henry się uśmiechnął i spojrzał na Dorjana Gray'a.

— Mr. Gray, czy mam odejść? — spytał.

— Ależ nie! Proszę o to, lordzie Henryku. Bazyli dzisiaj jest znów w złym humorze, a wtedy go nie cierpię. Zresztą musi mi pan powiedzieć, dlaczego nie nadaję się na filantropa.

— Nie sędzę, Mr. Gray, abym to panu miał powiedzieć. To nudny temat, który należałoby traktować poważnie. Ale odejść, to chyba nie odejdę, skoro pan mnie prosi, abym został. Tobie to w gruncie rzeczy obojętne, nieprawdaż, Bazyli? Nieraz mi mówiłeś, że lubisz, gdy model twój z kimś rozmawia.

Hallward zagryzł usta.

— Skoro Dorjan sobie tego życzy, to musisz

oczywiście zostać. Kaprysy Dorjana są prawem dla każdego, z wyjątkiem jego samego.

Lord Henry ujął za łaskę i kapelusze.

— Bardzo jesteś uprzejmy, Bazyli, ale muszę odejść. Przyrzekłem się z kimś spotkać. Żegnam pana, Mr. Gray. A zajdź pan do mnie którego popołudnia — na Curzon=Street. Prawie zawsze jestem w domu około piątej. W każdym razie proszę mi wpierw napisać. Byłoby mi przykro, gdyby mnie pan nie zastał.

— Bazyli — zawołał Dorjan Gray — jeśli lord Henry Wotton odejdzie, to ja też odchodzę. Nigdy nie otworzysz ust gdy malujesz, a to strasznie nudno stać tak na podjum i do tego jeszcze robić przyjemną minę. Poproś go, aby został. Obstawaj przy tem!

— Zostań Harry, by Dorjanowi zrobić przyjemność, no i... mnie także — rzekł Hallward, nie odwracając oczu od obrazu. — To prawda, że podczas roboty nigdy nie mówię i nie słucham też, co do mnie mówią. Musi to być strasznie nudne dla moich nieszczęśliwych modeli. Proszę cię, zostań.

— Ale co będzie z tym panem, z którym miałem się teraz spotkać?

Malarz się roześmiał.

— To chyba nie będzie przeszkodą. Siadaj, Harry. A teraz Dorjanie wejdź na podjum i nie ruszaj się za wiele. Nie potrzebujesz zważać na

to, co mówi lord Henry. On na wszystkich swych przyjaciół z wyjątkiem mnie, zgubny wywiera wpływ.

Dorjan Gray wszedł na podjum z miną młodego greckiego męczennika, porozumiewający gest lekkiego niezadowolenia rzucając w stronę lorda Henryka, który podobał mu się nadzwyczajnie. Był tak zupełnie inny od Bazylego. Stanowili obaj wspaniały kontrast. I miał tak piękny głos. Po chwilowej pauzie, Dorjan zwrócił się do niego.

— Czy wpływ pański jest istotnie tak zły, lordzie Henryku? Tak zły, jak twierdzi Bazyli?

— Dobry wpływ wcale nie istnieje, Mr. Gray. Ze stanowiska naukowego każdy wpływ jest niemoralny.

— Czemu?

— Bo wywierać na kogoś wpływ, znaczy to samo, co dawać mu obcą duszę. Człowiek taki nie posiada już wówczas własnych myśli. Nie porażają go własne namiętności. Cnoty jego nie należą już do niego. Nawet jego grzechy, jeśli wogóle grzechy istnieją, są przejęte od kogoś innego. Staje się echem tonów kogo innego, aktorem roli, nie dla niego napisanej. Celem życia jest rozwój własnej indywidualności. Dać wyraz własnej swej istocie — oto nasze zadanie na ziemi. W naszych czasach człowiek uczuwa obawę przed sobą samym. Zapomniano o najwyższym obowiązku, o obowiązku względem siebie. Jesteśmy naturalnie do-

broczynni. Karmimy głodnych, odziewamy żebraków. Ale własna nasza dusza marznie i cierpi głód. Rasa nasza straciła odwagę. Może nie miała jej nigdy. Obawa przed społeczeństwem, na którym opiera się moralność, obawa przed Bogiem, będącym tajemnicą religii — oto dwie potęgi, które nami rządzą. A jednak...

— Dorjanie, proszę cię, zwróć głowę nieco na prawo — rzekł malarz, który całkowicie zatopiony w pracy, tyle tylko zauważył, że twarz Dorjana przybrała wyraz, jakiego nigdy przedtem u niego nie widział.

— A jednak — mówił dalej lord Henry swym cichym melodyjnym głosem, wykonując ręką swój wdzięczny, dawny, bo jeszcze z czasów szkolnych mu właściwy ruch — a jednak sądzę, że gdyby chociaż jeden człowiek wyżył się całkowicie, kształtując każde swe uczucie, wyrażając każdą myśl, urzeczywistniając każde marzenie, już przez to samo spłynęłaby na świat taka olbrzymia fala radości, że musielibyśmy zapomnieć o całej chorobliwości średniowiecza i powrócić do ideału helleńskiego, a może nawet doszlibyśmy do czegoś subtelniejszego, bogatszego niż ideał helleński. Ale najodważniejszy z nas boi się samego siebie. Własnowolne samo-okaleczanie się dzikiego człowieka wiedzie dalej żywot upiorny w abnegacji, wypaczającej nasze życie. Wszyscy ponosimy karę za to, od czego się powstrzymujemy. Każda żądza przez

nas dławiona, rozpładza się w naszej duszy i zatrzuwa ją. Ciało grzeszy i na tem grzech się kończy, bo czyn jest rodzajem oczyszczenia. Nie pozostaje nic prócz wspomnienia rozkoszy, lub zbyt-
 kownego żalu. Jedynym sposobem pozbycia się pokusy jest poddanie się jej. Opieraj się jej, a dusza zachoruje z tęsknoty za tem, czego sobie sama odmawiała, z żądzy za tem, co potworne jej prawa uczyniły potwornem i bezprawnem. Powiedziano już, że największe zdarzenia świata dokonują się w mózgu. W mózgu też i jedynie w mózgu dokonują się największe grzechy świata. Nawet pan, Mr. Gray, nawet pan ze swą różową młodością i białą-różową chłopięcością, miałeś namiętności, które cię przejmowały trwogą, myśli których się lękałeś, marzenia we dnie i w nocy, których samo wspomnienie okrywało twą twarz rumieńcem wstydu...

— Przestań pan — wyjąkał Dorjan Gray — przestań pan. Wprawiasz mnie pan w pomieszanie. Nie wiem co powiedzieć. Odpowiedź na to istnieje, ale ja jej nie umiem znaleźć. Nie mów pan. Pozwól mi się zastanowić. Albo raczej, pozwól pan, bym spróbował nie myśleć.

Blisko dziesięć minut stał bez ruchu z rozchyłonemi ustami i niezwykle błyszczącemi oczyma. Miał niewyraźną świadomość, że zupełnie nowe w nim kiełkują siły. Ale zdawało mu się, że one z własnej jego wyłaniają się istoty. Kilka słów,

wypowiedzianych przez tego przyjaciela Bazylego, kilka słów rzuconych niewątpliwie bez namysłu, a zawierających niejednen paradoks, dotknęły w nim tajemnej jakiejś struny, nigdy przedtem nie potrąconej, której dziwne drżenie i rozkołysanie czuł jednak w tej chwili.

W ten sposób zwykła go podniecać muzyka. Nieraz go wprowadzała w takie rozgorączkowanie. Ale muzyka nie przemawia słowami. Nie świat nowy, ale drugi chaos w nim stwárzała. Słowa! Same tylko słowa! Jakież to straszne! Jakie wyrażne i żywe i okrutne! Im ująć niepodobna! A jednak, jaki w nich urok tajemny. Bezkształtnym rzeczom zdają się nadawać kształty plastyczne, zachowując jednak formę własną, niemniej słodką od dźwięków fletni i lutni. Same słowa! Czy istnieje coś bardziej rzeczywistego od słowa?

Tak, w młodości jego były rzeczy, których nie rozumiał. Teraz je zrozumiał. Życie rozplonęło przed nim nagle w kolorach ognistych. Zdawało mu się, jakoby dotychczas kroczył był w ogniu. Dlaczego nie wiedział tego wszystkiego?

Lord Henry patrzył na niego z lekkim uśmiechem. Subtelnym instynktem psychologa odgadywał moment, kiedy nie powinien mówić. Czuł najwyższe zainteresowanie. Zdumiewało go nagle wrażenie, jakie słowa jego wywoływały. Przypomniła mu się książka, czytana w szesnastym roku życia, książka, która odsłoniła mu wieie rzeczy, pierw

mu nieznanych i radby był wiedzieć, czy Dorjan Gray przeżywał w tej chwili coś podobnego. Wystrzelił poprostu w powietrze. Czyżby trafił? Jaki ten młody człowiek jest fascynujący!

Hallward malował ciągle swą cudownie śmiałą manjerą, pełną przytem prawdziwej subtelności i finexji będącej w sztuce bądź co bądź pewną oznaką siły. Nie zauważył milczenia.

— Bazyli, znużyło mnie już to stanie — zawołał nagle Dorjan Gray. — Muszę na chwilę usiąść w ogrodzie. To powietrze tutaj wprost mnie dusi.

— Żałuję bardzo, mój drogi chłopcze. Gdy maluję, nie mogę myśleć o niczem innem. Ale nigdy nie pozowałeś lepiej. Stałeś zupełnie spokojnie i wreszcie uchwyciłem wyraz, którego ciągle szukałem: rozchylone usta i błyszcząca spójrznie. Nie wiem o czem Harry mówił z tobą, ale to pewna, że wywołał u ciebie najcudniejszy wyraz. Zapewne prawil ci komplimenta. Nie potrzebujesz mu wierzyć ani słowa.

— Komplimentów nie prawil mi z pewnością. Dlatego może nie wierzę mu ani słowa.

— Wszak pan wiesz, że wierysz wszystkiemu — rzekł lord Henry, patrząc nań swemi marzycielskimi, nieco znużonemi oczyma. — Idę z panem do ogrodu. Strasznie tu gorąco w pracowni. Bazyli, każ nam podać jakiś napój chłodzący, może coś z poziomkami.

— Bardzo chętnie, Harry. Zadzwoń tylko, a gdy Parker przyjdzie, zaraz mu wydam polecenie. Ja muszę raz jeszcze przemałować tło, a potem przyjdę do was. Nie zatrzymuj Dorjana zbyt długo. Nigdy mi robota nie szła tak dobrze. To będzie mojem arcydziełem. Jest niem już teraz.

Lord Henry wyszedł do ogrodu i ujrzał jak Dorjan Gray, wtuliwszy głowę w olbrzymie pęki chłodnego kwiecica bzu, gorączkowo wchłaniał intensywną woń, jak gdyby była winem. Podeszedł ku niemu i położył mu rękę na ramieniu.

— Dobrze pan robisz — mruknął. — [Tylko zmysły mogą uleczyć duszę, tak samo jak dusza tylko może uleczyć zmysły.] //

Młody człowiek drgnął i cofnął się. Był bez kapelusza. Liście bzu odsunęły w tył przekorne pukle włosów, mierzwiąc złociste ich nici. Coś jakby trwoga widniała w jego spojrzeniu, jak u człowieka nagle zbudzonego ze snu. Delikatnie rzeźbione nozdrza drżały, a jakiś nerw ukryty kurczył purpurę ust, że dygotały jak w febrze.

— Tak — mówił dalej lord Henry — to jedna z największych tajemnic życia: duszę leczyć zmysłami, a zmysły duszą. Dziwny z pana człowiek. Wiesz pan więcej, niż zdajesz się wiedzieć, a jednak wiesz mniej, niż powinienes.

Dorjan Gray zmarszczył czoło i odwrócił twarz. Wbrew woli znajdował upodobanie w smukłym przystojnym mężczyźnie, który stał obok niego.

Interesowała go jego romantyczna, żółtawa, nieco przeżyta twarz. W cichym, przeciągłym sposobie mówienia było coś niesłychanie fascynującego. Nawet chłodne, białe ręce, wyglądające jak białe kwiaty, miały dziwny urok. Gdy mówił, poruszały się niby w takt melodji, jak gdyby własną swą posiadały wymowę. Ale Dorjan obawiał się go i równocześnie wstydził się swej obawy. Cemu musiał przyjść człowiek obcy, aby mu odsłonić własną jego istotę? Bazylego Hallwarda znał od kilku miesięcy, ale przyjaźń jego wcale go nie zmieniła. Nagle wszedł w jego życie ktoś, mający mu odsłonić tajemnice życia. A jednak, czego się obawia? Nie jest przecież uczniakiem, ani dziewczyną. Głupstwo, ta jego obawa.

— Cofnijmy się w cieniste miejsce i usiądźmy — rzekł lord Henry. — Parker przyniósł właśnie napój, a jeśli pan jeszcze dłużej będziesz stać na tym skwarze, zepsujesz sobie cerę i Bazyl nie będzie cię chciał malować. Istotnie, nie powinien się pan opalać. Nie byłoby panu z tem dla twarzy.

— Cóż mi na tem zależy? — ze śmiechem zawołał Dorjan Gray, siadając na ocienionej ławie.

— Panu powinno bardzo na tem zależeć, Mr. Gray.

— A to czemu?

— Bo jesteś pan cudownie młodym, a młodość jest jedynem dobrem, godnem posiadania.

— Ja tego nie czuję, lordzie Henryku.

— Tak, teraz pan nie czujesz. Ale kiedyś, gdy pan będziesz starym i brzydkim, gdy myśl zmarszczkami porysuje ci czoło, a namiętność ohydny żarem spali twe usta, wtedy to pan odczujesz. Teraz, gdziekolwiek się pan zwrócisz, oczarowujesz wszystkich. Czy tak będzie zawsze?... Mr. Gray, jesteś pan cudownie piękny. Nie marszcz pan czoła. A piękność jest inną formą geniusza — piękność jest czemś więcej niż geniusz, gdyż nie potrzebuje komentarza. Należy do wielkich faktów świata, jak słońce, wiosna lub refleks owego srebrnego sierpa księżycowego na ciemnych wodach. Zwalczać jej niepodobna. Posiada boskie prawo panowania. Książętami czyni tych, co ją posiadają... Pan się uśmiechasz. O, kiedyś, gdy ją pan postradasz, nie będziesz się pan uśmiechał... Powiadają wprawdzie, że piękność jest czemś ze wnętrznem. Być może. Ale to samo trzebaby powiedzieć o myśli i w większej jeszcze mierze. Dla mnie piękność jest cudem nad cuda. Tylko płytkie głowy nie sądzą podług pozorów. Prawdziwa tajemnica świata istnieje w widzialnem, a nie w niewidzialnem... Tak, Mr. Gray, bogowie byli na pana łaskawi. Ale co bogowie dają, odbierają też rychło. Niewiele pan ma lat do życia pełnego, całkowitego, prawdziwego. Z młodością przeminie też pańska piękność i nagle pan odkryjesz, że nie czekają cię już triumfy, lub też musisz się zadawać temi zwycięstwami niskimi, które wspomnie-

nie twej młodości uczyni bardziej gorzkiemi od samych klęsk. Każda odmiana księżycy zbliża cię do czegoś strasznego. Czas ci zazdrości i przypuszcza szturm do twych lilij i róż. Staniesz się pan bladym, będziesz miał zapadłą twarz i szklane spojrzenie. Okropnie pan będziesz cierpieć... O, korzystaj z młodości, dopóki ją masz. Nie roztrwaniaj złota twych dni, nie słuchaj gderaczy, nie pomagaj tym, którzy straceni są beznadziejnie, nie odrzucaj swego życia dla głupców, dla ludzi zbytecznych, płaskich. Wszystko to są cele chorobliwe, fałszywe ideały naszych czasów. Żyj pan! Żyj pan życiem pełnem czaru, jakie w tobie się kryje! Nie zaniedbuj niczego! Szukaj ciągle nowych wrażeń. Nie obawiaj się... Nowy hedonizm — oto, czego wiek nasz potrzebuje. Pan mógłbyś się stać widocznym jego symbolem. Ze swą osobistością możesz pan zrobić wszystko. Świat należy do pana — przez jeden sezon... Skoro tylko pana ujrzałem, natychmiast spostrzegłem, że wcale nie wiesz, czem właściwie jesteś, czem mógłbyś się stać, a ja ujrzałem w panu tyle czaru, którym mnie podbiłeś, że uczułem się zmuszonym opowiedzieć ci cośkolwiek o tobie samym. Przyszło mi na myśl, jak byłoby smutno, gdybyś się zmarnował. Bo młodość pańska potrwa tak krótko — tak bardzo krótko!... Mnóstwo polnych kwiatów więdnie, ale one rozkwitają na nowo. Wielokwiat na przyszły czerwiec okryje się taką samą szatą zło-

cistą, w jaką się przystroił dzisiaj. Za parę tygodni purpurowe gwiazdy będą się unosić nad tym oto powojnikiem, a rok za rokiem zielona noc jego liści osłaniać będzie tak samo purpurę tych gwiazd. Ale nasza młodość nie wraca nigdy. Tętno radości, jakie w nas drga w roku dwudziestym, słabnie i leniwieje. Członki nasze stają się ociężałe, zmysły tępieją. Wyradzamy się w obrzydliwe szkielety, w których, jak upiór, jedno tylko pokutuje wspomnienie — wspomnienie namiętności, przed którymi cofaliśmy się z obawy, i wspomnienie pokus, którym nie ulegaliśmy przez brak odwagi. Młodość! młodość! Niema na świecie nic nad młodość!

Dorjan Gray wsłuchiwał się zdumiony z rozszerzonymi żrenicami. Gałązka bzu wypadła mu z ręki na piaskiem wysypaną ścieżkę. Włochata pszczoła przyfrunęła bliżej i przez chwilę słychać było cichy jej brzęk. Następnie zaczęła się wspinać na gwiaździste korony delikatnego kwiecia. Obserwował ją z owem dziwnem zainteresowaniem dla drobnych rzeczy, jakie usiłujemy okazywać, ilekroć nas zajmują i trwożą rzeczy wielkie, lub nowe nami wstrząsa uczucie, dla którego nie udaje nam się znaleźć wyrazu, lub straszna jakaś myśl nagle przypuszcza szturm do mózgu i żąda, by się jej poddał. Po chwili pszczoła uleciała. Wiedział, jak zapuszczała się w głąb kielicha powoju.

Kwiat drgnął i przez chwilę kołysał się wdzięcznie na obie strony.

Nagle w drzwiach pracowni ukazał się malarz, niecierpliwymi gestami przyzywając ich z powrotem. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

— Czekam — zawołał. — Chodźcie, proszę. Światło teraz znakomite, a szklanki możecie przecież zabrać z sobą.

Wstali i powoli szli ścieżyną. Dwa zielonkawato-białe motyle przefrunęły koło nich, a z gruszy za ogrodem ozwał się drozd.

— Mr. Gray, pan się cieszysz, że mnie poznałeś — rzekł lord Henry, patrząc na towarzysza.

— Tak, cieszę się — teraz. Czy zawsze będę się cieszył?

— Zawsze! To straszne słowo! Dreszcz mnie przebiega, ilekroć je słyszę. Kobiety lubią to słowo. Psują każdy romans, usiłując go zrobić wiecznotrwałym. Jaka jest różnica między kaprysem a miłością wieczną? Ta, że kaprys trwa trochę dłużej.

Gdy weszli do pracowni, Dorjan Gray położył rękę na ramieniu lorda Henryka.

— Niechże więc przyjaźń nasza będzie kaprysem — szepnął i zarumienił się z powodu swej śmiałości.

Wszedł na podjum i przybrał pozę poprzednią.

Lord Henry rzucił się na duże wyplatane krzesło i obserwował go. Tylko szmer pędzla przery-

wał ciszę. Od czasu do czasu Hallward cofał się o parę kroków, aby z odległości oglądać obraz. W ukośnych promieniach słońca, wpływających przez otwarte drzwi, wirowały złociste pyłki. A nad wszystkim zdawała się ciążyć upajająca woń róż.

W jaki kwandras później Hallward przestał malować, długo patrzył na Dorjana Gray'a, następnie na obraz i miażdżąc w zębach rączkę dużego pędzla, zmarszczył czoło.

— Skończone — zawołał wreszcie. Schylił się i podłużnemi, karmazynowemi literami wypisał swe nazwisko, po lewej stronie obrazu u dołu.

Lord Henry podszedł ku niemu i przyglądał się obrazowi. Było to istotnie zarówno wspaniałe dzieło sztuki, jak cudowny portret.

— Najserdeczniej ci winszuję mój drogi chłopcze — rzekł po chwili. — Najpiękniejszy to obraz naszej epoki. Mr. Gray, chodź pan i przyjrzyj się sobie samemu.

Młody człowiek zerwał się, jakby zbudzony ze snu.

— Czy istotnie skończony? — szepnął, zstępując z podium.

— Zupełnie — rzekł malarz. — A ty dziś cudownie pozowałeś. Bardzo ci dziękuję.

— W tem całkowicie moja zasługa — wtrącił lord Henry. — Nieprawdaż, Mr. Gray?

Dorjan nie odpowiadając, z roztargnieniem postąpił ku obrazowi i podniósł na niego wzrok. Uj-

rzawszy go, cofnął się nieco, a twarz jego na chwilę okryła się rumieńcem radości. W oczach jego pojawił się błysk zadowolenia, jak gdyby się widział po raz pierwszy. Stał bez ruchu, zdumiony, na wpół tylko świadom, że Hallward do niego mówi, lecz nie rozumiejąc znaczenia jego słów. Poczucie własnej piękności spłynęło nań niby objawienie. Nigdy tego przedtem nie odczuwał. Komplimenta Bazylego Hallwarda uważał za czarującą przesadę przyjaźni. Słuchał ich, śmiał się i zapominał. Nigdy nie wywarły nań wrażenia. Nagle przyszedł lord Henry Wotton ze swoim dziwnym hymnem na cześć młodości i strasznem ostrzeżeniem przed jej krótkotrwałością. To go wzburzyło, a teraz na widok odbicia własnej piękności, błyskawicznie ujął całą prawdę opisu. Tak, pewnego dnia twarz jego będzie zwiędła i pomarszczona, oczy szklane i bezbarwne, wdzięk jego postaci złamany i zniweczony. Karmin zniknie z jego warg, a złoto ulotni się z włosów. Życie, mające być stworzone przez jego duszę, zepsuje ciało. Stanie się brzydkim i odstraszającym.

Na tę myśl przeszywał go ból dotkliwy, niby ostrze noża, wprawiając w drganie każdy najdelikatniejszy fibr jego istoty. Oczy jego przybrały ciemną niemal barwę ametystów i przesłoniły się mgłą łez. Miał uczucie, jak gdyby jakaś lodowata dłoń kładła mu się na serce.

— Czy ci się nie podoba? — zawołał wreszcie

Hallward, nieco urażony milczeniem, którego znaczenia nie rozumiał.

— Naturalnie, że mu się podoba — rzekł lord Henry. — Komużby się nie podobał? Portret ten należy do największych dzieł sztuki współczesnej. Dam ci za niego wszystko, co tylko zażądasz. Ja muszę mieć ten obraz.

— Nie należy do mnie, Harry.

— A do kogóż?

— Naturalnie, że do Dorjana.

— Ten ma naprawdę szczęście.

— Jakie to smutne — szeptał Dorjan Gray, ciągle jeszcze mając oczy utkwione we własny portret. — Jakie smutne! Ja się zestarzeję i będę brzydkim i odpychającym. Ale portret ten na zawsze pozostanie młodym. Nigdy nie będzie starszym, niż w dzisiejszy dzień czerwcowy. Gdybyż mogło być przeciwnie! Gdybym ja wiecznie pozostał młodym, a obraz się starzał! Wszystko bym za to oddał, wszystko! Tak, niema na świecie, czegobym za to nie oddał. Poświęciłbym własną duszę!

— Dla ciebie, Bazyli, zamiana taka nie byłaby zbyt pożądaną! — ze śmiechem zawołał lord Henry.

— Zbyt ostre linje zarysowałyby się na twym obrazie.

— Energicznie bym się też bronił przed taką zamianą — rzekł Hallward.

Dorjan Gray odwrócił się i spojrzał nań.

— Tak, wierzę ci Bazyli. Ty bardziej kochasz swą sztukę, niż swych przyjaciół. Ja dla ciebie nie jestem niczem więcej od zielonego bronzu. A może i czemś mniej.

Malarz spojrzał nań przerażony. To nie był Dorjan, który w ten sposób mówił. Co się stało? Wyglądał na rozgniewanego. Cała jego twarz i policzki płonęły.

— Tak — mówił dalej — mniej dla ciebie znaczę niż twój Hermes ze słoniowej kości lub srebrny faun. Ich będziesz kochać zawsze. A jak długo mnie? Tak, dopóki pierwsze zmarszczki nie zszpecą mi twarzy. Teraz już wiem: z utratą piękności — czemkolwiek ona jest — traci się wszystko. Tego mnie nauczył twój obraz. Lord Henry Wotton ma słuszość. Młodość jest jedyną rzeczą, godną posiadania. Gdy spostrzegę, że się starzeję, zabiję się.

Hallward zbladł i gwałtownie chwycił go za rękę.

— Dorjanie, Dorjanie! — wykrzyknął — nie mów tak. Nigdy nie miałem takiego przyjaciela jak ty i nigdy nie będę miał drugiego. Wszak nie jesteś zazdrosny o rzeczy martwe? Ty, który piękniejszy jesteś nadewszystko!

— Jestem zazdrosny o wszystko, co piękności swej nie utraci. Jestem zazdrosny o własny portret, który namalowałeś. Czemu on ma zachować, co ja muszę utracić? Każda ulatująca chwila coś

mi zabiera, aby jego obdarzyć. O, gdyby było przeciwnie! Gdyby portret uległ zmianie, a ja zawsze pozostał taki sam! Po co go namalowałeś? Pewnego dnia będzie się ze mnie naigrawał bezli-
tośnie!

Cofnął rękę z uścisku malarza i rzucił się na dywan, kryjąc twarz w poduszkach, jakby się modlił.

— Twoje to dzieło, Harry — z goryczą rzekł malarz.

Lord Henry wzruszył ramionami.

— To prawdziwy Dorjan Gray. Nic więcej.

— Nieprawda.

— Jeśli nie, to cóż ja z tem mam wspólnego?

— Powinieneś być odejść, kiedy cię prosiłem — rzekł z cicha.

— Pozostałem na twą prośbę — odparł lord Henry.

— Harry, nie mogę się sprzeczać równocześnie z mymi dwoma najlepszymi przyjaciółmi, ale wy obydwaj wzbudziliście we mnie nienawiść ku najlepszemu dziełu, jakie kiedykolwiek stworzyłem. Dlatego je zniszczę. Wszak to tylko płótno i farby — nic więcej. Nie będzie stać w poprzek trzech naszych istnień ani je niweczyć.

Dorjan Gray podniósł z poduszek swą złotą głowę i zażawionemi oczami w bladej twarzy pa-
rzył, jak malarz podchodził do stolika z farbami, ustawionego pod wysokiem, zasłoniętym oknem.

Za czem on się tam rozgląda? Palce jego prze-
trząsnęły całą masę suchych pędzli jakby czegoś
szukały. Tak, szukały długiego noża o cienkiem
ostrzu z giętkiej stali. Wreszcie go znalazły. Chciał
rozciąć płótno.

Ze zdławionem łkaniem Dorjan porwał się z dy-
wanu, przyskoczył do Hallwarda, wyrwał mu nóż
i odrzucił daleko, aż do drzwi pracowni.

— Nie, Bazyli, nie! — krzyknął — to byłoby
morderstwo!

— Cieszę się, że ostatecznie jednak oceniasz
jeszcze moje dzieło — zimno rzekł Hallward, otrzą-
sając się ze zdumienia. — Nie sądziłem, że się na
to zdobędziesz.

— Jakto? Oceniam? Kocham je, Bazyli. Obraz
ten jest częścią mojego ja. Czuję to.

— A zatem, gdy wyschniesz, zostaniesz wy-
pokostowany i poprawiony. Potem odeszlę cię do
twego pomieszkania i będziesz mógł zrobić ze sobą,
co ci się spodoba.

W poprzek przeszedł pokój i zadzwonił, by po-
dano herbatę.

— Wszak napijesz się herbaty, Dorjanie? A ty
także, Harry? Lub czy może gardzisz tak prostą
przyjemnością?

— Przepadam za prostymi przyjemnościami —
odrzekł lord Henry. — Są one ostatnią przystanią
ludzi skomplikowanych. Ale nie cierpię scen — co
najwyżej chyba w teatrze! Jacyż z was obu głupi

ludzie! Chciałbym wiedzieć, kto właściwie określił człowieka jako rozsądne zwierzę. Była to definicja możliwie najbardziej przedwczesna. Człowiek jest raczej wszystkim innem, niż rozsądnym. To zresztą szczęście. A jednak wołałbym, abyście nie byli obaj tyle gawędzili o tym obrazie. Najlepiej zrobisz Bazyli, jeśli go dasz mnie. Ten niemądry chłopiec i tak nie wie, co z nim począć. Ja natomiast wiem doskonale.

— Bazyli, jeśli obraz ten dasz komu innemu, a nie mnie, nie wybaczę ci tego nigdy! — zawołał Dorjan Gray. — I nikomu nie wolno nazywać mnie niemądrym chłopcem.

— Wiesz Dorjanie, że obraz ten należy do ciebie. Dałem ci go, zanim jeszcze istniał.

— A pan wiesz również Mr. Gray, że byłeś trochę niemądry i w gruncie rzeczy nie masz mi nic do zarzucenia, jeśli ci przypominam, że jesteś jeszcze bardzo młody.

— Dziś rano byłbym miał bardzo wiele do zarzucenia, lordzie.

— O, dziś rano! Ale od tego czasu pan żyłeś!

Zapukano do drzwi i służący wszedł z pełną tacą. Postawił ją na japońskim stoliczku, lekko brzęcząc filiżankami. Po chwili mały samowar zaczął syczeć. Chłopiec przyniósł dwie okrągłe chińskie filiżanki. Dorjan Gray podszedł i nalewał herbatę. Obydwaj mężczyźni powoli zbliżyli się i ujęli filiżanki.

— Chodźmy dziś wieczór do teatru — ozwał się lord Henry. — W którymś z teatrów będzie przecież coś dobrego. Przysięgłem wprowadzić jeść dziś u White'a, ale tylko ze starym przyjacielem. Mogę mu zadepeszować, że jestem chory, albo że później przysięgłem komuś schadzkę. Zdaje mi się, że byłoby to bardzo piękne usprawiedliwienie, posiadałoby wszelkie cechy otwartości.

— Tak trudno wkładać frak — rzekł Hallward. — A jak się go włoży, to człowiek dopiero wygląda szkaradnie.

— Tak — w milczeniu odparł lord Henry — strój dziewiętnastego wieku jest obrzydliwy. Taki ponury, przygnębiający. Grzech jest jedyną barwną rzeczą, jaka jeszcze pozostała dzisiejszemu życiu.

— Harry, w obecności Dorjana nie powinienś istotnie mówić w ten sposób.

— W obecności którego Dorjana? Tego, co nalewa herbatę, czy tego co na portrecie?

— Obydwu.

— Chciałbym pójść z panem do teatru, lordzie Henryku — rzekł Dorjan.

— To chodź pan. A ty także Bazyli, nieprawdaz?

— Nie mogę. Istotnie. Raczej nie. Tyle mam do czynienia.

— Dobrze, więc pójdziemy sami, Mr. Gray.

— Z przyjemnością, lordzie Henryku.

Malarz zagryzł wargi i z filizanką w ręku podszedł do portretu.

— Ja zostanę z prawdziwym Dorjanem — rzekł smutno.

— Czy to jest prawdziwy Dorjan? — zawołał model portretu, przystępując do malarza. — Czy jestem do niego podobny?

— Tak, najzupełniej.

— Bazyli, jak to cudownie!

— Przynajmniej z pozoru jesteś podobny do portretu. Ale on się nigdy nie zmieni! — westchnął Hallward. — A to coś znaczy.

— Co tu hałasu robią ci ludzie z powodu wierności! — zawołał lord Henry. — Nawet w miłości jest ona tylko problemem fizjologicznym. Ż wola naszą nie ma nic wspólnego. Młodzi ludzie chcieliby być wiernymi, a nie mogą — starzy chcieliby być niewiernymi, a także nie mogą. Więcej powiedzieć trudno.

— Dorjanie, nie chodź wieczór do teatru. Zostań u mnie.

— Nie mogę, Bazyli.

— Czemu?

— Bo przyrzekłem lordowi Wottonowi, że z nim pójdę.

— Nie będzie cię bardziej kochał, gdy dotrzymasz przyrzeczenia. On zawsze łamie swoje obietnice. Proszę cię, zostań u mnie.

Dorjan Gray ze śmiechem potrząsnął głową.

— Usilnie cię proszę.

Młody człowiek zawahał się i spojrzał na lorda Henryka, który siedział przy stoliku i spoglądał nań z nieco szyderskim uśmiechem.

— Muszę pójść, Bazyli — odpowiadał.

— Dobrze — rzekł Hallward, zbliżając się do stolika i stawiając swą filiżankę. — Późno już, a ponieważ musicie się przebrać, więc nie możecie tracić czasu. Bądź zdrow, Harry. Bądź zdrow, Dorjanie. Przyjdź niezadługo. Przyjdź jutro.

— Naturalnie.

— Nie zapomnisz?

— Cóż znowu, Bazyli!

— A ty... Harry!

— Czego sobie życzysz, Bazyli?

— Nie zapomnij, o co cię prosiłem, gdy rano byliśmy w ogrodzie.

— Zapomniałem.

— Polegam na tobie.

— Chciałbym, abym ja sam mógł na sobie polegać — zaśmiał się lord Henry. — Chodź pan, Mr. Gray. Powóz mój czeka. Mogę pana odwieźć do mieszkania. Do widzenia, Bazyli. Popołudnie dzisiejsze było bardzo przyjemne.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, malarz rzucił się na sofę, a na twarz jego wystąpił wyraz bólu.

III.

Nazajutrz o pół do pierwszej w południe lord Henry Wotton powolnym krokiem szedł z Curzon-Street do Albany, aby odwiedzić swego wuja, lorda Fermora, jowialnego, aczkolwiek trochę niestrawnego kawalera. Świat nazywał go egoistą, ponieważ nie ciągnął z niego szczególniejszych korzyści, ale w towarzystwie uchodził za hojnego, gdyż suto podejmował ludzi, którzy go bawili. Ojciec jego był ambasadorem w Madrycie, kiedy Izabela była młodą. Ale w chwili rozdrażnienia wycofał się ze służby dyplomatycznej zato, że mu nie zaofiarowano ambasady w Paryżu, sądził bowiem, że jego arystokratyczne pochodzenie, bezwrażliwość, poprawne depesze angielskie i nadzwyczajna żądza przyjemności najzupełniej go upragniają do tej posady. Syn był sekretarzem swego ojca i wraz ze swym szefem podał się był do dymisji — co wówczas poczytywano mu za głupstwo. W parę miesięcy później, zostawszy spadkobiercą ojca, zabrał się do poważnych studiów nad wielką arystokratyczną sztuką absolutnego próżnowania. Miał w mieście dwa wielkie domy, wołał jednak mieszkać po kawalersku, bo to było wygodniej, a jadał po największej części w klubie. Dozorował też trochę swych kopalń węgla w hrabstwach środkowej Anglii, a zarzuty czynione mu z powodu zajmowania się przemysłem, odpierał

zwykle tem, że dżentleman, posiadający kopalnię węgla, może sobie pozwolić na zbytek palenia drzewem. W polityce zawsze był torysem, o ile torysi nie byli u steru. Gdy to nastąpiło, kłął na nich co się dało, nazywając ich bandą radykałów. W oczach swego służącego, który go zawsze przekrzykiwał, był bohaterem, ale dla krewnych, których on zawsze przekrzyczeć potrafił, był postrachem. Tylko Anglja mogła go być wydać. Stale też utrzymywał, że kraj chyli się ku upadkowi. Zasady miał przestarzałe. O jego przesądach nie jedno dałoby się powiedzieć.

Gdy lord Henry wszedł do pokoju, zastał wuja w grubej kurtce myśliwskiej. Palił cygaro i pomrukiwał, czytając Times.

— I cóż, Harry — począł stary lord — cóż cię sprowadza tak wcześnie? Sądziłem, że wy, dandysi, nigdy nie wstajecie przed drugą i nie pokazujecie się przed piątą.

— Czysta miłość do rodziny, wuju Jerzy. Chciałbym od ciebie coś wydostać.

— Pieniądzy zapewne — rzekł lord Fermor z miną niezadowolenia. — No, siadaj i powiedz o co chodzi. Dzisiejsza młodzież sądzi, że pieniądze to wszystko.

— Tak — odparł lord Henry, umacniając kwiat w butonierce — młodzi ludzie tak sądzą, a gdy są starsi, to wiedzą o tem. Ja jednak nie potrzebuję pieniędzy. Tylko ludzie płacący swe rachunki

potrzebują pieniędzy, wuju Jerzy: ale ja swoich nie płacę nigdy. Kredyt, to kapitał młodszych synów i — doskonale można z niego żyć. Zresztą kupuję wszystko u dostawców Dartmoora, więc nie nalegają na mnie. Czego od wuja potrzebuję, to informacji, i oczywiście, że informacji bezużytecznej.

— Co do tego Harry, to co tylko zawiera błękitna księga angielska, o wszystkim mogę ci udzielić objaśnień. Chociaż swoją drogą, te draby bazarzą dziś najrozmaitsze brednie. Kiedy ja jeszcze byłem w służbie, wszystko było lepiej. Teraz, słyszę, przyjmują tylko po egzaminie. Czego się tu można spodziewać? Egzamina, to poprostu idiozjom, od początku do końca. Jeżeli kto jest dżentlemanem, to wie dosyć, a jeśli ktoś nim nie jest, to cała ta wiedza może mu tylko zaszkodzić.

— Mr. Dorjan Gray nie figuruje w błękitnej księdze, wuju Jerzy — rzekł lord Henry znużony.

— Mr. Dorjan Gray? Kto to jest? — spytał lord Fermor, ściągając białe, krzaczaste brwi.

— Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć wuju Jerzy. A właściwie wiem, kim jest. Wnukiem ostatniego lorda Kelsoe. Matka jego była lady Devereux, lady Margareta Devereux. Chciałbym coś wiedzieć o jego matce. Jaka to była kobieta? Za kogo wyszła? Swego czasu znałeś prze-

cie wszystkich, to i ją mogłeś znać. Interesuję się chwilowo Mr. Gray'em. Właśnie go poznałem.

— Wnuk Kelso'ego! — jak echo powtórzył stary lord. — Wnuk Kelso'ego!... Naturalnie... doskonale znałem jego matkę. Byłem na jej chrzcinach. Była nadzwyczajnie piękną dziewczyną, ta Margareta Devereux i o szaleństwo niemal przypawiła wszystkich młodych ludzi, uciekając z biednym jak mysz kościelna młodym chłopcem, no, takim sobie zerem, podrzędnym jakimś oficerkiem od infanterji, czy czemś podobnem. Tak, oczywiście! Pamiętam tę całą historję, jakby się wszystko działo wczoraj. Nieszczęsny, w parę miesięcy po ślubie został zabity w pojedynku w Spa. Brzydko o tem mówiono. Kelsoe miał wynająć jakiegoś łotra, awanturnika, taką bestję belgijską, aby publicznie zelżył zięcia. Zapłacił mu, poprostu zapłacił, a ten łajdak zakłął biedaka jak gołębia. Zatuszowano całą historję, no, ale Kelsoe mimo to, przez długi czas sam siadywał w klubie podczas obiadu. Powiadają, że sprowadził córkę z powrotem, ale ona nigdy z nim nie zamieniła słowa. O tak, przykra to była historja. Dziewczyna też umarła, tak, umarła w rok później. Więc została syna? Całkiem o tem zapomniałem. I cóż to za chłopiec? Jeśli podobny do swej matki, to musi być prześliczny.

— Bardzo jest piękny — potwierdził lord Henry.

— Prawdopodobnie dostał się we właściwe

ręce — mówił stary lord. — Czekają go spora kupa złota, jeśli Kelsoe się nim zajął. I matka miała pieniądze. Cała posiadłość Selby spadła na nią po dziadku. Dziadek nienawidził Kelso'ego, nazywał go podłym psem. Bo też nim był. Przyjechał raz do Madrytu, kiedy ja tam bawiłem. No... musiałem się go wstydzić. Nawet królowa pytała mnie raz o angielskiego lorda, co się targuje z fiakrami. Ładna z tego powstała gadanina. Przez cały miesiąc nie śmiałem się pokazać na dworze. Prawdopodobnie lepiej się obszedł ze swym wnukiem, niż z fiakrami.

— Nie wiem — odparł lord Henry. — Zdaje mi się jednak, że chłopak jest dobrze sytuowany. Jeszcze nie pełnoletni. Selby należy do niego. Opo-
wiedział mi o tem. A... matka jego była bardzo piękna?

— Margareta Devereux była jedną z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek widziałem, Harry. Co ją pchnęło do tej całej historii, tego nigdy nie zdołałem zrozumieć. Mogła była wyjść za każdego, kogoby tylko zechciała, Carlington za nią szalał. Ale była romantyczną głową. Wszystkie kobiety w jej rodzinie były takie. Mężczyźni byli dość marni, ale za to kobiety — wspaniałe! Carlington padał przed nią na kolana. Sam mi opowiadał. Śmiała się z niego. A nie było wówczas w Londynie jednej dziewczyny, któraby za nim nie przepadała. Nawiasem mówiąc, Harry, skoro

już potraciliśmy o małżeństwo, cóż to za awantury opowiada twój ojciec? Dartmoore ma się żenić z amerykanką? Angielskie dziewczęta już go nie zadawalniają?

— O! to teraz w modzie, wuju, żenić się z amerykankami.

— Ja w obronie angielskiej kobiety stoję przeciw całemu światu! — zawołał lord Fermor, pięścią uderzając w stół.

— Zakłady stawia się dziś o amerykanki.

— Podobno nie dotrzymują placu — mruknął stary lord.

— Długie narzeczeństwo je wyczerpuje, ale w polowaniu forsownem powetowują wszystko. Chwytają w lot. Nie sądzę, aby Dartmoore miał widoki.

— Cóż to za rodzina? — mruknął stary lord. — Czy jest wogóle jaką rodziną?

Lord Henry potrząsnął głową.

— Amerykanki równie dobrze ukrywają swych rodziców, jak angielski swą przeszłość — rzekł zacierając się do odejścia.

— Zapewne rzeźniki świń?

— Spodziewam się — ze względu na Dartmoora. Słyszałem, że bicie świń jest w Ameryce najintrygantniejszym interesem — po polityce.

— Czy ładna?

— Zachowuje się, jak gdyby była ładna. To

przecież robią wszystkie amerykanki. W tem tajemnica ich czaru.

— Czemu te amerykanki nie pozostają w swej ojczyźnie? Wciąż nam opowiadają, że Ameryka jest istnym rajem dla kobiet.

— Bo też nim jest. Dlatego właśnie, jak ich pramatka Ewa, kobiety jak najprędzej pragną się z niego wydostać — rzekł lord Henry. — Adieu, wuju Jerzy, spóźnię się na lunch, jeśli pozostanę dłużej. Dziękuję ci za wiadomość. Chętnie się informuję o swych nowych przyjaciółach; o starych natomiast nic nie chcę słyszeć.

— Gdzie dziś będziesz na obiedzie, Harry?

— U ciotki Agaty. Zaprosiłem się do niej z Mr. Grayem. To jej ostatni protegowany.

— Aha! To powiedz też Harry przy sposobności tej swojej ciotce Agacie, by mi dała spokój ze swemi dobroczynnemi historjami. Mam ich już dosyć. Poczciwa kobiecina sądzi zapewne, że nie mam nic innego do czynienia, jak wystawiać czeki dla jej głupich zachcianek.

— Pięknie, wuju Jerzy, powtórzę jej to. Ale na nic się to nie przyda. Filantropi nie mają zmysłu humanitarnego. Tem się różnią od innych ludzi.

Stary pan mruknął coś potakująco i zadzwonił na służącego.

Lord Henry wzdłuż niskich arkad szedł ulicą Burlingtona, poczem skręcił na plac Berkeley'a.

Więc taka to historia rodziców Dorjana. Po-

mimo, że poznał ją tylko w grubych zarysach, niemniej owiało go technienie jakiejś niezwyklej, niemal współczesnej romantyczności. Piękna kobieta poświęcająca wszystko dla szalonej namiętności. Kilka tygodni dzikiego szczęścia, zakończonego potworną, zdraziecką zbrodnią. Długie miesiące niemej męczarni, potem w bólach zrodzone dziecko. Matka porwana przez śmierć, dziecko pozostawione na łup samotności i tyranji starego egoisty. O, tak. Tło zajmujące. Odpowiednie ramy dla tego chłopca, niejako uzupełnienie. Po za wszystkim istniejącem — tragedia. Burza musiała wstrząsać światami, by wyrósł mógł najdrobniejszy kwiat. A jak czarujący był poprzedniego wieczora przy obiedzie, kiedy z płonącemi oczami i nawpół rozchylonemi ustami, pełen trwożnej radości siedział naprzeciw niego w klubie, a czerwone blaski świec intensywniej zabarwiały budzący się cud jego twarzy. Mówić do niego, to jakoby grać na cudownych skrzypcach. Odpowiadał na każde dotknięcie, każde pociągnięcie smyczka... Było coś straszego, ujarzmiającego, w tego rodzaju wywieraniu wpływu. Nic nie mogło się równać podobnej grze. Własną duszę przelewać do wdzięcznego naczynia i na chwilę ją tam pozostawiać; słyszeć, niby echem odbity, własny swój umysł, własne poglądy, wzbo-gacone melodią namiętności i młodości; temperament swój wpromieniowywać w kogoś drugiego, niby subtelny fluid lub aromat niezwyklej: w tem

kryło się źródło prawdziwej radości — najwyższej może radości, jaka jeszcze pozostała naszej ogra-
niczonej marnej epoce — epoce, o rozkoszach bru-
talnie cielesnych, o celach podłych i niskich... Bo
też cudownym jest typem ten chłopiec, przypad-
kiem spotkany w pracowni Bazylego, albo raczej:
doskonałym materiałem do wytworzenia typu. Po-
siada wdzięk i białą czystość młodości i piękności,
jaką zachowały chyba greckie marmury. Można
z niego zrobić tytana lub błyskotkę. Jakież to smu-
tne, że piękność taka musi zwiędnąć!... A Bazyli?
Jaki interesujący okaz dla psychologa! Nowy styl
w sztuce, nowy sposób patrzenia na życie, zaini-
cjowany samą tylko obecnością drugiego człowieka,
nieświadomego swej roli, milczący duch, co w leś-
nym przebywa mroku i niepostrzeżony przez otwarte
kroczy pola i ukazuje się jak drjada, nagle a bez
lęku, ponieważ w duszy tego, co go szukał, zbu-
dziła się cudowna moc widzenia, której jedynie
cudowne odsłaniają się rzeczy... Same tylko kształty
i kontury, które stawały się subtelniejsze, zdoby-
wając rodzaj symbolicznej mocy, jakoby same były
wzorami formy doskonałej, gdy w rzeczywistości
są tylko ich cieniami... Jakie to wszystko niezwy-
kłe! Myślał o czymś analogicznem w historii. Czy
Plato, ów artysta myśli, nie pierwszy badał te
rzeczy? Czy Buonarotti nie wykuł tego w bar-
wnym marmurze swego cyklu sonetów? Ale w na-
szym wieku było to dziwne i rzadkie... Tak, spró-

buje stać się dla chłopca tem, czem chłopiec nieświadomie był dla malarza, twórcy wspaniałego obrazu. Spróbuje go opanować — już mu się to niemal udało. Podbije ten cudowny umysł. Jest coś fascynującego w tym synu miłości i śmierci.

Nagle przystanął i rozejrzał się po domach. Spostrzegł, że dawno już minął dom ciotki i uśmiechając się do siebie, ruszył z powrotem. Gdy wszedł do nieco ponurego przedpokoju, służący powiedział mu, że właśnie podano do stołu. Złożył kapelusz i laskę i wszedł do jadalni.

— Harry! Jak zwykle, zapóźno! — przywitała go ciotka, potrząsając głową.

Wynalazł prędko jakieś usprawiedliwienie, usiadł obok niej na wolnem krześle i rozejrzał się po towarzystwie. Dorjan skłonił mu się nieśmiało, płonąc rumieńcem radości. Naprzeciw siedziała księżna Harley, dama niezwykle miłego charakteru i temperamentu, którą każdy lubił, kto tylko ją znał. Wykazywała owe potężne proporcje budowy, które historyk współczesny, u każdej damy nie będącej księżną, nazywa otyłością. Po jej prawicy siedział sir Tomasz Burdon, radykalny członek parlamentu, który za przywódcą swym szedł tylko w życiu publicznem, w prywatnem natomiast — za najlepszymi kucharzami; nadto jadł obiady z torysami, myślał z liberałami, stosownie do mądrych, a dobrze znanej reguły. Po lewej stronie siedział Mr. Erskine of Treadley, starszy pan, posia-

dający dużo wdzięku i kultury, który jednak popadł w zły nałóg milczenia, a to z tego powodu, że — jak raz oświadczył lady Agacie — wszystko co miał do powiedzenia, powiedział już był przed trzydziestu laty. Sąsiadka jego była Mrs. Vandeleur, prawdziwa święta pośród kobiet, ale tak gruba i źle ubrana, że wyglądała jak modlitewnik źle oprawiony. Szczęściem dla niego, drugim jej sąsiadem był lord Faudel, sprytna miernota, lat średnich, łysy i bezbarwny jak orędzie ministerjalne w Izbie gmin, ona jednak rozmawiała z nim z ową głęboką powagą, będącą wadą niewybaczalną, w którą, jak raz był zauważył, popadają wszyscy ludzie prawdziwie dobrzy, by się już nigdy całkowicie z niej nie wyleczyć.

— Mówimy o tym biednym Dartmoorze, lordzie Henryku — ozwała się księżna, witając go z za stołu przyjaznem kiwnięciem głowy. — Czy pan istotnie sądzisz, że ożeni się z tą czarującą dziewczyną?

— Sądzę, księżno, że ona zdecydowała mu się oświadczyć.

— Coś strasznego! — krzyknęła lady Agata — Należałoby temu przeszkodzić.

— Z dobrego źródła otrzymałem wiadomość, że ojciec jej ma olbrzymią fabrykę sucharów — rzekł sir Tomasz Burdon z pogardliwym spojrzeniem.

— Mój wuj, Sir Tomasz, posądzal go już o bicie świń.

— Fabrykę sucharów? Jakich to sucharów? — spytała księżna, wznosząc do góry swe wielkie ręce, jakby dla dobitnego zaakcentowania swego zdumienia.

— Amerykańskich powieści — odparł lord Henry, biorąc z półmiska przepiórkę.

Księżna się trochę zmieszała.

— Nie zważaj na niego, moja droga — szepnęła lady Agata. — Nigdy nie wierzy w to, co mówi.

— Kiedy odkryto Amerykę — począł radykał i zacytował kilka faktów. Jak każdy, pragnący przedmiot swój wyczerpać i on wyczerpał cierpliwość słuchaczy. Księżna westchnęła i skorzystała ze swego przywileju przerwania dalszych jego wywodów.

— Bodajby jej nie byli odkryli! — zawołała. — Zaiste, nasze dziewczęta nie mają już teraz żadnych widoków, a to przecież niesprawiedliwe.

— A może w gruncie rzeczy Ameryka wcale nie została odkryta — rzekł Mr. Erskine. — Twierdziłbym niemal, że to tylko wynalazek.

— O, kiedy ja widziałam próbki jej mieszkań! — odparła księżna. — I muszę przyznać, że przeważnie ładne. Doskonale się ubierają. Wszystko dają sobie robić w Paryżu. Byłabym zadowolona, gdybym sobie mogła na to pozwolić.

— Powiadają, że dobrzy amerykańanie idą po śmierci do Paryża — zaśmiał się Sir Tomasz, po-

siadający całą garderobę odłożonych ubiorów księcia Dowcipu.

— Istotnie! A dokąd idą po śmierci źli amerykańanie? — spytała księżna.

— Do Ameryki — wtrącił lord Henry.

Sir Tomasz zmarszczył czoło.

— Zdaje mi się, że siostrzeniec pani jest uprzedzony do tego wielkiego kraju — rzekł do lady Agaty. — Ja tam podróżowałem, a mianowicie przejechałem cały kraj w specjalnym pociągu dyrektorów, którzy przy podobnej sposobności są nadzwyczajnie uprzejmi. Zapewniam panią, że taka podróż jest prawdziwym dziełem wychowawczem.

— Ale czyż koniecznie musimy widzieć Chicago, aby nabrać edukacji? — bolesnym głosem zapytał Mr. Erskine. — Ja się już nie czuję na siłach do podobnej podróży.

Sir Tomasz machnął ręką.

— Mr. Erskine of Treadley ma świat w swej bibliotece. My, ludzie praktyczni, chcemy rzeczy widzieć, nie czytać o nich. Amerykanie, to zajmujący naród. Są absolutnie rozsądni. Zdaje mi się, że to ich cecha znamienne. Tak, Mr. Erskine: ludzie absolutnie rozsądni! Zapewniam pana, że w Ameryce niema głupoty.

— Jakie to straszne! — zawołał lord Henry. — Ja mogę zmieść brutalną przemoc, ale brutalny rozsądek jest nieznośny. Taki w tem brak dystrykcji.

— Niezupełnie pana rozumiem — rzekł Sir Tomasz, czerwieniejąc.

— Ja rozumiem, lordzie Henryku — mruknął Mr. Erskine z uśmiechem.

— Paradoksy są bardzo piękne i dobre... — począł znów baron.

— Czy to był paradoks? — spytał Mr. Erskine. — Ja nie sądzę. A może... Zresztą, paradoksy to droga do prawdy. Jeśli chcemy badać rzeczywistość, musimy jej wpierw kazać tańczyć na linie. Prawdy można sądzić dopiero wtedy, gdy się stają akrobatami.

— Na Boga! — zawołała lady Agata. — Co też ci mężczyźni nie wygadują. Nigdy właściwie nie wiem, o co im chodzi. O, Harry, na ciebie jestem naprawdę rozniewana. Czemu to próbujesz naszego kochanego Dorjana Graya odwieść od występu w East-End? Byłby dla nas wprost nieoceniony. Tyle przyjemności sprawiłaby jego gra.

— Chciałbym, aby zagrał dla mnie — zaśmiał się lord Henry, patrząc na drugi koniec stołu, skąd biegło już doń błyszczące spojrzenie odpowiedzi.

— Ale ci biedacy w Whitechapel są tak nie-szczęśliwi — nalegała Agata.

— Mam współczucie dla wszystkiego, tylko nie dla cierpienia — odparł lord Henry, wzruszając ramionami. — Dla cierpienia nie mogę mieć współczucia. Zbyt jest brzydkie, zbyt straszne i przygnębiające. Nasza dzisiejsza sympatja dla

bólu jest wprost chorobliwa. Należy odczuwać barwę, piękno, życie. Im mniej się mówi o mrokach życia, tem lepiej.

— A jednak East-End jest ważnym problemem — zauważył Sir Tomasz, poważnie potakując głową.

— Całkiem słusznie — odparł młody lord. — Jest to problem niewolnictwa, a my szukamy rozwiązania, bawiąc niewolników.

Polityk spojrział nań bystro.

— A jakie reformy pan podajesz? — pytał.

Lord Henry się zaśmiał.

— Nie pragnę zgoła, aby się w Anglii cokolwiek zmieniło — z wyjątkiem pogody. Mnie wystarcza kontemplacja filozoficzna. Ponieważ jednak wiek dziewiętnasty zbankrutował przez nadmiar współczucia, więc proponowałbym, aby się zwrócić o pomoc do nauki. [Zaletą uczuć jest, że prowadzą nas na bezdroża, zaletą nauki — że wcale nie budzi uczuć.]

— Ale na nas ciąży przecież tak straszna odpowiedzialność — trwożnie zauważyła Mrs. Vandeleur.

— Straszna odpowiedzialność — jak echo powtórzyła lady Agata.

Lord Henry spojrział w stronę Mr. Erskine'a.

— Humanitarność jest zbyt patetyczna. Jest ona pierwszym grzechem na świecie. Gdyby czło-

wiek jaskiniowy znał był śmiech, cała historia innym byłaby poszła torem.

— Prawdziwą mi pan wlewasz pociechę — zaświegotała księżna. — Zawsze się poczuwałam do winy, przychodząc do pańskiej ciotki. Bo właściwie, to East-End wcale mnie nie interesuje. Odtąd będę mogła bez rumienienia się patrzeć jej w oczy.

— Kiedy z tem rumienieniem się bardzo księżnej do twarzy — zauważył lord Henry.

— O! tylko dopóki człowiek jest młody — odparła. — Gdy taka stara kobieta jak ja się czerwieni, jest to zawsze zły znak. Ach, lordzie Henryku, chciałabym aby mi pan podał sposób odzyskania młodości.

Zamyślił się na chwilę.

— Przypomina sobie księżna jakiś wielki błąd popełniony w młodości? — spytał, patrząc na nią.

— Ach, całą masę błędów — zawołała.

— Proszę je popełnić nanowo — rzekł poważnie. — Dla odzyskania młodości, trzeba tylko powtórzyć swe głupstwa.

— Cudowna teoria — zawołała. — Muszę ją wypróbować.

— Niebezpieczna teoria! — wyszło z cienkich warg Sir Tomasza.

Lady Agata potrząsała głową, lecz była rozbawiona. Mr. Erskine słuchał z natężoną uwagą.

— Tak — mówił dalej lord Henry — to jedna

z największych tajemnic życia. Dziś przeważna część ludzi umiera na pewną epidemję zdrowego rozsądku. Zapóźno poznajemy, że jedyną rzeczą, której nie żałujemy, to nasze błędy.

Śmiech obiegał całe towarzystwo.

A on igrał z myślą i rozzuchwalał się coraz więcej. Podrzucał ją w górę i odwracał, pozwalał jej wyslizgiwać się i znów chwycił w locie, kazał się jej mienić tęczwami barwami fantazji i uskrzydlał ją paradoksami. Apologia głupstwa wzniosła się do filozofji, a filozofja sama stała się młodą, słuchała szalonej muzyki rozkoszy, strojna w szatę poplamioną winem i w wieniec z bluszczu, jak bachantka tańczyła po wzgórzach życia, naigrawając się z leniwego Sylena, że trzeźwy. Fakty uciekły przed nią, niby wystraszona zwierzyna leśna. Jej białe stopy uderzały o burzliwe fale, nad którymi siedzi Omar, mędrzec, aż wrzący sok winnego grona purpurową strugą bluznął na jej nagie członki, lub czerwoną pianą zakipsiał ponad czarne, ociekające ściany beczki. Improwizacja świetna! Czuł, że oczy Dorjana Gray'a zawisły na jego ustach, a świadomość że pomiędzy słuchaczami jest ten, którego pragnie oczarować i usidlić, używała dowcipowi jego bystrości, a fantazji barw. Był świetny, fantastyczny, nieokiełznany. Wywabiał słuchaczy z głębi ich istoty i szli za jego fletem wśród śmiechu. Dorjan Gray nie odwracał od niego oczu, jakby czarodziejskiem słowem za-

klęty, cienie uśmiechu przemikały po jego wargach, a głębokie zdumienie ciężką osłoną przyćmiewało mu wzrok.

Wreszcie jednak w szatę epoki przybrana, weszła do pokoju rzeczywistość w postaci służącego, który zameldował księżnie, że powóz jej czeka. Załamała ręce, z komiczną rozpaczą wołając:

— Jakie to nieznośne! Muszę odejść. Mam wstąpić do klubu po męża, by mu towarzyszyć na jakieś śmieszne zebranie u Willisów, gdzie ma przewodniczyć. Jeśli się spóźnię, będzie wściekły, a ja w tym kapeluszu nie mogę się narażać na sceny. Zbyt jest delikatny. Ostre słowo mogłoby go zniszczyć! Nie, Agato, muszę odejść. Adieu, lordzie Henryku. Jesteś pan zachwycający i strasznie niemoralny. Nie wiem istotnie, co powiedzieć o pańskich poglądach. Musi pan przyjść do nas którego wieczora na obiad. We wtorek! Czy pan wolny we wtorek?

— Dla księżny gotów jestem zrobić zawód każdemu — z ukłonem rzekł lord Henry.

— O, to bardzo pięknie i bardzo niesprawiedliwie z pańskiej strony — odparła. — Proszę więc pamiętać! We wtorek! i skierowała się ku drzwiom.

Lady Agata i inne damy poszły za nią.

Gdy lord Henry znów usiadł, Mr. Erskine kołując, dotarł do niego, usiadł obok i położył mu rękę na ramieniu.

— Zaćmiewasz pan wszystkie książki — począł — czemu pan sam nie piszesz?

— Zbyt chętnie czytam książki, by je pisać, Mr. Erskine. Zresztą napisałbym może kiedyś powieść, piękną jak perski kobierzec i równie nieprawdziwą. Ale w Anglii istnieje już tylko publi-
czność do czytania dzienników, podręczników i leksykonów. Żaden naród na świecie nie stracił w równej mierze jak anglicy zmysłu dla piękności literatury.

— Zdaje mi się, niestety, że pan ma słuszość — odparł Mr. Erskine. — Ja sam miałem ambicje literackie, ale dawno z nich zrezygnowałem. A teraz, mój drogi młody przyjacielu — jeśli mi wolno tak pana nazywać — śmiem zapytać, czy wszystko co nam pan poprzednio mówiłeś, jest wyrazem prawdziwych pańskich poglądów.

— A co ja to właściwie mówiłem? — z uśmiechem zagadnął lord Henry. — Czy coś złego?

— I bardzo złego. Uważam pana istotnie za człowieka niebezpiecznego, a jeśli naszej dobrej księżnie coś się przydarzy, to przedewszystkiem pan będzie za to odpowiedzialnym. Chciałbym jednak móc tak mówić o życiu jak pan. Mój ród był tak nudny. Jeśli którego dnia znudzi się pan Londynem, to proszę, wpadnij pan do Treadley i przy butelce doskonałego burgunda, którego jestem szczęśliwym posiadaczem, wyłóż mi pan swą filozofję używania.

— Będzie to dla mnie przyjemnością i zaszczytem. Wszak Treadley słynie z doskonałego gospodarza i doskonałej biblijoteki.

— Pan uzupełni doskonałość mojej siedziby — odparł stary pan. — Ale teraz muszę pożegnać ciotkę pańską. Czas mi do Ateneum. Właśnie tam dla nas pora na spanie.

— Czyż wszyscy śpią, Mr. Erskine?

— Czterdziestu panów, w czterdziestu fotelach. Przygotowujemy angielską Akademię Umiejętności.

Lord Henry zaśmiał się i wstał.

— Ja idę do parku — rzekł.

Przy drzwiach Dorjan Gray dotknął jego ramienia.

— Czy mogę panu towarzyszyć? — szepnął.

— Zdaje mi się, że pan przyrzekł odwiedzić Hallwarda? — odrzekł lord Henry.

— Wolałbym pójść z panem... Tak, czuję, że muszę pójść z panem. I pan mi przyrzecze, że przez cały czas będzie mówić. Nikt nie mówi tak cudownie.

— O, dosyć już mówiłem jak na dzisiaj — z uśmiechem odparł lord Henry. — Teraz chcę się trochę przyjrzeć życiu. Pan możesz pójść ze mną i dotrzymywać mi towarzystwa, jeśli masz ochotę.

IV.

W miesiąc później Dorjan Gray siedział pewnego popołudnia w wykwinnym fotelu w małej bibliotece lorda Henryka.

Był to w swoim rodzaju prześliczny kącik, o ścianach wysoko wyłożonych oliwkowo bajcowanem drzewem dębowem, żółtawych irysach i plastycznie udekorowanym suficie z sztukaterji. Miękkie, grube kobierce pokrywały perskie dywaniki z długą, jedwabną frendzlą. Na misternym stoliku z atlasowego drzewa stała statuetka Clodiona, a obok niej tom »Les Cent Nouvelles«, oprowiony przez Clovisa Eve dla Margaretę Valois i ozdobiony złoconemi stokrótkami, które królowa ta wybrała sobie za symbol. Wzdłuż kominka stało szeregiem kilka błękitnych waz chińskich i tulipanów, a przez małe szybki wnikało brzoskwiniowe światło londyńskiego dnia letniego.

Lord Henry nie wrócił jeszcze do domu. Z zasady się spaźniał, twierdząc, że punktualność jest złodziejem czasu. Młody człowiek był więc nieco zirytowany i z roztargnieniem przeglądał wspaniałe ilustrowane wydanie »Manon Lescaut«, które znalazł na jednej z półeczek. Monotonne tykanie zegara w stylu Ludwika XIV nużyło go. Kilka razy zabierał się już do odejścia. Wreszcie usłyszał zbliżające się kroki i otwieranie drzwi.

— Tak późno przychodzisz, Harry — mruknął.

— Niestety Mr. Gray, to nie Harry — odpowiedział ostry głos.

Odwrócił się szybko i powstał.

— Proszę mi wybaczyć... Sądziłem...

— Sądził pan, że to mój mąż! A tu niestety tylko jego żona! Pozwoli pan, że się sama przedstawię. Ja znam pana doskonale z fotografii. Zdaje mi się, że Harry posiada ich już siedmnaście.

— Nie... ośmnaście, lady Henry.

— A zatem ośmnaście. A kiedyś widziałam pana w Operze.

Mówiąc, śmiała się nerwowo i obserwowała go oczyma mętnemi, koloru niezabudek. Szczególna to była kobieta. Suknie jej wyglądały zawsze jakby były narysowane w przystępie wściekłości, a włożone w rozpędzie burzy. Była prawie zawsze w kimś zakochana, a ponieważ namiętność jej nigdy nie znajdowała wzajemności, więc mogła zachować swe złudzenia. Starła się wyglądać malowniczo, a osiągała to, że wyglądała niezgrabnie. Nazywała się Wiktorja i gorliwie chodziła do kościoła.

— Zdaje mi się, lady Henry, że to było na Lohengrinie.

— Tak, tak, na moim ulubionym Lohengrinie. Kocham muzykę Wagnera bardziej niż wszelką inną. Taka jest hałaśliwa, że można mówić przez cały czas i nie być słyszany. To wielka korzyść, Mr. Gray, nieprawdaż?

Cienkie jej wargi zadrgały znów śmiechem ner-

wowym, a palce zaczęły się bawić długim sztyldkretowym rozcinaczem.

Dorjan uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Przykro mi, ale w tym wypadku nie mogę dzielić zdania pani. Ja nigdy nie rozmawiam podczas muzyki, przynajmniej nie podczas dobrej muzyki. Gdy się słucha złej muzyki, to wtedy ma się już obowiązek zagłuszenia jej rozmową.

— Ach, to jeden z poglądów Harrego — nieprawdaż Mr. Gray? Zawsze słyszę poglądy Harrego z ust jego przyjaciół. Tylko w ten sposób słyszę je w ogóle. Ale proszę nie sądzić, że nie kocham dobrej muzyki. Ubóstwiam ją, ale równocześnie się jej boję. Czyni mnie zbyt romantyczną. Przepadałam poprostu za pianistami. — Harry twierdzi, że nieraz za dwoma równocześnie. Nie wiem, czemu to przypisać. Może temu, że to cudzoziemcy. Bo wszak oni wszyscy są cudzoziemcami, nieprawdaż? Jeśli nawet są urodzeni w Anglii, to po pewnym czasie stają się cudzoziemcami — czyż nie? To mądrze z ich strony, a korzystnie dla sztuki. Staje się w ten sposób całkiem kosmopolityczną — nieprawdaż? Mr. Gray, pan nigdy nie byłeś u mnie na przyjęciu? Musisz pan przyjść. Na orchideje nie mogę sobie pozwolić, ale mam za to zawsze pokazny wybór cudzoziemców. Nadają salonowi tyle malowniczości... Ale oto i Harry!... Harry, weszłam tu, by cię o coś spytać, zapomniałam już o co... i zastałam Mr. Gray'a.

Bardzo przyjemnie dysputowaliśmy o muzyce. Mamy zupełnie te same poglądy. Nie, raczej wręcz przeciwne. Ale był tak przyjemny. Cieszę się, że go poznałam.

— Jestem zachwycony, moja droga, wprost zachwycony — rzekł lord Henry, podnosząc do góry ciemne, łukowate brwi i z drwiącym uśmiechem patrząc na tych dwoje.

— Wybacz Dorjanie. Przychodzę zapóźno. Dla kawałka starego brokatu poszedłem na Wardour-Street i musiałem się targować całe godziny. Ludzie znają dziś cenę wszystkiego, nie znając wartości niczego.

— Ach, muszę już odejść — zawołała lady Henry, przerywając krępujące milczenie nagłym głupim śmiechem. — Przyrzekłam księżnie, że wyjadę z nią trochę. Adieu, Mr. Gray, adieu Henry. Jesteś gdzieś zaproszony? Ja również. Może się spotkamy u lady Thornbury.

— Prawdopodobnie, moja droga — rzekł lord, zamykając za nią drzwi.

Wymknęła się z pokoju jak ptak rajski, co całą noc spędził na deszczu i pozostawiła za sobą słabą woń migdałowego kwiecia.

Lord Henry zapalił papierosa i rzucił się na sofę.

— Nigdy się nie żeni, Dorjanie z kobietą o słomiano-blond włosach.

— Czemu, Harry?

— Bo są sentymentalne.

— Ale ja lubię ludzi sentymentalnych.

— Wogóle się nie żeń, Dorjanie. [Mężczyźni żenią się, bo są znużeni, kobiety — przez ciekawość. I obie strony doznają rozczarowania.]

— Nie wiem Harry, czy się ożenię. Jestem zanadto zakochany. To twój aforyzm. Ja go zastosowuję praktycznie! To samo czynię zresztą z wszystkimi przez ciebie wygłaszanymi ideami.

— W kim jesteś zakochany? — po chwilowej pauzie spytał Henry.

— W aktorce — rumieniąc się rzekł Dorjan Gray.

Lord Henry wzruszył ramionami.

— Debjutujesz komunąłem.

— Harry, gdybyś ją widział, nie powiedziałbyś tego.

— Kto ona?

— Nazywa się Sybila Vane.

— Nigdy o niej nie słyszałem.

— Nikt o niej dotąd nie słyszał. Ale usłyszą wszyscy. Ona jest genjuszem.

— Mój drogi chłopcze, żadna kobieta nie jest genjuszem. Kobieta jest rodzajem dekoratywnym. Nigdy niema nic do powiedzenia, ale to nic wyowiada czarująco. Kobieta oznacza triumf materji nad duchem, jak męczyzna triumf ducha nad moralnością.

— Harry, jak możesz!...

— Mój drogi Dorjanie, kiedy tak jest w isto-

cie. Właśnie się zajmuję analizą kobiety. Muszę więc o tem wiedzieć. Kwestja nie jest wcale tak zawiła, jak sądziłem. Dochodzę do konkluzji, że w gruncie rzeczy istnieją tylko dwa rodzaje kobiet: brzydkie i malowane. Nieładne kobiety są bardzo użyteczne. Jeśli chcesz zdobyć opinię porządnego człowieka, to wystarczy jednej z nich podać ramię i poprowadzić ją do stołu. Te drugie są czarujące. Jeden tylko popełnia błąd. Malują się, by wyglądać młodo. Nasze babki malowały się, by mówić świetnie. *Rouge* i *esprit* szły w parze. To minęło. Kobieta jest zupełnie zadowolona, dopóki się jej udaje wyglądać o dziesięć lat młodziej od swej córki. Co się tyczy rozmowy, to w Londynie jest tylko pięć kobiet, z którymi warto mówić, a z tych dwie nie mogą być dopuszczone do przyzwoitego towarzystwa. Ale opowiadaj mi o tym swoim genjuszu. Jak dawno ją znasz?

— Ach, Harry, wobec twoich poglądów nie mam już odwagi.

— Nie zważaj na to. Jak dawno ją znasz?

— Trzy tygodnie niespełna.

— Gdzie ją poznałeś?

— Opowiem ci, Harry, ale nie wolno ci być tak nieczułym. Bo ostatecznie gdybym nie był poznał ciebie, i to nie byłoby się stało. Ty rozbudziłeś we mnie dzikie pragnienie poznania życia. W pierwszych dniach znajomości z tobą, coś jakby

bezustannie drgało w mych żyłach. Wałęsając się po parku, przyglądałem się każdemu człowiekowi którego napotykałem i paliła mnie szalona ciekawość poznania jego życia. Niektórzy wywierali na mnie wpływ fascynujący. Inni przejmowali trwogą. W powietrzu unosiła się trucizna. Namiętnie szukałem sensacji. Wreszcie, pewnego wieczora o godzinie siódmej, wyruszyłem szukać przygód. Czułem, że ten szary, olbrzymi Londyn, ze swemi mirjadami ludzi, brudnych grzeszników i wspaniałych grzechów, jak to raz określiłeś, musiał dla mnie coś przysposobić. Wyobrażałem sobie tysiączne ewentualności. Samo niebezpieczeństwo przejmowało mnie zachwytem. Przyszło mi do głowy, co mi powiedziałeś owego cudnego wieczora, kiedy poraz pierwszy razem jedliśmy obiad, że prawdziwa tajemnica życia polega na poszukiwaniu piękna. Czego oczekiwałem, nie wiem, dość, że wyszedłem z domu i ruszyłem ku dzielnicom wschodnim. Wkrótce zabłąkałem się w labiryncie brudnych ulic i ciemnych, pustych placów. O pół do ósmej stanąłem przed jakimś śmiesznym teatrzykiem, o jaskrawem oświetleniu gazowym i krzykliwych afiszach. Obrzydliwy żyd, w najdziwaczniejszym surducie, jaki kiedykolwiek widziałem, stał u wnijscia, paląc ordynarne cygaro. Miał przylepiające się do twarzy loczki, a u górsu zmiętej koszuli świecił olbrzymi djament.

— Weźmie mylord łóżę? — spytał, zobaczysz.

szy mnie i z miną wyniosłej uniżoności zdjął kapelusz. Było w nim coś takiego, Harry, co mnie bawiło. Taki był okropnie śmieszny. Będziesz się ze mnie śmiał, Harry, ale istotnie wszedłem i zapłaciłem całą gwineję. Do dzisiejszego dnia nie mogę sobie wytłumaczyć, jak to się stało, a jednak, gdyby się nie było stało — mój drogi Harry, gdyby to się nie było stało... ominąłby mnie był największy romans mego życia. Widzę, że się śmiesz. To szkaradnie z twojej strony.

— Nie śmieję się, Dorjanie, a przynajmniej nie z ciebie. Ale nie powinieneś mówić: największy romans mego życia. Mów: pierwszy romans mego życia. Ciebie będą kochać zawsze, a ty będziesz zawsze kochał miłość. Grande passion jest przywilejem ludzi, nie mających nic do czynienia. Jedyna to korzyść próżniaczych klas jakiegoś kraju. Nie obawiaj się! Czekają cię rozkosze wyjątkowe. To dopiero początek.

— Uważasz mnie za tak płytkiego? — gniewnie zawołał Dorjan Gray.

— Nie: uważam cię za tak głębokiego.

— Jak to rozumiesz?

W. Drogi mój chłopcze, ludzie, którzy tylko raz w życiu kochają, są właśnie prawdziwie płytki. To, co oni nazywają wiernością, ja nazywam osłabiającym wpływem przyzwyczajenia lub brakiem wyobraźni. Wierność jest dla życia uczuciowego tem, czem, konsekwencja dla życia intelektu —

mianowicie przyznaniem się do niepowodzenia. Wierność? Muszę ją kiedy poddać analizie. Mieści się w niej namiętność posiadania. Mieści się w niej wiele rzeczy, którebyśmy chętnie odrzucili, gdybyśmy się nie obawiali, że je podniosą inni. Ale nie będę ci przerywał. Opowiadaj dalej.

— Otóż siedziałem w olbrzymiej łoży, mając przed oczami ordynarną kurtynę. Uchyliłem nieco portjery i rozejrzałem się po sali. Było to coś niesłychanie jaskrawego, przepelnionego mnóstwem kupidynów i rogów obfitości, niby piernik na weselu mieszczańskim. Galerja i parter były szczelnie zapchane, ale dwa rzędy brudnych łóż stały zupełnie puste, a rzadko też widniała jakaś postać na t. zw. pierwszorzędnych miejscach. Kobiety roznosiły pomarańcze i wino imbierowe, a wszyscy jedli orzechy.

— Musiało tam być zupełnie taksamo, jak za świetnej epoki dramatu angielskiego.

Sądzę, że zupełnie taksamo i to było strasznie przygnębiające. Zacząłem się już zastanawiać, co by tu począć, gdy właśnie wpadł mi w oczy afisz. Harry, zgadnij, jaką sztukę tam grano?

— Ach »Małego idjotę«, albo »Niema, lecz niewinna«. Nasi ojcowie musieli lubić podobne rzeczy. Im dłużej żyję, Dorjanie, tem wyraźniej czuję, że to co było dość dobre dla naszych ojców, dla nas nie jest już dość dobre. W sztuce

tak samo jak w polityce: gles randpères ont toujours tort.

— Nie, Harry. Tym razem sztuka była dość dobra i dla nas. »Romeo i Julja«. Wyznaję, że byłem nieco przerażony perspektywą zobaczenia Shakespeare'a w tej nędznej budzie. Ale po części byłem też zainteresowany. W każdym razie postanowiłem pozostać przez pierwszy akt. Orkiestra była straszna. Jakiś młody hebrajczyk dyrygował przy rozstrojonym fortepianie. To mnie omal nie wypędziło, ale ostatecznie podniesiono kurtynę i rozpoczęło się przedstawienie. Romea grał jakiś statszy jegomość z poczernionymi brwiami, ochrypłym głosem tragika i figurą, przypominającą beczkę piwa. Merkutio nie był też o wiele lepszy. Grał go jakiś szarżujący komik, który wplatał swe własne dowcipy i był na bardzo poufalej stopie z galerją. Obydwaj byli tak samo śmieszni jak scena, która zdawała się przedstawiać chatę wyrobników. Ale Julja! Harry, wyobraź sobie dziewczynę zaledwie siedemnastoletnią, o twarzyczce delikatnej jak kwiat, o małej greckiej główce, ujętej w koronę ciemnobronzowych warkoczy, oczach, niby ciemnobłękitna toń namiętności i ustach jak listki różane. Ona jest najczarowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Powiedziałeś raz, że patos wcale na ciebie nie działa, ale piękność, sama piękność zdolna ci łzy wyciskać. Powiadam ci, Harry, że zaledwie ujrzałem tę dziewczynę, łzy przesło-

niły mi oczy. A głos jej — w życiu nie słyszałem podobnego głosu. Z początku był bardzo cichy, o głębokich, miękkich tonach, które zdawały się wpadać do ucha pojedynczo. Później stał się silniejszy i brzmiał jak flet lub dalekie tony oboji. W scenie ogrodowej miał całą tę drżącą ekstazę, jaką słyszy się przed wschodem słońca, gdy słowiki śpiewają. Później przyszedł momenta, w których oddawał dziką namiętność skrzypiec. Wiesz przecież, jak głos na mnie działa. Głosu twego i głosu Sybili Vane nie zapomnę nigdy. Kiedy zamykam oczy, słyszę obydwu i każdy mówi inaczej. Nie wiem, za którym pójść. Czemu nie miałbym jej kochać? Harry, ja ją kocham. Ona dla mnie wszystkim. Chodzę tam co wieczór, aby ją widzieć. Jednego wieczora jest Rozalindą, drugiego Imogeną. Widziałem ją umierającą w ponurym mroku włoskiej kaplicy, gdzie piła truciznę z ust kochanka. Przebiegałem z nią Ardeny, gdy wędrowała jako śliczny chłopiec przybrana w hajdawerki, kurtkę i czapeczkę. Jako obłąkana, przysłała do występnego króla, przynosząc mu rutę i gorzkie zioła. Była niewinna, a czarne ręce zawiści złamały ją niby żdźbło. Widywałem ją o każdej porze, w każdym kostjumie. Zwykle kobiety nigdy nie działają na naszą wyobraźnię. Muszą się ograniczać do ciasnego domostwa. Nie zmienia ich żaden blask. Dusze ich poznaje się tak łatwo, jak ich kapelusze. I zawsze je można widywać. Nie otacza

ich żadna tajemnica. Rano wyjeżdżają do parku a po południu paplają przy herbacie. Stale mają swój wieczny uśmiech i elegancką postać. Takie są przeźroczyste. Tymczasem aktorka! Jakże inną jest aktorka! Harry, czemu mi nie powiedziałeś, że jedyną istotą, godną miłości jest aktorka?

— Ponieważ kochałem ich tak wiele, Dorjanie.

— O tak, zapewne jakieś straszne dziewczęta o farbowanych włosach i malowanych twarzach.

— Nie gardź farbowanymi włosami i malowanymi twarzami. Mają one niekiedy dziwny urok — rzekł lord Henry.

— Żałuję, że ci w ogóle opowiedziałem o Sybili Vane.

— Musiałbyś mi być przecież opowiedzieć Dorjanie. Przez całe życie będziesz mi opowiadał wszystko, co czynisz.

— Tak, Harry i ja tak sądzę. Muszę ci wszystko opowiadać. Masz nademną dziwną władzę. Gdybym kiedyś popełnił zbrodnię, przyszedłbym do ciebie się wypowiadać. Tybyś mnie zrozumiał.

— Tacy ludzie jak ty — swawolne słoneczne promienie życia — nie popełniają zbrodni, Dorjanie. Mimo to dziękuję ci za komplement. A teraz powiedz mi — proszę cię o zapalki — powiedz mi, jaki jest twój istotny stosunek do Sybili Vane?

Dorjan Gray zerwał się z płomieniem na twarzy i ogniem w oczach.

— Harry! Sybila Vane jest święta.

— Tylko święte rzeczy godne są dotknięcia — rzekł lord Henry z dziwnym odcieniem patosu w głosie. — Ale czemu się irytujesz? Sądzę, że pewnego dnia zostanie twoją. Gdy kochamy, ludzimy najpierw siebie samych, a potem drugich. Świat to nazywa romansem. Znasz ją zapewne.

— Naturalnie, że ją znam. Zaraz pierwszego wieczora kiedy byłem w teatrze, przyszedł do mojej łóży po przedstawieniu ten obrzydliwy żyd, proponując mi, bym poszedł z nim za kulisy, a przedstawi mnie Julji. Wpadłem we wściekłość i powiedziałem mu, że Julja od wieków spoczywa martwa w marmurowym grobowcu w Veronie. Wnosząc z jego przerażonego spojrzenia, musiał sądzić, że piłem za wiele szampana.

— To mnie nie dziwi.

— Potem mnie spytał, czy pisuję do jakiej gazety. Powiedziałem mu, że nigdy żadnej nie czytałem. Był strasznie rozczarowany i zwierzył mi się, że cała krytyka teatralna uwzięła się na niego i że każdego recenzenta można przekupić.

— Nie dziwiłoby mnie, gdyby miał słuszość. Ale sądząc z ich wyglądu, to muszą się chyba nie zbyt drożyć.

— On widocznie sądził, że jego środki na to nie pozwalają — zaśmiał się Dorjan. — Tymczasem pogaszono lampy w teatrze i musiałem odejść. Nalegał jeszcze, bym zapalił cygaro, które strasznie mi zachwalał, ale odmówiłem. Następnego wieczora

ra przyszedłem oczywiście znowu. Zobaczywszy mnie, skłonił się głęboko, nazywając mnie wspaniałomyślnym mecenasem sztuki. Arogancki to drab, ale ma istotne zamiłowanie do Shakespere'a. Opowiadał mi raz z dumną miną, że swoje trzykrotne bankructwo zawdzięcza »bardowi«, jak go nazywał. Zdaje się, że poczytywał to sobie za zasługę.

— To była zasługa, mój drogi Dorjanie — wielka zasługa. Ludzie bankrutują po największej części skutkiem zbytniego uwikłania się w prozie życia. Być zrujnowanym przez poezję — to za=szczyt! Ale kiedy po raz pierwszy mówiłeś z miss Vane?

— Trzeciego wieczora. Grała Rozalindę. Nie mogłem sobie odmówić pójścia za kulisy. Rzuciłem jej parę kwiatów, a ona spojrzała na mnie! tak mi się przynajmniej zdawało. Stary żyd nalegał, że mi pokaże cały budynek, więc się zgodziłem. To dziwne, że nie chciałem jej poznać — nieprawdaż?

— Wcale nie.

— Dlaczego nie? Powiedz mi, mój drogi Harry?

— Innym razem, teraz opowiadaj mi o dzie=wczyne.

— O Sybili? Ach, ona była tak strwożona i tak delikatna. Coś w niej jest dziecinne. Oczy jej rozszerzyły się w czarującym zdumieniu, kiedy jej mówiłem, co myślę o jej grze, zdawała się nic nie wiedzieć o własnej potędze. Zdaje mi się, że oboje

byliśmy nieco podnieceni, Stary żyd z obrzydliwym uśmiechem stał u brudnych drzwi garderoby, gdy my przyglądaliśmy się sobie wzajemnie jak dwoje dzieci. Uparł się, by mnie tytułować mylordem i musiałem zapewnić Sybilę, że zgoła nie jestem żadnym mylordem. Odpowiedziała całkiem naiwnie:

— Raczej pan wygląda na księcia. Muszę pana nazywać »księciem z bajki.«

— Słowo daję, Dorjanie, że miss Sybila umie robić komplementa.

— Ty jej nie rozumiesz, Harry. Uważała mnie poprostu za jakąś postać z dramatu. Wcale nie zna życia. Mieszka przy matce, zwiędłej, znuzonej kobiecie, która pierwszego wieczora grała lady Ca-pulet w jakimś zmiętym penioarze, a wygląda, jakby lepsze pamiętała czasy.

— Znam to... strasznie deprymujące — mrucnął lord Henry, przyglądając się swym pierścieniom.

— Żyd chciał mi opowiedzieć jej historję, ale powiedziałem, że mnie to nic nie interesuje.

— Miałeś słuszość. Tragedje drugich mają w sobie zawsze coś nieskończenie trywialnego.

— Mnie zajmuje wyłącznie Sybila. Co mi na tem, skąd ona pochodzi? Od główki aż do małych nóżek jest wprost boska. Przez całe życie będę tam chodził co wieczora, aby ją widzieć grającą, bo co wieczora jest cudowniejsza.

— Więc z tego powodu nigdy teraz nie jadasz

ze mną obiadu. Myślałem już, że masz jakiś niezwykły romans. No, masz go, ale niezupełnie taki, jak oczekiwałem.

— Mój drogi Harry, przecież codziennie jada-
my razem śniadanie, albo kolację. Kilka razy by-
łem nawet z tobą w Operze — rzekł Dorjan Gray
ze zdumienia rozszerzając żrenice.

— Przychodzisz zawsze strasznie późno.

— Bo istotnie nie mogę sobie odmówić patrze-
nia na grę Sybili, chociażby przez jeden akt. Tra-
wi mnie żądza patrzenia na nią, a kiedy myślę
o tej cudnej duszy, ukrytej w drobnej figurce
z kości słoniowej, przejmuje mnie lęk zbożny.

— Dorjanie, wszak możesz zjeść dziś ze mną
kolację?

Potrząsnął głową przecząco.

— Dziś wieczór jest Imogeną — odparł — a ju-
tro Julją.

— Kiedy jest Sybilą Vane?

— Nigdy.

— Gratuluję ci.

— Jakiś ty straszny! Ona jednoczy w sobie
wszystkie wielkie bohaterki świata. Jest czemś wię-
cej, niż istotą jednostkową. Śmiesz się, ale ja ci
powiadam, że ona jest genjuszem. Kocham ją, a ona
musi mnie pokochać. Ty znasz wszystkie tajemnice
życia, powiedz mi więc, jak oczarować Sybilę
Vane, aby mnie pokochała. Chcę wzbudzić za-
zdrość Romea. Chcę, aby zmarli kochankowie ca-

tego świata, słyszeli nasz śmiech i posmutnieli. Chcę, aby tchnienie naszej namiętności obudziło w prochach ich świadomość, popioły ich przejęło bólem. Mój Boże, Harry, jakże ja ją ubóstwiam!

Biegał po pokoju, tam i napowrót, a gorączkowy rumieniec płonął na jego twarzy. Był strasznie podniecony.

Lord Henry obserwował go z subtelnem uczuciem satysfakcji. Jakże innym był w tej chwili od trwożliwego, nieśmiałego chłopca, którego zastał był w pracowni Hallwarda. Istota jego rozwinęła się jak kwiat, rozkwitła szkarłatnym płomieniem kwiecia. Dusza wysunęła się ze swej tajnej kryjówki, a naprzeciw niej wybiegło pragnienie.

— I co zamierzasz uczynić? — spytał wreszcie lord Henry.

— Ty i Bazyli Hallward musicie ze mną pójść którego wieczora, by ją widzieć grającą. Sądu waszego się nie boję. Uznacie jej genjusz. Wtedy będziemy ją musieli wyswobodzić z rąk tego żyda. Jest związana kontraktem jeszcze na trzy lata — co najmniej jeszcze na dwa lata i ośm miesięcy. Muszę mu oczywiście dać jakieś odszkodowanie. Gdy to załatwię, wezmę jeden z West-End teatrów i dam jej sposobność godnego wystąpienia. Musi świat cały oczarować, taksamo jak mnie.

— To niemożliwe, mój drogi chłopcze.

— A jednak ona to robi. Ona nietylko posiada artyzm, najdelikatniejszą intuicję artystyczną,

ale ma także własną indywidualność, a ty mi przecież powiedziałeś, że nie zasady, lecz indywidualności rządzą światem.

— Kiedy zatem pójdziemy?

— Poczekaj... dzisiaj jest wtorek. Powiedzmy jutro. Jutro gra Julję.

— Pięknie. Hotel Bristol, o ósmej. Zawiadomię Bazylego.

— Nie o ósmej, Harry. Proszę cię, o wpół do siódmej! Musimy tam być przed podniesieniem kurtyny. Musicie ją widzieć w pierwszym akcie, kiedy się spotyka z Rome'em.

— O wpół do siódmej! Co za pora! To jakby herbata w dzień, albo czytanie angielskich powieści. Najwcześniej już o siódmej. Żaden dżentleman nie jada przed siódmą. Czy zobaczysz się przedtem z Bazylim? A może ja mu mam napisać?

— Poczcwiwy Bazyli! Nie widziałem go od tygodnia. Szkaradnie to właściwie z mojej strony. Przysłał mi mój portret w cudnej ramie, którą sam narysował. Jestem wprawdzie trochę zazdrosny o obraz, ponieważ jest o cały miesiąc młodszy odemnie, ale bardzo się nim cieszę. Nie chciałbym jednak być z Bazylim sam na sam. Mówi zawsze takie rzeczy, które mnie nudzą. Udziela mi mianowicie dobrych rad.

Lord Henry się uśmiechnął.

— Aż nadto chętnie oddajemy to, czego sami najwięcej potrzebujemy. Ja to nazywam głębią hojności.

— O, Bazyli jest najlepszym człowiekiem w świecie, ale zdaje mi się, że trochę filister. Zrobiłem to spostrzeżenie, Harry, gdy ciebie poznałem.

— Mój drogi chłopcze, Bazyli cały swój urok wciela w sztukę. Dlatego jemu samemu nic nie zostało dla życia, prócz przesądów, zasad i zdrowego rozsądku. Jedyni znani mi artyści którzy czarują swą osobistością, są lichymi artystami. Dobrzy artyści istnieją tylko w tem, co tworzą, jako osobistości są zatem zgoła niezajmujący. Wielki poeta, prawdziwie wielki poeta, jest najmniej poetyczną istotą na świecie. Ale mniejsi poeci są wprost czarujący. Im gorsze ich rymy, tem bardziej malowniczo wyglądają oni sami. Sam fakt, że ktoś ogłosił tom lichych sonetów, czyni go niezwykłym. Sam żyje poezją, której nie umie napisać. Inni wypisują poezję, której nie mają odwagi wcielić w życie.

— Czy tak istotnie, Harry? spytał Dorjan Gray, biorąc ze stołu dużą złożoną flaszkę z perfumami, i skrapiając niemi swą chustkę. Tak chyba będzie, skoro ty mówisz. A teraz odchodzę. Imogena na mnie czeka. Nie zapomnij: jutro! Adieu.

Gdy wyszedł z pokoju, lord Henry przymknął ciężkie swe powieki i zaczął rozmyślać. Nie wielu ludzi interesowało go kiedykolwiek w tym stopniu, co Dorjan Gray, a szalone uwielbienie chłopca dla nieznajomej sprawiało mu niemały ból zazdrości. To mu się jednak podobało. Problem stawał się tem

więcej interesującym. Zawsze go nęciła metoda naturalistyczna. Ale przedmiot jej badań był dlań trywialny i obojętny. Rozpoczął więc wiwiskację na sobie samym, której następnie dokonywał na innych. Życie ludzkie było w jego oczach jedynym obiektem godnym badania. W porównaniu z niem, wszystko inne nie miało wartości. Oczywiście, że kto obserwował życie i jego dziwaczny tygiel, w którym przetapiają się radości i bóle, ten nie mógł na twarzy nosić szklanej maski, któraby nie dozwoliła wyziewom siarczanym mącić mózgu i zatruwać fantazji potwornymi obrazami i szpe-tnemi widziadłami. Istniały trucizny tak subtelne, że trzeba było z nich zachorować, by poznać ich działanie. Istniały choroby tak niezwykle, że trzeba je było przeżyć, by poznać ich istotę. A przecież jaka czekała nagroda! Jak świat stawał się cudownym! Zgłębiać dziwnie nieugiętą logikę namiętności i obserwować barwne, burzliwe życie intelektu, podpatrywać gdzie się łączą, a gdzie rozdzielają, gdzie się zlewają w harmonję, a gdzie wydają dysonans — na tem polega rozkosz. Cóż zależy na wkładce? za silne wrażenie nie można nigdy płacić zbyt drogo.

Wiedział — a świadomość ta błyskiem triumfu zaświeciła w jego agatowych ciemnych oczach — wiedział, że potęgą barwnych słów — słów melodyjnych, wypowiedzianych głosem melodyjnym — zwrócił był duszę Dorjana Gray'a ku tej białej

dziewczynie i zgiął ją przed nią w zbożnem uczuciu. Młodzieniec był w znacznej mierze jego dziełem. Uczynił go przedwcześnie dojrzałym. I to coś znaczy. Zwyczajni ludzie czekają, aż im życie odsłoni swe tajemnice, ale nielicznym wybranym objawiają się tajemnice życia przed uchYLENIEM zasłony. Często bywa to dziełem sztuki, zwłaszcza sztuki słowa, zajmującej się bezpośrednio namiętnościami i intelektem. Ale od czasu do czasu jakaś skomplikowana indywidualność obejmuje urząd sztuki, będąc w swym rodzaju sama dziełem sztuki, Bo i życie ma swoje wielkie arcydzieła, podobnie jak poezja, rzeźba i malarstwo.

Tak, chłopiec był przedwcześnie dojrzały. Zbierał swój plon w porze wiosny. Było w nim tętno i namiętność młodości — ale on je sobie stopniowo uświadamiał. Rozkoszą było go obserwować. Ze swą piękną głową i piękną duszą był tem, co można było podziwiać. Cóż na tem zależy, jak się wszystko skończy lub ma skończyć? Był jak jedna z owych wdzięcznych postaci jakiegoś korowodu lub sztuki teatralnej, których radości tak nam są dalekie, których cierpienia budzą jednak zmysł piękną, a których rany są niby róże czerwone.

Dusza i ciało — ciało i dusza! Jakież to tajemnicze! Dusza wykazuje oto pewne właściwości cielesne, a ciało ma swe momenta uduchowienia. Zmysły mogą się uszlachetnić, a duch poniżyć. Kto zdolny powiedzieć, gdzie się kończą popędy

ciała, lub gdzie się zaczynają popędy duszy? Jak powierzchowne są dowolne definicje zwyczajnych psychologów! A jednak — jak trudno się orjentować wśród twierdzeń przeróżnych szkół! Jest-li dusza cieniem, przebywającym w domu grzechu? Albo jest-li istotnie ciało w duszy, jak sądził Giordano Bruno? Oddzielenie ducha od materji jest tajemnicą. A także zjednoczenie ducha z materją pozostaje tajemnicą.

Począł rozmyślać, czy nam się też kiedyś uda podnieść psychologię do poziomu nauki tak ścisłej, aby mogła odśłaniać najdrobniejsze źródła życia. Obecnie fałszywie rozumiemy siebie samych, a rzadko też rozumiemy drugich. Doświadczenie nie posiada wartości etycznej. Jest ono tylko mianem, które człowiek nadał był swym pomyłkom. Moralisci uważali je przeważnie za przestroagę, przyznawali mu wartość etyczną dla kształtowania charakteru, sławili jako coś, co uczy nas, za czem iść, a co omijać należy. Ale siłą poruszającą doświadczenie nie jest. Nie jest siłą poruszającą, tak samo jak nią nie jest sumienie. Czego dowodzi istotnie, to tego jedynie, że przyszłość nasza będzie taką, jaką była przeszłość i że grzech popełniony niegdyś ze wstrętem, niejednokrotnie popełniać będziemy z radością.

Jasnem dlań było, że metoda eksperymentalna jest jedyną, która umożliwia naukową analizę namiętności, a Dorjan Gray jest bezwątpienia obje-

ktem jakby stworzonym dla niego, bo obiecującym rezultat bogaty i płodny. Jego nagła szalona miłość ku Sybili Vane była fenomenem psychologicznym nadzwyczaj zajmującym. Bezwątpienia odgrywa tu wielką rolę ciekawość, ciekawość i pragnienie nowych doświadczeń. Nie była to jednak namiętność prosta, a raczej niezwykle skomplikowana. Co w niej było z czysto zmysłowych instynktów młodości, to pracą fantazji zostało przetworzone, przeobrażone w coś, co chłopcu samemu wydawało się dalekiem od wszelkiej zmysłowości, będąc tem bardziej niebezpiecznem. Bo właśnie te namiętności, co do których pochodzenia się mylimy, tem bezwzględniej nas tyranizują. Najsłabsze są te popędy, które sobie uświadamiamy. Nieraz nam się wydawało, że czynimy eksperymenta na drugich, gdy w istocie eksperymentowaliśmy na sobie samych.

Lord Henry siedział pogrążony w tych rozmyślaniach, gdy nagle zapukano do drzwi i wszedł służący, przypominając mu, że czas ubrać się do obiadu. Wstał i wyrzwał oknem na ulicę. Zachodzące słońce szkarłatnem złotem oblało górne okna przeciwnego domu. Szyby płonęły, jakby były płytami rozżarzonego do czerwoności metalu. Niebo w górze wyglądało jak zwiędła róża. Przyszło mu na myśl młode, płomienne życie przyjaciela i w duchu zapytywał się, jak się ono zakończy.

Gdy o w pół do pierwszej w nocy wrócił do domu, w poczekalni na stole leżała depesza.

Otworzył i przekonał się, że była od Dorjana Gray'a. Donosił, że się zaręczył z Sybilą Vane.

V.

— Mamo, mamó, jaka ja szczęśliwa — szeptała dziewczyna, tuląc twarz do łona znużonej, zwiedłej kobiety, która odwrócona plecami od ostrego, rażącego światła, siedziała w brudnym pokoju. — Taka jestem szczęśliwa — powtarzała — a ty także musisz być szczęśliwa.

Mrs Vane złożyła swe białe, chude ręce na głowie dziewczyny.

— Szczęśliwa! — odparła jak echo — ja wtedy tylko jestem szczęśliwa, kiedy cię widzę na scenie. Nie wolno ci myśleć o niczem innem, jak tylko o twojej sztuce. Mr. Isaaks był dla nas bardzo dobry i jesteśmy mu dłużni dość dużo pieniędzy.

Dziewczyna podniosła oczy i nadąsała się.

— Pieniądze? — zawołała — Mamo, co nas obchodzą pieniądze! Miłość więcej znaczy niż pieniądze.

— Mr. Isaaks dał nam tysiąc marek zaliczki na spłacenie naszych długów i zakupienie porządnej wyprawy dla James'a. Nie wolno ci o tem zapominać, Sybilo. Tysiąc marek to wielka suma. Mr. Isaaks był bardzo dobry.

— On nie jest dżentlemanem mamó, i niena-

widzę sposobu, w jaki ze mną rozmawia — rzekła dziewczyna wstając i podchodząc do okna.

— Nie wiem, jakbyśmy sobie dały radę bez niego — tonem skargi odparła stara kobieta.

Sybila Vane odrzuciła w tył głowę i roześmiała się.

— Nie potrzebujemy go już, mamo. Teraz książę z bajki rządzi naszym życiem. — Powiedziawszy to, zamilkła na chwilę. Krew jej uderzyła do twarzy, zabarwiając ją ciemnym szkarłatem. Szybki oddech rozchylił kwiecie jej warg. Drżały. Wstrząsał nią południowy wicher namiętności, poruszając wdzięczne fałdy jej szat. — Kocham go — rzekła z prostotą.

— Głupie dziecko! głupie dziecko! — brzmiała odpowiedź. Ruch krzywych palców, świecących fałszywymi kamieniami, tem śmieszniej sześmił jej słowa.

Dziewczyna znów się zaśmiała. W głosie jej brzmiała radość schwytanego ptaszka. Oczy jej wchłaniały melodję i wypromieniowywały ją, poczem przymknęły się na chwilę, jakby dla ukrycia tajemnicy. Gdy znów spojrzały, zasnuwała je mgła rozmarzenia.

Z wypętlęgo fotelu cienkie wargi głosiły jej mądrość, wskazując na rozsądek, cytując całe tryady z księgi tchórzostwa, której autor nadużywał imienia zdrowego rozsądku. Ale ona nic nie słyszała. Czuła się wolną w więzieniu namiętności.

Jej książkę, książkę z bajki, był przy niej. Wezwała pamięć do odtworzenia go. Wysłała za nim duszę, a ona go znalazła i przywiodła. Pocałunek jego znów palił jej usta. Powieki ciepłe były od jego tchnienia.

Po chwili mądrość zmieniła metodę i poczęła mówić o przezorności i rozwadze. Ten młody człowiek może być bogaty. Jeśli tak jest, to należy myśleć o skłonieniu go do małżeństwa. O muszelkę jej ucha uderzyły fale chytrłości życiowej. Świsnęły strzały przebiegłości. Widziała, jak cienkie wargi bezustannie się poruszają. Uśmiechnęła się.

Wreszcie uczuła potrzebę mówienia. Milczenie ją niepokoiło.

— Mamo, mamó, dlaczego on mnie tak kocha? Ja wiem, dlaczego ja go Kocham. Kocham go, ponieważ jest takim, jakim być musi miłość sama. Ale co on widzi we mnie? Ja go nie jestem godna. A jednak... nie mogę tego wyrazić... chociaż czuję się tak mała wobec niego, to przecież nie czuję się poniżona. Jestem dumna, mamó, strasznie dumna. Mamó, czy ty kochałaś tak mojego ojca, jak ja Kocham księcia z bajki?

Stara kobieta zbłądła pod grubą warstwą pudru, a suche jej wargi drgnęły otchłanią bólu. Sybiła przypadła do niej, ramionami oplótła jej szyję i zaczęła całować.

— Wybacz, mamó, wiem, że cię boli wspomnienie naszego ojca. Ale boli cię dlatego, ponie-

waż go tak bardzo kochałaś. Nie bądź tak smutna. Ja dziś taka szczęśliwa, jak ty przed dwudziestu laty. O pozwól mi być zawsze szczęśliwą!

— Dziecko moje, za młoda jesteś, by myśleć o miłości. Zresztą — cóż ty wiesz o tym człowieku? Nie znasz nawet jego nazwiska. Wszystko to niewłaściwe i doprawdy, teraz, kiedy James wyjeżdża do Australji, a ja muszę się o tyle rzeczy kłopotać, mogłabyś mieć więcej zastanowienia. Ale jak już powiedziałam, jeśli jest bogaty...

— Ach, mamó, mamó, pozwól mi być szczęśliwą!

Mr. Vane spojrzała na nią i z owym sztucznym gestem teatralnym, który często staje się dla aktora drugą naturą, chwyciła ją w objęcia. W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł młody chłopiec z rozwichrzonym ciemnym włosom. Miał figurę przysadkowatą, duże ręce i nogi, przytem niezgrabny był w ruchach. Trudno byłoby domyśleć się pokrewieństwa między nim a Sybilą. Mrs Vane utkwiała w nim oczy i uśmiechnęła się. W jej wyobraźni syn odgrywał w tej chwili rolę przyglądającej się publiczności. Była pewna, że obraz był zajmujący.

— Sybilo, mogłabyś zachować dla mnie trochę pocałunków — dobrodusznie mruknął chłopak.

— O, przecież ty nie lubisz Jim, gdy cię całuję! — zawołała. — Straszny z ciebie niedźwiedź! Podbiegła ku niemu i uściśnęła go.

James Vane pieścizotliwie patrzył na siostrę.

— Przyszedłem zabrać cię na przechadzkę, Sybilo. Nie wiem, czy jeszcze kiedy zobaczę ten obrzydły Londyn. Najprawdopodobniej — nie!

— Synu mój, nie mów tak strasznych rzeczy — mruknęła Mrs Vane z westchnieniem, biorąc jakiś świecący gałganek z garderoby teatralnej, aby go załatać. Była trochę rozczerowana, że się nie przyłączył do grupy. Tak ogromnie podniósłby był sceniczny efekt sytuacji.

— Czemu nie, mamó? Takie mam przekonanie.

— Ból mi sprawiasz, mój synu. Ja myślę, że powrócisz z Australji, jako człowiek świetnie sytuowany. Zdaje mi się, że w kolonjach wcale nie ma ludzi z towarzystwa, z tego właściwego towarzystwa, skoro więc zrobisz karierę, musisz powrócić i osiąść w Londynie.

— Z towarzystwa! — mruknął chłopak niechętnie. — Nie chcę o niem wiedzieć. Pragnąłbym tylko zarobić trochę pieniędzy, by ciebie i Sybilę zabrać ze sceny. Nienawidzę teatru!

— Ach, Jim, jakiś ty niedobry! — zaśmiała się Sybila. — Ale czy naprawdę chcesz ze mną wyjść na przechadzkę? To będzie przyjemnie. Już się bałam, że zechcesz pożegnać którego ze swych przyjaciół — Toma Hardy, co ci dał tę szkaradną fajkę, lub Neda Langtona, który drwi z ciebie, że ją palisz. To ładnie z twojej strony, że ostatnią

przechadzkę chcesz odbyć ze mną. Dokąd pójdziemy? Najlepiej do parku.

— Jestem za brzydko ubrany — odparł marszcząc czoło. — Do parku chodzą tylko eleganci.

— Ależ głupstwo... — Jim! prosiła pieszczotliwie, przesuwając ręką po jego ramieniu.

Wahał się przez chwilę.

— Dobrze — rzekł wreszcie — ale ubierz się szybko.

Tanecznym krokiem wybiegła z pokoju. Słychać było jej śpiew, gdy wbiegała na górę. Małe jej stópki stukwały o schody.

Dwa czy trzy razy przeszedł się po pokoju, poczem zwrócił się do cichej postaci w fotelu.

— Mamo, czy rzeczy moje gotowe?

— Tak, James, gotowe — odparła, nie podnosząc oczu od roboty. Od paru miesięcy czuła się zaniepokojoną, ilekroć zostawała sama na sam ze swym szorstkim synem. Jej płytką a jednak skrytą naturę niepokoił jego wzrok. W duchu pytała się, czy czegoś nie podejrzewa. Milczenie — bo nic nigdy nie powiedział — wydało się jej nieznośnem. Poczęła się żalić. Kobiety bronią się zaczepiając, taksamo jak zaczepiają, oddając się nagle.

— Spodziewam się, że będziesz zadowolony ze swej kariery marynarza — mówiła. — Nie wolno ci zapominać, że sam uczyniłeś ten wybór. Mógłbyś być dostać pisaninę u adwokata. Adwokaci, to zawód poważny i często jadają na wsi u najlepszych rodzin.

— Nie cierpię kantorów i nienawidzę pisarzy — odparł. — Ale masz słuszość. Ja sam obrałem sobie karierę. Wszystko, co ci mogę powiedzieć jest: czuwaj nad Sybilą. Nie pozwól jej skrzywdzić. Matko, ty musisz nad nią czuwać.

— James, cóż ty gadasz! Naturalnie, że czuwam nad Sybilą!

— Słyszałem, że jakiś pan codziennie bywa w teatrze, i przychodzi do niej i rozmawia. Czy to prawda? Co to ma znaczyć?

— James, mówisz o rzeczach których nie rozumiesz. W naszym zawodzie jesteśmy przyzwyczajone odbierać dowody uprzejmości. Ja sama swego czasu niejednemu otrzymałam bukiet. Było to wówczas, kiedy istotnie ludzie rozumieli się jeszcze na grze. A co do Sybili, to nie wiem na razie, czy skłonność jej jest poważna lub nie. Ale to pewna, że ten młody człowiek jest skończonym dżentlemanem. Zawsze jest względem nas nadzwyczajnie uprzejmy. Przytem zdaje się być bardzo bogatym i przysyła takie piękne kwiaty.

— Ale nazwiska jego nie znasz — szorstko rzekł chłopak.

— Nie — ze spokojną twarzą odparła matka. — Nie wyjawiał jeszcze prawdziwego nazwiska. To bardzo romantycznie. Należy zapewne do arystokracji.

James Vane przygryzł wargi.

— Czuwaj nad Sybilą, matko! — zawołał —
czuwaj nad nią.

— Synu mój, zasmucasz mnie. Sybila pozostaje
zawsze pod moją troskliwą opieką. Oczywiście,
jeśli ten pan jest bogaty, to nie widzę powodu
przeszkadzania ich małżeństwu. Najpewniej należy
do arystokracji. Wygląda na to. Mógłby być
świetną partją dla Sybili. Cudna byłaby z nich
para. Jest tak niezwykle piękny, że wszyscy się
za nim oglądają.

Chłopiec mruczał coś przez zęby, zgrubiałemi
palcami bębniąc po szybach. Właśnie się odwrócił,
chcąc coś odpowiedzieć, gdy drzwi się otworzyły
i tanecznym krokiem wbiegła Sybila.

— Jacyż wy oboje jesteście poważni! — zawo-
łała. — Co to ma znaczyć?

— Nic — odparł — trzeba przecie być czasem
poważnym. Adieu, mamó, o piątej przyjdę na
obiad. Oprócz koszul wszystko mam spakowane.
Nie potrzebujesz się więc niepokoić.

— Adieu, synu — odparła, skłaniając głowę
z wymuszoną grandezzą.

Irytował ją ton, jakim do niej przemawiał,
a w spojrzeniu jego było coś, co ją trwożyło.

— Pocałuj mnie, mamó — rzekła dziewczyna.
Kwiecie jej ust dotknęło zwiędłego policzka, tchną-
cego chłodem.

— Moje dziecko, moje dziecko! — wykrzyknęła

Mrs Vane, wznosząc oczy do góry, jakby szukała nieobecnej galerji.

— Chodź, Sybilo! — rzekł brat, który nie cierpiał afektacji matki.

Wyszli w migotliwe, od wiatru drgające promienie słoneczne i ruszyli posępną Euston-Street. Przechodnie ze zdziwieniem oglądali się za chmurnym, niezgrabnym chłopcem, w tandetnym, źle skrojonem ubraniu, idącym obok tak pięknej, wydelikacowanej dziewczyny. Wyglądał jak ordynarny ogrodnik przystrojony w cudną różę.

Jim chwilami marszczył czoło, chwytając w przełocie natrętne spojrzenia przechodniów. Czuł wstręt do zwracania na siebie uwagi — właściwość, którą genjusz nabywa późno, ale której człowiek przeciętny nie traci ani na chwilę. Sybila natomiast nie zauważyła wrażenia, jakie wywoływała. Miłość uśmiechem drżała na jej ustach. Myślała o księciu z bajki, a chcąc o nim myśleć tem swobodniej, nie mówiła o nim, lecz szczebiotała o okręcie, którym Jim miał odpłynąć, o złocie, które z pewnością zdobędzie, o cudnej właścicielce skarbów, którą wyswobodzi z rąk niecných rabusiów bukszmańskich, w czerwonych, ohydnych koszulach. Bo on nie zostanie majtkiem, ani jakimś tam chłopcem okrętowym. O nie! Życie marynarza takie jest straszne. Wyobrazić sobie tylko, że on tak siedzi zamknięty w szkaradnym okręcie, a rozhułkane bałwany usiłują się dostać do wnętrza, a czarna

burza chyli maszty i rwie żagle w długie świ-
szczące strzępy! Zaraz w Melbourne musi wy-
siąść, pożegnać pięknie kapitana i natychmiast ru-
szyć w stronę kopalń złota. Zanim tydzień minie,
natrafi na ogromny skarb złota, większy niż kie-
dykolwiek odkryto i przywiezie go na wybrzeże
na wozie, strzeżonym przez sześciu strażników.
Trzykrotnie rabusie buszmańscy go napadną, a za
każdym razem zostaną odparci, poniosłszy przed-
tem wielkie straty. Albo nie, niech lepiej nie idzie
do kopalń złota. To jakieś obrzydliwe wsie, gdzie
ludzie się upijają i mordują wzajem po karczmach
i szkaradnych używają słów. Niech lepiej zostanie
dobrym hodowcą owiec, a pewnego wieczora letnie-
go, wracając z pola, spotka tę piękną właścicielkę
skarbu, którą zbójca uwozi na czarnym koniu. On
go dopędzi, uwolni piękną dziewczynę, która się
w nim naturalnie zakocha, a potem się pobiorą
i wrócą do ojczyzny i zamieszkają w olbrzymim
pałacu w Londynie. O, cudowne czekają go rze-
czy. Ale musi też być dzielny i nigdy nie tracić
cierpliwości; ani rozrzucać lekkomyślnie pienię-
dzy. Ona wprawdzie tylko o jeden rok starsza
od niego, ale o ileż lepiej zna życie! I musi jej
pisać każdą pocztą, a co wieczór modlić się przed
zaśnięciem. Bóg taki dobry — będzie nad nim czu-
wał. Ona także będzie się modliła za niego, a po
kilku latach wróci szczęśliwy i bogaty.

Chłopak przysłuchiwał się z chmurną twarzą.

nie dając odpowiedzi. Tak strasznie cierpiał z powodu tego wyjazdu.

Ale nie to tylko gnębiło go i zasępiało. Mimo braku doświadczenia, doskonale jednak czuł niebezpieczeństwa, nieodłączne od trybu życia Sybili. Ten młody dandys, umizgający się do niej, nie mógł mieć żadnych dobrych zamiarów. Był dżentlemanem i za to go nienawidził — nienawidził go przez jakiś dziwny instynkt rasowy, którego nie umiał sobie wytłumaczyć, a który dla tego właśnie tem silniejszą nad nim zyskał był władzę. Wiedział też, jak płytką i próżną była matka. To też przewidywał wielkie niebezpieczeństwa dla Sybili i jej przyszłości. Dzieci z początku kochają swych rodziców; gdy są starsze, sądzą ich, czasem im wybaczą.

Jego matka! Miał zamiar spytać ją o coś, nad czem rozmyślał w milczeniu od miesięcy, tłumiony śmiech szyderski, który mu zabrzmiął w uszach, gdy pewnego wieczora czekał u drzwi garderoby, wyzwolił w nim całą falę myśli strasznych. Przypomniawszy sobie, że było to jakby uderzenie różgą po twarzy. Brwi ściągnęły mu się w klinowatą zmarszczkę; przygryzł dolną wargę drgającą bolesnym skurczem.

— Jim, nie słyszałeś ani słowa z tego wszystkiego, co mówiłam — zawołała Sybila — a ja ci snuję takie cudne plany na przyszłość. No, powiedzże coś!

— Cóż mam powiedzieć?

— Że będziesz dobry i nie zapomnisz o nas
— odparła ze śmiechem.

Wzruszył ramionami.

— Prędzej ty mnie zapomnisz, niż ja ciebie,
Sybilo.

Zarumieniła się.

— Co przez to rozumiesz, Jim? — spytała

— Masz, słyszę, nowego przyjaciela. Kto on jest? Czemu mi nic o nim nie mówiłaś? On nie ma względem ciebie dobrych zamiarów.

— Jim, przestań! — krzyknęła. — Nie wolno ci nic mówić przeciw niemu. Ja go kocham.

— Nie znasz nawet jego nazwiska — odparł chłopiec. — Kto on jest? Mam prawo wiedzieć o tem.

— Nazywa się: książę z bajki. Nie podoba ci się to nazwisko? O, głupi chłopcze! Nie powinieś go zapomnieć! Gdybyś go zobaczył, powiedziałabyś, że to najcudniejszy człowiek na całym świecie. Spotkasz go kiedyś: po powrocie z Australji. Polubisz go! Wszyscy go lubią, a ja... go kocham. Chciałabym, abyś dziś wieczór mógł przyjść do teatru. On będzie w łoży, a ja będę grała Julję. O, jak ja będę grała! Wyobraź sobie tylko, Jim! Kochać i grać Julję! Gdy on jest obecny! Grać dla niego! Zdaje mi się, że przerażę całą publiczność, przerażę albo oczaruję. Kochać — to znaczy wznieść się ponad siebie. Biedny, szkaradny Mr.

Isaaks będzie wołał przy kasie: genjusz. Podawał mnie za dogmat, dziś wieczór obwieści mnie jako objawienie. Czuję to. A wszyskiem tem jest on, tylko on, książę z bajki, mój cudny, ukochany bóg gracyj. Jestem tak biedna obok niego. Biedna? Co to szkodzi? Gdy bieda włazi drzwiami, miłość wlatuje oknem. Trzeba na nowo napisać nasze przysłowia. Napisano je w zimie, a teraz lato; dla mnie, zdaje mi się, wiosna — taniec kwiatów po błękicie niebios.

— On dżentleman — chmurnie mruknął chłopak.

— Książę! — zawołała triumfująco. — Czego chcesz więcej?

— Chce cię usidlić.

— Drzę na myśl o wolności.

— Chcę cię strzec przed nim!

— Widzieć go, znaczy go ubóstwiać; znać go, znaczy mu ufać.

— Sybilo, tyś oszalała przez niego.

Zaśmiała się i ujęła jego ramię.

— Ty mój dobry, stary Jimie, mówisz, jak gdybyś miał sto lat. Pewnego dnia i ty pokochasz. Wtedy się dowiesz, co to znaczy. No, nie bądź tak chmurny. Powinieneś być zadowolony wiedząc, że jestem szczęśliwsza niż byłam kiedykolwiek, pomimo że odjeżdżasz. Życie było ciężkie dla nas obojga; strasznie ciężkie i twarde. Teraz będzie inaczej. Ty idziesz w nowy świat, a ja go już znalazłam. O, tu są dwa krzesła wolne; siadaj-

my i przyglądamy się eleganckiej publiczności.

Zajęli miejsce wśród tłumu siedzących. Grzędy tulipanów po drugiej stronie alei płonęły jak dwa drgające łuki ogniste. Biały kurz, zwiewny obłok kurzu irysowego zawisł w gorącym powietrzu. Różnokolorowe, mieniające się parasolki, tańczyły i wyłaniały się niby olbrzymie motyle.

Pozwoliła bratu, by mówił o sobie, o swych nadziejach, widokach. Mówił powoli, z trudem. Wymieniali słowa, jak gracze swe marki podczas gry. Sybila odczuwała pewien przykry przymus. Nie mogła radości swej udzielić bratu. Słaby uśmiech, przelotnie krzywiący jego twarz, był jedynym oddźwiękiem, jaki zdołała wywołać. Po pewnym czasie zamilkła zupełnie. Nagle ujrzała złote włosy i śmiejące się usta: w otwartej karecie Dorjan Gray przejeżdżał z dwiema damami.

Zerwała się. — To on! — krzyknęła.

— Kto? — spytał Jim Vane.

— Księżę z bajki — odparła, goniąc oczami ekwipaż.

Skoczył z krzesła i silnie ją chwycił za ramię.

— Pokaż go. Kto to jest? muszę go widzieć!

— krzyknął. Ale w tejże chwili przeleciała w czwórkę zaprzężona kareta księcia Berwicka, a tymczasem pierwszy pojazd zniknął w alei.

— Odjechał — smutno szepnęła Sybila. — Chciałam, abys go był zobaczyć.

— I ja tego chciałem. Bo jak Bóg na niebie, jeśli ci zrobi coś złego, zabiję go!

Spojrzała nań przerażona.

Podniesionym głosem powtórzył swe słowa. Przecięły powietrze jak ostrze sztyletu. Ludzie poczęli na nich zwracać uwagę. Jakaś w pobliżu stojąca dama zachichotała.

— Jim, chodźmy, chodźmy! szepnęła Sybila. Szedł bezwolny, za przeciskającą się przez tłumy dziewczyną. Był zadowolony, że to wypowiedział.

Gdy doszli do pomnika Achillesa, odwróciła się. W oczach jej było współczucie, które uśmiechem spłynęło na usta. Potrząsnęła głową.

— Niemądry jesteś, Jim, strasznie niemądry. Taki z ciebie mruk, nic więcej. Nie wiesz, co mówisz. Jesteś tylko zazdrosny i szorstki. O, chciałabym, abyś się zakochał. Miłość czyni ludzi do-
brymi, a to co powiedziałeś przed chwilą, było czemś bardzo złem.

— Mam szesnaście lat — odparł — i wiem czego chcę. Mama na nic się nie przyda. Nie umie nad tobą czuwać. Żałuję, że odjeżdżam do Australji. Mam wielką ochotę cofnąć całe to postanowienie. I uczyniłbym to, gdybym nie był podpisał umowy.

— Ach, Jim, nie bądź tak strasznie poważny. Jesteś całkiem taki, jak bohaterzy tych głupich melodramatów, w których mama tak chętnie występowała. Nie chcę się z tobą sprzeczać. Widziałam jego, a widok jego jest już szczęściem. Nie kłóćmy

się. Wiem przecie, że nie zrobiłbyś nic złego człowiekowi, którego ja kocham — prawda?

— Dopóki ty go kochasz, prawdopodobnie nie — brzmiała posępna odpowiedź.

— Ja go zawsze będę kochać! — zawołał.

— A on ciebie?

— Biada mu, gdyby było inaczej! — dodał.

Cofnęła się strwożona. Po chwili zaśmiała się i położyła rękę na ramieniu. Wszak to tylko dzieciuch....

Koło Łuku Triumfalnego wsiedli do omnibusu, który ich zawiózł niemal do drzwi nędznego mieszkania na Euston=Street. Było już po piątej i Sybilla przed występem musiała spocząć. Jim nalegał, aby to uczyniła. Woli przytem pożegnać ją, zanim nadejdzie matka. Zaraz zrobiłaby scenę, a on tego nienawidzi.

Pożegnali się w pokoju Sybili. W sercu chłopca nurtowała zazdrość i wyniosła, śmiertelna nienawiść do nieznajomego, który, jak mu się zdało, stanął pomiędzy nimi. A jednak, gdy dziewczyna objęła go ramieniem za szyję, i zanurzyła palce w jego gęstej czuprynie, zmiękł i gorąco ją ucałował. Łzy stały mu w oczach, gdy odchodził.

Matka czekała na dole. Gdy wszedł, mruknęła coś o niepunktualności. Nie odpowiadając, zabrał się do skąpego posiłku. Muchy brzęczały dokoła stołu i łaziły po brudnym obrusie. Wśród turkotu omnibusów i dorożek słyszał ogłuszający głos,

który pochłaniał każdą minutę, pozostającą mu jeszcze do odjazdu.

Po chwili odsunął talerz i twarz ukrył w dłoniach. Czuł, że ma prawo wiedzieć o tem. Powinna mu była dawno powiedzieć, jeśli tak było, jak się domyślał. Matka, ołowiana z trwogi, bacznie go obserwowała. Słowa mechaniczne wychodziły z jej ust. Mięła w ręce rozdartą chustkę koronkową. Gdy wybiła szósta, wstał i skierował się ku drzwiom. Potem odwrócił się i spojrzał na nią. Oczy ich się spotkały. W jej spojrzeniu wyczytał rozpaczliwe błaganie o łaskę. To go rozwścieczyło.

— Matko, chcę cię o coś zapytać — rzekł. Oczy jej błędnie rozglądały się po pokoju. Nie odpowiadała. — Powiedz mi prawdę. Mam prawo wiedzieć o tem. Czy ojciec mój cię zaślubił?

Odetchnęła głęboko. Było to westchnienie ulgi. Straszna chwila, ta chwila, której dniem i nocą obawiała się już od miesięcy — chwila ta nadeszła wreszcie. Ona jednak nie czuła trwogi. Ordynarna bezpośredniość zapytania wymagała bezpośredniej odpowiedzi. Sytuacja nie została przygotowaną stopniowo. Była brutalna. Przypominała lichą próbę.

— Nie — odpowiedziała, dziwiąc się twardej prostocie życia.

— W takim razie ojciec mój był łajdakiem! — krzyknął chłopiec zaciskając pięść.

Potrząsnęła głową przecząco.

— Wiem, że nie był wolny. Kochaliśmy się

bardzo. Gdyby żył, byłby się o nas starał. Nie powstawaj przeciw niemu, mój synu. Był twym ojcem i dżentlemanem. Miał wysokie stosunki!

Przekleństwo wybiegło z jego ust.

— Ja się nie troszczę o siebie — krzyknął. Ale nie pozwól Sybili... To dżentleman, ten co ją kocha — nieprawdaż? A przynajmniej mówi, że kocha... Ma zapewne także wysokie stosunki?

Przez chwilę kobieta doznawała niemiłego uczucia poniżenia. Pochyliła głowę. Drżącymi rękami otarła sobie oczy.

— Sybila ma matkę — szepnęła — ja jej nie miałam.

Chłopiec był wzruszony. Podeszedł do niej, schylił się i pocałował ją w rękę. — Żałuję, jeśli ci wyrządziłem przykrość, pytając o ojca — rzekł — ale nie mogłem zrobić inaczej. Teraz muszę odejść. Adieu. Nie zapominaj, że teraz masz już tylko jedno dziecko i wierz mi, że jeśli ten człowiek skrzywdzi moją siostrę, ja dowiem się kim on jest, wysłedzę go i zakłuję jak psa. To ci przysięgam.

Przesadny gniew, groźba, dziki gest, który jej towarzyszył, szalone, melodramatyczne słowa — wszystko to wprowadziło ją w umiłowaną przez nią atmosferę. Odetchnęła swobodniej i po raz pierwszy od wielu miesięcy szczerze podziwiała swego syna. Chętnie byłaby przedłużyła tę wzruszającą scenę, ale on jej przerwał. Należy znieść kufry i koce. — Portjer wbiegł do pokoju i zniknął

równie szybko. Trzeba się było targować z woźnicą. Nastroj chwili rozprószył się w powszednich szczegółach. Z ponownem uczuciem rozczarowania powiewała z okna rozdartą chustką koronkową, patrząc za odjeżdżającym. Miała wrażenie, że zmarnowaną została wielka sposobność. Pocieszyła się, opowiadając Sybili, jak życie jej będzie odtąd samotne, gdyż pozostało jej już teraz jedno tylko dziecko. Zapamiętała ten frazes. Podał jej się. O groźbie nie wspomniała. Była wypowiedziana żywo i dramatycznie. Czuła, że wszyscy będą się z tego śmiać kiedyś.

VI.

— I cóż, Bazyli, wszak znasz już wielką nowinę? — pytał tegoż wieczora lord Henry, gdy Hallward wszedł do małej salki hotelu Bristol, gdzie nakryto na trzy osoby.

— Nie, Harry, — odparł artysta, oddając kapelusze i płaszcz głęboko się zginającemu służącemu. — Co takiego? Chyba nie z polityki? To mnie nie obchodzi. W Izbie gmin niema nikogo, kogoby warto malować, chociaż niejednemu przydałoby się trochę pokostu.

— Dorjan Gray się zaręczył — rzekł lord Henry, podnosząc nań oczy.

Hallward zerwał się z krzesła i zmarszczył czoło.

— Dorjan zaręczony? — krzyknął. — Niepo-
dobna!

— Tak jednak jest.

— Z kim?

— Z jakąś aktoreczką.

— Nie mogę uwierzyć. Dorjan zbyt jest
wrażliwy.

— Dorjan jest zbyt rozsądny, aby od czasu
do czasu nie popełnić głupstwa, mój kochany
Bazyli.

— Ale małżeństwo jest czemś, na co nie można
sobie częściej pozwalać.

— Chyba w Ameryce — powoli rzekł lord
Henry. — Ale ja nie powiedziałem, że się ożenił.
Powiedziałem, że jest zaręczony. To różnica. Ja
doskonale sobie przypominam, że jestem ożeniony.
ale absolutnie nie pamiętam, czy kiedyś byłem za-
ręczony. Gotów jestem niemal uwierzyć, że na-
ręczonym nie byłem nigdy.

— Ależ uwzględnij pochodzenie Dorjana, jego
stanowisko, majątek. Przecież byłoby z jego strony
absurdem brać żonę z tak niskiej sfery.

— Powiedz mu to, jeśli chcesz, aby się ożenił
z tą dziewczyną. Wtedy to uczyni z pewnością.
Jeśli mężczyzna robi coś bardzo głupiego, to zawsze
z mowców najszlachetniejszych.

— Spodziewam się, Harry, że to dobra dzie-
wczyna. Nie chciałbym, aby Dorjan związał się

z jakąś marną istotą, któraby obniżyła jego charakter i zdeprawowała mu umysł.

— O, ona jest więcej niż dobra — jest piękna — mruknął lord Henry, wysączając z kieliszka wermut z pomarańczówką. — Dorjan powiada, że jest piękna, a on się rzadko myli co do tego. Ten jego portret, przez ciebie zrobiony, szybko w nim rozwinał wrażliwość na powierzchowność drugich. Jest to jeden z wpływów pożytecznych. Mamy ją dziś wieczór zobaczyć — jeśli chłopak nie zapomni o naszej umowie.

— Mówisz serjo?

— Całkiem serjo, Bazyli. Byłbym nieszczęśliwy, gdybym sądził, że mogę kiedykolwiek mówić jeszcze bardziej serjo, niż w tej chwili.

— Ale czy się na to zgadzasz, Harry? — spytał malarz, biegając tam i napowrót i zagryzając dolną wargę. — Nie możesz przecież tego pochwalać. To poprostu głupie zaślepienie.

— Ja już niczego nie chwale, ani nie ganię. To głupie stanowisko wobec życia. Nie poto przychodzimy na świat, by dawać folgę swym przesądom moralnym. Nigdy się nie troszczę o to, co mówią ludzie zwykli i nigdy się sprzeciwiam temu, co robią ludzie czarujący. Jeśli mnie ktoś zachwyca, wolno mu się posługiwać formą dowolną, a ja się z tego cieszę. Dorjan Gray zakochuje się w pięknej dziewczynie, grającej Julję i chce się z nią ożenić. Czemu nie? Gdyby się żenił z Messaliną,

byłby niemniej interesujący. Wiesz, że ja nie należę do tych, co kruszą kopję w obronie małżeństwa. Prawdziwie ujemną stroną małżeństwa jest fakt, że pozbawia ludzi egoizmu. A ludzie nieegoistyczni są bezbarwni. Nie mają indywidualności. Ale istnieją temperamenty, które w małżeństwie stają się jeszcze bardziej skomplikowane, zachowują swój egotyzm i wchłaniają jeszcze niejedno ego. Zmuszeni są prowadzić więcej niż jedno życie. Wyrabiają w sobie wyższą organizację, a wyższa organizacja, jest o ile mi się zdaje, celem naszego bytu. Przytem każde doświadczenie jest cenne, a cokolwiek się da powiedzieć przeciw małżeństwu, bezwątpienia jest ono doświadczeniem. Sądzę, że Dorjan Gray ożeni się z tą dziewczyną, będzie ją przez sześć miesięcy ubóstwiał, a potem pozwoli się oczarować przez inną kobietę. Byłby w każdym razie zajmującym obiektem do studjowania.

— Harry, sam doskonale wiesz, że tego wszystkiego nie traktujesz poważnie. Gdyby życie Dorjana Gray'a zostało zniszczone, nikt nie cierpiałby więcej od ciebie. Jesteś znacznie lepszym, niż się przedstawiasz.

Lord Henry się zaśmiał.

— My wszyscy myślimy tak dobrze o innych, ponieważ obawiamy się o siebie. Podstawą optyizmu jest zwykła obawa. Uważamy się za szlachetnych, przyznając sąsiadom naszym cnoty, które

prawdopodobnie mogą być użyteczne. Chwalimy bankiera, by podnieść swój własny kredyt. Szukamy dobrych stron w rabusiu i spodziewamy się, że oszczędzi naszą kieszeń. Mam największą wzdargę dla optymizmu. A zniszczone życie! Żadne życie nie jest zniszczone, prócz tego, którego rozrost jest powstrzymany. Jeśli chcesz wypaczyć charakter, to potrzebujesz go tylko na obce skierować drogi. A to małżeństwo! Oczywiście byłoby niedorzecznością. Ale istnieją inne, bardziej zajmujące węzły między mężczyzną a kobietą. Ja stanowczo będę je popierał. Mają ten urok, że są modne. Ale oto i Dorjan sam. Powie ci więcej, niżbym ja to mógł uczynić.

— Mój drogi Harry, mój drogi Bazyli, musicie mi obaj powinszować, — zawołał młody człowiek, zrzucając jedwabiem podszyty płaszcz i ściskając rękę przyjaciół. — Nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Wszystko naturalnie, przyszło tak nagle: wszystko co piękne, przychodzi nagle. A jednak zdaje mi się, jakobym przez całe życie tego tylko jedynie był wyczekiwał.

Zarumienił się z radości i wzruszenia i był cudownie piękny.

— Mam nadzieję Dorjanie, że zawsze będziesz szczęśliwy — rzekł Hallward — ale niezupełnie ci wybaczam, że mi nie powiedziałeś o swych zaręczynach. Harry o nich wiedział.

— A ja ci nie wybaczam, że się spóźniłeś na

obiad — wtrącił lord Henry z uśmiechem, kładąc przytem rękę na ramieniu chłopca. — Chodź, siadaj, a zobaczymy, co umie ten nowy kucharz. Później nam wszystko opowiesz.

— Niewiele mam do opowiadania — zaczął Dorjan, gdy siedli przy małym, okrągłym stoliku. — Oto, co się stało. Kiedy wczoraj od ciebie odszedłem, Harry, ubrałem się, zjadłem coś w tej włoskiej restauracyjce, do której mnie wprowadziłeś, a o ósmej poszedłem do teatru. Sybila grała Rozalinę. Rozumie się, że scenerja była obrzydliwa, a Orland idjotyczny. Ale Sybila! Trzeba ją było widzieć! Gdy weszła przebrana za chłopca, była wprost cudowna. Nosila aksamitną kurtkę, koloru mchu, z rękawami barwy cynamonu, lekkie brązowe na ukos sznurowane spodeńki, maleńką zieloną czapeczkę z piórem sokolem, przymocowanem jakimś błyszczącym kamieniem i duży płaszcz z ciemno-czerwoną podszewką. Nigdy nie wydała mi się piękniejszą. Była tak delikatna i czarująca, jak ta tanagryjska figurka w twojej pracowni, Bazyli. Włosy bujnemi puklami okalały jej twarzyczkę, niby ciemne liście bladą różę. A jej gra — no, wszak ją zobaczycie dziś wieczór. Urodzona artystka. Siedziałem wprost oczarowany w brudnej łoży. Zapomniałem, że jestem w Londynie w dziewiętnastym stuleciu. Byłem z ukochaną moją w lesie, którego nikt nigdy nie widział. Po przedstawieniu poszedłem do niej i mówiłem z nią. Kiedy siedzie-

liśmy obok siebie, nagle oczy jej przybrały wyraz, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Usta moje zbliżyły się do jej ust. Pocałowaliśmy się. Nie mogę wam wyrazić, co, czułem w tej chwili. Zdało mi się, że całe moje życie skondensowało się w doskonały moment różowej radości. Ona drżała całym ciałem i słała się jak biały narcyz. Potem padła na kolana i całowała mnie po rękach. Czuję dobrze, że nie powinienem tego wszystkiego opowiadać, ale nie mogę postąpić inaczej. Oczywiście zaręczyny nasze pozostały w tajemnicy. Nie wspomniała o nich nawet swej matce. Nie wiem, co powiedzą moi opiekuni. Lord Radley będzie się z pewnością wściekał. Nic mnie to nie obchodzi. Za rok niespełna będę pełnoletni, a wtedy wolno mi będzie robić, co zechcę. Bazyli, nieprawdaż, że dobrze uczyniłem, szukając ukochanej w poezji, i znajdując żonę w dramatach Szekspira? Usta, które Szekspir nauczył był mówić, do mego ucha wyszeptwały swą tajemnicę. Czułem oplatające mnie ramiona Rozalindy, a Julia całowała me usta.

— Tak, Dorjanie, zdaje mi się, że dobrze uczyniłeś — powoli rzekł Hallward.

— Czy widziałeś ją dzisiaj? — spytał lord Henry. Dorjan Gray przecząco potrząsnął głową.

— Pożegnałem ją w lesie Ardenów, a przywitam w ogrodzie Werony.

Lord Henry w zamyśleniu wysącał szampan.

— Dorjanie, przy którym punkcie wspomniałeś o małżeństwie? I co ona odpowiedziała? A może zapomniałeś o tem wszystkim?

— Mój drogi Harry, nie traktowałem tego jak interesu i nie uczyniłem też formalnej propozycji. Powiedziałem jej, że ją kocham, a ona odpowiedziała, że nie jest godna zostać moją żoną. Nie jest godna! O, dla mnie cały świat jest niczem w porównaniu z nią.

— Kobiety są zastanawiająco praktyczne — mruknął lord Henry. — Znacznie praktyczniejsze od nas. My w podobnych sytuacjach często zapominamy mówić o małżeństwie, ale one zawsze nam to przypominają.

Hallward położył mu rękę na ramieniu.

— Przestań, Harry. Dotknąłeś Dorjana. On nie jest takim, jak inni. Nigdy nie zdołałby kogoś unieszczęśliwić. Ma naturę zbyt subtelną.

Lord Henry poprzez stół patrzył przed siebie.

— Dorjan nigdy nie czuje się przezemnie dotkniętym. Pytałem z najlepszego powodu — z jednego powodu, który usprawiedliwia pytania — z ciekawości. Podług mojej teorii, zawsze kobiety oświadczają się nam, a nie my kobietom. Oczywiście z wyjątkiem klasy średniej. Ale klasa średnia nie jest w modzie.

Dorjan Gray zaśmiał się i w tył odrzucił głowę.

— Jesteś niepoprawny, Harry, ale to nic nie szkodzi. Nie można się na ciebie gniewać. Gdy

zobaczysz Sybilę Vane, uczujesz, że mężczyzna, któryby Sibili Vane wyrządził krzywdę, byłby bestją, dziką bestją. Nie pojmuję, jak można hańbić tę, którą się kocha.

— Ja kocham Sybilę Vane. Chcę ją umieścić na złotym piedestale i patrzeć, jak świat ubóstwia kobietę, która do mnie należy. Czem jest małżeństwo? Zobowiązaniem nieodwołalnym. I dlatego z niego sztych. O, nie sztych, Harry! Małżeństwo jest zobowiązaniem nieodwołalnym, a ja je przyjmuję. Jej zaufanie czyni mnie wiernym, jej wiara — dobrym. Gdy jestem przy niej, żałuję wszystkiego, czego mnie nauczyłeś. Staję się innym, niż mnie dotąd znałeś. Jestem przeistoczony, a samo dotknięcie ręki Sybili Vane każe mi zapomnieć o wszystkich twych fałszywych, czarujących, wspaniałych, trujących teoriach.

— A te są... — spytał lord Henry, biorąc z półmiska trochę sałaty.

— O, te twoje teorie o życiu, miłości, używaniu życia. Wogóle, wszystkie twoje teorie, Harry.

— Tylko w używaniu życia warto mieć teorie — odparł głosem powolnym, melodyjnym. — Ale obawiam się, że moja teoria nie jest moją własnością. Należy do natury, nie do mnie. Przyjemność jest probierzem natury, oznaką jej przyzwolenia. Gdy jesteśmy szczęśliwi, zawsze jesteśmy dobrzy, ale każdy, kto jest dobry, jest też szczęśliwy.

— Ach! Ale co ty rozumiesz pod dobrocią? — zawołał Bazyli Hallward.

— Tak — powtórzył Dorjan, patrząc na lorda Henryka poprzez ciężkie kielichy płomiennych kwiatów, umieszczonych na środku stołu — co ty rozumiesz pod dobrocią?

— Być dobrym znaczy: być w zgodzie z sobą samym — odparł, białemi, cienkimi palcami ujmując wysmukły kieliszek. — Być zmuszonym do zgody z drugimi jest dysonansem. Życie własne — o to właśnie chodzi. Życie naszych sąsiadów... ba, jeśli się chce być obłudnikiem lub purytaninem, to można się chełpić swym zmysłem moralnym, ale w gruncie rzeczy nic nas to wszystko nie obchodzi. Przytem indywidualizm ma istotnie wyższe cele. Dzisiejsza moralność polega na przystosowaniu się do czasu. Mojem zdaniem, najwyższą niemoralnością dla człowieka kulturalnego jest przystosowanie się do czasu.

— Ale to pewna Harry, że człowiek, żyjący wyłącznie dla siebie, strasznie prawo to przeplaca? — wtrącił malarz.

— Tak, my dziś musimy przeplacać wszystko. Gotówem uwierzyć, że istotna tragedia ubogich na tem polega, że na nic sobie nie mogą pozwolić, prócz rezygnacji. Piękne grzechy, jak wszystkie piękne rzeczy wogóle, są przywilejem bogatych.

— Płaci się w inny sposób, nie monetą.

— W jaki sposób, Bazyli?

— Ach, przypuszczam, że wyrzutami sumienia, cierpieniem, czy ja wiem... świadomością ponizienia...

Lord Henry wzruszył ramionami.

— Mój drogi chłopcze, sztuka średniowieczna jest zachwycająca, ale uczucia średniowieczne są niemożliwe. Można je zużytkować w poezji. Naturalnie. Ale w poezji zużytkowuje się tylko te rzeczy, które w życiu wyszły już z użycia. Wierzaj mi, żaden człowiek cywilizowany nie żałuje doznanej przyjemności, a żaden człowiek niecywilizowany nie wie, co to przyjemność.

— Ja wiem, co jest przyjemnością — zawołał Dorjan Gray. — Przyjemność, to ubóstwianie kogoś.

— W każdym razie lepiej ubóstwiać, niż być ubóstwianym — odparł lord, bawiąc się owocami. — Być ubóstwianym, to rzecz szkaradna. Kobiety obchodzą się z nami, jak ludzkość ze swymi bogami. Ubóstwiają nas, a my musimy się męczyć, aby coś dla nich zrobić.

— Jabym powiedział, że wszystko, czego od nas żądają, wpraw nam dają same — poważnie odrzekł chłopak. — One stwarzają w nas miłość! Mają prawo żądać jej napowrót.

— To prawda, Dorjanie! — zawołał Hallward.

— Nic nie jest prawdą — rzekł lord Henry.

— Ale to nią jest — przerwał Dorjan. — Mu-

sisz przyznać, Harry że kobiety dają nam złoto naszego życia.

— Być może — rzekł z westchnieniem — ale wszystkie bez wyjątku domagają się zwrotu — w liczmanach. W tem właśnie cała męka. Kobiety — powiada jeden dowcipny francuz — wzniecają w nas pragnienie dokonywania arcydzieła przeszkadzają nam w ich urzeczywistnieniu.

— Harry, ty jesteś straszny! Nie wiem, za co cię tak lubię.

— Zawsze mnie będziesz lubił, Dorjanie — odparł. — A może się napijecie teraz kawy? Kelner, kawa, *fine-champagne* i papierosy. Nie, papierosy niepotrzebne — mam własne. Bazyli, nie wolno ci palić cygar! Weź papieros. Papieros jest doskonałym typem doskonałej rozkoszy. Daje przyjemność, a nie zaspakaja. Czegoż żądać więcej? Tak, Dorjanie, zawsze mnie będziesz lubił. Ja jestem dla ciebie ucieleśnieniem tych wszystkich grzechów, do których popełnienia nie masz absolutnie odwagi.

— Jakie ty głupstwa wygadujesz, Harry! — zawołał Dorjan, zapalając papieros przy ogniem zięjącym smoku, którego kelner postawił na stole. — Chodźmy lepiej do teatru. Gdy Sybilla wejdzie na scenę, poznacie nowy ideał życia. Ona wam objawi to, czegoście nigdy nie znali.

— Ja znałem wszystko — ze znużeniem spojrzeniem rzekł lord Henry. — Zawsze jednak jestem

wrażliwy na nowe emocje. Boję się tylko, że dla mnie przynajmniej, wcale one już nie istnieją. Ale może twoja cudna dziewczyna potrafi mnie rozruszać. Lubię scenę. Jest o tyle prawdziwszą od życia. Dorjanie, ty jedziesz ze mną. Bardzo mi przykro, Bazyli, ale w moim powoziku jest miejsce tylko na dwie osoby. Musisz wziąć dla siebie dorożkę.

Wstali, wzięli płaszcze i wysączaali kawę, stojąc. Malarz milczał zadumany. Był posepny. Nie mógł znieść myśli o tem małżeństwie, a jednak wydało mu się lepszem od niejednej możliwej ewentualności. Po paru minutach wyszli. Jechał sam, jak się umówili i patrzył na błyszczące światła znikającego przed nim powoziku. Doznawał dziwnego uczucia straty. Czuł, że Dorjan Gray nigdy już nie będzie dla niego tem, czem był poprzednio. Stańto między nimi życie... Pociemniało mu przed oczami, a jaskrawe ożywione ulice rozplynęły się w cieniu. Gdy powóz stanął przed teatrem, miał wrażenie, że się postarzał o kilka lat.

VII

Niewiadomo z jakiego powodu sala teatralna była tego wieczora przepełniona, a gruby żyd, który wybiegł naprzeciw nich, promieniał od ucha do ucha tłustym, dygotlicym uśmiechem. Wśród

poклонów wyniosłej pokory, prowadził ich do łoży, wymachując bezustannie tłustemi, od pierścieni błyszczącemi rękami i piszcząc najwyższym dyszkantem. Dorjan czuł do niego większy jeszcze wstręt, niż zazwyczaj. Miał wrażenie, jakoby przybył zobaczyć Mirandę, a tymczasem zabiegł mu drogę Kaliban. Lordowi Henrykowi natomiast przypadł on do gustu. Tak przynajmniej utrzymywał, obstając przy tem, że musi mu uścisnąć dłoń. Zapewniał nawet, że jest dumny z poznania człowieka, który odkrył genjusz i zbankrutował na poecie. Hallward zajęty był obserwowaniem twarzy na parterze. Gorąco było nieznosne, a żyrandol płonął jak olbrzymia georginja o liściach z żółtego ognia. Chłopcy na galerji pozdejmowali surduty i przewiesili je przez balustradę. Rozmawiali z przeciwną galerją, dzieląc się pomarańczami z siedzącymi dziewczętami. Kilka kobiet na parterze, raz po raz wybuchało śmiechem. Głosy ich były krzykliwe i rażące. Od bufetu dolatywało strzelanie korków.

— Cóż za miejsce do poszukiwania bogini! — ozwał się lord Henry.

— Tak — odparł Dorjan Gray. — Tu ją znalazłem i boginią jest ponad wszystkim, co żyje. Gdy zacznie grać, zapomnisz o wszystkim. Ci prości, szorstcy ludzie, o ordynarnych twarzach i brutalnych gestach, stają się innymi, gdy ona jest na scenie. Siedzą w milczeniu i wpatrują się

w nią. Płaczą i śmieją się, gdy ona zechce. Wydobywa z nich echo, jak ze skrzypiec. Uduchowia ich i wówczas się czuje, że oni są z tejsamej krwi i kości, co my.

— Z tejsamej krwi i kości, co my! O, co to, to nie! — zawołał lord Henry, przez lornetkę obserwując publiczność na galerji.

— Nie zważaj na niego, Dorjanie — rzekł malarz. — Wiem, co chcesz powiedzieć i wierzę w tę dziewczynę. Kogo ty kochasz musi być cudny — a dziewczyna, mogąca tak działać, jak mówisz, musi być piękna i szlachetna. Uduchowiać swą epokę, to warte trudu. Jeśli ta dziewczyna zdolna jest tchnąć dusze w tych, którzy żyli bez duszy, jeśli budzi zmysł piękna w tych, których życie było brudne i szkaradne, jeśli ich wyrывa z egoizmu i czyni zdolnymi do łez nad cierpieniem, które nie jest ich cierpieniem, to godna jest całego twego ubóstwienia, godna jest ubóstwienia całego świata. Małżeństwo to jest całkiem odpowiednie. Z początku w to nie wierzyłem, ale teraz uznaję, że tak jest. Bogowie stworzyli Sybilę Vane dla ciebie. Bez niej byłbyś niedoskonałym.

— Dziękuję ci, Bazyli — odparł Dorjan Gray, ściskając mu dłoń. — Wiedziałem, że ty mnie zrozumiesz. Harry jest tak cyniczny — przeraża mnie. Ale oto orkiestra zaczyna grać. Straszna, ale trwa tylko pięć minut. Potem podniesie się kurtyna i zobaczysz dziewczynę, której chcę ofiarować całe

moje życie, której oddałem wszystko, co we mnie jest dobrego.

W kwadrans później Sybila Vane weszła na scenę wśród prawdziwej burzy oklasków. Tak, była naprawdę precudna, jedna z najcudowniejszych istot — myślał lord Henry — jakie kiedykolwiek widział. W trwożnym swym wdzięku, w załęknionem niejako spojrzeniu, miała w sobie coś ze sarny. Lekki rumieniec, niby cień róży w srebrnem zwierciadle, przemknął po jej twarzyczce, gdy ujrzała przepełnioną, rozentuzjasmowaną salę. Cofnęła się o parę kroków, a wargi jej zdawały się drżeć. Bazyli Hallward zerwał się i zaczął bić brawo. Dorjan Gray siedział bez ruchu, jakby we śnie, wpatrzony w dziewczynę. Lord Henry patrzył przez lornetkę, powtarzając półgłosem:

— Czarująca! czarująca!

Rozpoczęła się scena w przedsionku domu Kapuletów, Romeo w płaszczu pielgrzyma wszedł z Merkucjem i swymi przyjaciółmi. Muzyka niezdarne odegrała parę taktów i rozpoczął się taniec. W tłumie niezgrabnych, i źle ubranych aktorów, Sybila Vane poruszała się jak istota z piękniejszego świata. Postać jej przechylała się w tańcu, jak kwiatu odbicie przechyla się w wodzie. Linje jej szyi były niby linje białej lilii. Ręce przypominały cudne rzeźby z chłodnej kości słoniowej.

Była jednak dziwnie roztargniona. Nie zdawała nawet cienia radości, gdy oczy jej spoczęły

na Romeu. Kilkanaście słów, które miała wypowiedzieć:

Dobry pielgrzymie, bluźnisz swojej dłoni,
Która nie grzeszy zdrożnem dotykaniem,
Jest-li ujęcie rąk pocałowaniem,

Nikt go ze świętych pielgrzymom nie broni —
i następujący po nich krótki dialog wygłosiła całkiem sztucznie. Głos był przecudny, ale ton zupełnie fałszywy. Fałszywy w barwie. Pozbawiał wiersz wszelkiego życia. Kłam zadawał namiętności.

Dorjan Gray zbłądł, patrząc na nią.

Pomieszanie go ogarnęło i trwoga. Żaden z przyjaciół nie śmiał do niego przemówić. Wydała im się najzupełniej pozbawioną talentu. Byli straszliwie rozczarowani.

Wiedzieli jednak, że probierzem dla każdej Julji jest scena balkonowa w drugiej akcie. Postanowili więc zaczekać. Jeśli tu zawiedzie, niema się już czego spodziewać.

Wyglądała czarująco, gdy ukazała się w świetle księżycy. Temu niepodobna było zaprzeczyć. Ale wymuszoność jej gry była nieznośna. I z każdą chwilą się pogarszała. Ruchy stały się rażąco sztuczne. Czuć było przesadę w każdym słowie, które wypowiadała. Prześliczny ustęp:

Gdyby nie ciemność, co mi twarz osłania,
Widziałbyś na niej rozlany rumieniec
Po tem, co z ust mych słyszałeś tej nocy...

wyrecytowała ze sztywną precyzją pensjonarki, kształcącej się u drugorzędnego profesora deklamacji. Gdy przechylona przez balkon, doszła do pięknych strof:

Lubo się cieszę z twojej obecności,
Te nocne śluby nie cieszą mnie jakoś,
Za nagłe one są, za nierozważne,
Podobne niby do błysku, co znika,
Nim człowiek zdąży powiedzieć: błysnęło.
Dobranoc, luby! Oby nam ten wonny

Miłości pączek, przyniósł kwiat niepłonny!... wypowiedziała je takim tonem, jakby żadnego dla niej nie miały znaczenia. Poprostu licha gra. Kompletne fiasko.

Nawet zwykła, niewybredna publiczność na parterze i galerji przestała się zajmować przedstawieniem. Wszczęły się szmery, głośnie rozmowa i sykanie. Żyd, stojący w głębi garderoby, tupał nogami i kłął z wściekłości. Jediną spokojną osobą w całym teatrze była dziewczyna sama.

Po skończeniu drugiego aktu, rozpoczęły się gwałtowne krzyki i sykania. Lord Henry wstał i zaczął wkładać płaszcz.

— Czarująco piękna — rzekł — ale nie umie grać. Chodźmy.

— Chcę wysłuchać sztuki do końca — twarzym i gorzkim tonem odparł Dorjan. — Bardzo mi przykro, Harry, że obydwaj straciliście wieczór. Przepraszam was...

— Mój drogi Dorjanie — przerwał Hallward — zdaje mi się, że Miss Sybila Vane jest chora. Przyjdziemy innym razem.

— Chciałbym, aby była chora — odparł Dorjan. — Nie wydaje się ona tylko zimną i bez uczucia. Najzupełniej się zmieniła. Wczoraj była wielką artystką. Dziś jest przeciętną aktorką.

— Nie mów tak o tej, którą kochasz, Dorjanie. Miłość jest cudowniejsza niż sztuka.

— Obydwie są tylko formami naśladownictwa — zauważył lord Henry. — Ale proszę was, chodźmy już. Dorjanie nie możesz tu pozostać. Ze względów etycznych nie należy patrzeć na złą grę. Sądzę zresztą, że żonie swej nie pozwoliś chyba występować na scenie. Cóż ci na tem zależy, że gra Julję jak marionetka? Jest czarująco piękna, a życie zna taksamo mało jak sztukę. Będzie precudnym obiektem eksperymentalnym. Bo dwa tylko istnieją rodzaje ludzi czarujących: ci, co wiedzą wszystko i ci, co nie wiedzą nic. Na Boga, chłopcze drogi, nie rób tak tragicznej miny. Tajemnica młodości na tem polega, że nigdy nie doznaje się uczucia, z którym nie byłoby do twarzy. Chodź ze mną i Bazylim do klubu. Będziemy palić papierosy i pić za piękność Sybili. Jest piękna. Czegóż chcesz więcej?

— Harry, odejdz — zawołał Dorjan. — Chcę być sam. Bazylu, musicie odejść. Czy nie widzicie, że mi serce pęka?

Gorące łzy napłynęły mu do oczu. Usta drżały gwałtownie. Napowrót rzucił się do łóży, oparł głowę o ścianę i twarz ukrył w dłoniach.

— Bazyli, chodźmy — rzekł lord Henry z niezwykłą miękkością w głosie. I obydwaj skierowali się ku wyjściu.

W parę minut później zapłonęły kinkiety i kurtyna podniosła się do aktu trzeciego. Dorjan Gray zajął poprzednie swe miejsce. Miał twarz bladą, dumną i obojętną. Przedstawienie się wlokło, jak gdyby nigdy nie miało się skończyć. Większa część publiczności opuściła widownię, stukając ciężkiem obuwem i śmiejąc się głośno. Fiasko najzupełniejsze. Ostatni akt odegrano przed pustą niemal widownią. Spuszczono kurtynę wśród chichotania i szmerów niezadowolenia.

Po skończonem przedstawieniu, Dorjan wpadł za kulisy, do garderoby. Tu stała dziewczyna, sama z wyrazem triumfu na twarzy. Oczy jej płonęły cudownym blaskiem. Nawpół rozchylone usta uśmiechały się do jakiejś czarownej tajemnicy.

Gdy wszedł, spojrzała na niego, a twarz jej rozświeciła się bezmierną radością.

— Jakże ja dziś źle grałam, Dorjanie! — zawołała.

— Okropnie! — odparł, patrząc na nią z przeżeniem — okropnie! To było straszne. Czy jesteś chora? Nie masz pojęcia, jakie to było okropne. I nie domyślasz się nawet, co przecierpiałem,

Dziewczyna się uśmiechnęła.

— Dorjanie — rzekła, wymawiając imię to melodyjnie, przeciągle, jakby od miodu słodsze było dla różanego kwiecica jej ust — Dorjanie, ty powinienś być mnie rozumieć. Ale teraz mnie rozumiesz, nieprawdaż?

— Co mam rozumieć? — krzyknął gniewnie.

— Dlaczego tak źle dziś grałam. Dlaczego zawsze już będę grała źle... Dlaczego nigdy już nie zagram dobrze?

Wzruszył ramionami.

— Chora jesteś zapewne. Ale jeśli jesteś chora, to nie powinnaś występować. Na śmieszność się narażasz. Przyjaciele moi byli oburzeni. I ja byłem oburzony.

Zdawała się nie słyszeć jego słów. Radość zupełnie ją przemieniła. Opanowała ją ekstaza szczęścia.

— Dorjanie, Dorjanie — zawołała — zanim ciebie poznałam, teatr był dla mnie jedyną rzeczywistością w życiu. Nim tylko żyłam. Wszystko to brałam za prawdę. Dziś byłem Rozalindą, a jutro Porcją. Radość Beatryczy była moją radością, a ból Kordelji moim bólem. We wszystko to wierzyłam. Zwyczajni ludzie, którzy ze mną grali, wydawali mi się bogami. Pomałowane kulisy były moim światem. Nic nie znałam prócz cieni, które brałam za rzeczywistość. Aż ty przyszedłeś, cudowny mój, ukochany — i wyswobodziłeś duszę

mą z więzienia. Ty mi dałeś poznać rzeczywistość. Dzisiejszego wieczora po raz pierwszy w życiu ujrzałam pustkę, fałsz, próżność blichtru, wśród których się ciągle obracałam. Dzisiejszego wieczora po raz pierwszy zauważyłam że Romeo jest brzydki i stary, księżyc w ogrodzie blaszany, scena miżerna — a słowa, które mówiłam, nieprawdziwe, to nie były moje słowa, nie to, co miałabym do powiedzenia. Ty wniosłeś w życie moje coś wyższego, coś, czego odblask zaledwie dać może sztuka najwyższa. Ty mnie nauczyłeś miłości. Ukochany mój, o mój ukochany! Królewiczu z bajki! Władco życia! Dość już miałam cieni. Ty dla mnie jesteś czemś więcej, niżli wszelka sztuka. Cóż mnie obchodzą marionetki teatralne? Kiedy przyszłam dziś wieczór, nie mogłam pojąć, jak wszystko to raptownie mnie opuściło. Myślałam, że będę czarującą. Tymczasem uczułam, że nic już nie umiem. Nagle rozświetliło mi się w duszy, co to wszystko znaczy. I to uświadomienie było cudowne! Słyszałam ich sykanie i uśmiechałam się. Co oni mogą wiedzieć o takiej miłości jak nasza? Zabierz mnie z sobą Dorjanie, zabierz mnie tam, gdzie będziemy sami. Nienawidzę sceny. Mogłabym grać namiętność, której nie czuję, ale grać to, co mnie ogniem pali — nie mogę! Dorjanie mój, Dorjanie, czy wiesz teraz, co to wszystko znaczy? Gdybym nawet mogła, za świętokradztwo uważałabym teraz grać miłość. Tego mnie ty nauczyłeś!

Padł na sofę i odwrócił się od niej.

— Zabiłaś moją miłość — wyszeptał.

Spojrzała nań zdumiona i zaśmiała się. Milczała. Podeszła do niego i liljowe swe paluszki zanurzyła w jego włosach. Uklękła i przycisnęła usta do jego rąk. Cofnął je i dreszcz go przebiegł.

Zerwał się i skoczył ku drzwiom.

— Tak — zawołał — zabiłaś moją miłość. Przedtem uskrzydliłaś moją fantazję. Teraz nie wzbudzasz nawet mej ciekawości. Przestałaś na mnie działać. Kochałem cię, bo byłaś czarownicą, bo miałaś duszę i genjusz, bo urzeczywistniałaś marzenia wielkich poetów, a w kształt i formę przyoblekałaś cienie. Wszystko to odrzuciłaś. Płytką jesteś i głupia. Boże mój! Szaleńcem byłem, że cię mogłem pokochać. Jakimż byłem głupcem! Teraz nie jesteś dla mnie niczem. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę myśleć o tobie. Nigdy nie wymienię twego imienia. Ty wiesz, czem dla mnie byłaś. Byłaś.... Och, nie mam siły myśleć nawet o tem. Bodajbym cię nigdy nie był widział! Zniszczyłaś romans mego życia. Jakże niewiele wiesz o miłości, mówiąc, że ona zabija twą sztukę! Bez sztuki swej jesteś niczem. Byłbym cię zrobił sławną i wielką i głośną. Świat byłby cię obóstwiał i byłabyś nosiła moje nazwisko. Czem jesteś teraz? Trzeciorzędną aktorką o ładnej twarzy.

Zbielała na twarzy i drżała. Złożyła ręce jak do modlitwy, a głos się jej łamał w gardle.

— Ty chyba nie mówisz serjo, Dorjanie! — wyjąkała. — Grasz komedję!

— Ja, komedję? To pozostawiam tobie. Wszak to umiesz tak wspaniale! odparł z goryczą.

Podniosła się z klęczek i z rozpaczonym wyrazem bólu podeszła ku niemu.

Położyła rękę na jego ramieniu i spojrzała mu w oczy. Odrzucił ją.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknął.

Głuche westchnienie wypadło z jej piersi. Rzuciła mu się do nóg. Leżała u jego stóp, jak kwiat zdeptany.

— Dorjanie, Dorjanie, nie porzucaj mnie! — szeptała. — Żałuję, że nie grałam dobrze. Bezustannie myślałam o tobie. Ale spróbuję tak, spróbuję. Tak nagle na mnie spadła ta moja miłość do ciebie.... Zdaje mi się, że nie byłabym nawet o niej wiedziała, gdybyś mnie nie był pocałował... gdybyśmy się nie byli pocałowali. Jeszcze raz mnie pocałuj, ukochany. Nie odchodź odemnie. Nie zniosłabym tego. Och, nie odchodź odemnie. Mój brat... O nie, nie! On nie mówił serjo. Żartował. Ale ty! Czyż nie możesz mi dziś wybaczyć? Będę pracowała ze wszelkich sił i postaram się grać lepiej. Nie bądź tak okrutny, zato że cię kocham więcej niż cokolwiek na świecie. Przecież tylko jeden raz ci się nie podobałam. Ale masz słuszość, Dorjanie. Należało być więcej artystką. To było

głupio z mej strony, ale nie mogłam inaczej. O, nie opuszczaj mnie, nie opuszczaj!

Dławiło ją łkanie spazmatyczne. Wiła się na podłodze skulona, jak zranione stworzenie, a Dorjan Gray spoglądał na nią swemi pięknymi oczami i dumna wzgarda drgała na jego subtelnie zarysowanych ustach. Uczucia tych, których przesta-
 liśmy kochać, zawsze są śmieszne. Sybila Vane wydała mu się głupio-melodramatyczną. Jej łzy i westchnienia go nudziły.

— Odchodzę — rzekł wreszcie spokojnie i zimno. — Nie chcę ci sprawiać przykrości, ale więcej ci widywać nie mogę. Rozczarowałam mnie.

Plakała bezdźwięcznie i nie odpowiadała, czologając się tylko za nim. Jej drobne ręce wyciągały się na oślep, jakby go szukały. Odwrócił się i wyszedł. W parę minut później był już poza obre-
 bem teatru.

Sam nie wiedział, dokąd szedł. Przypominał sobie później, że przechodził słabo oświetlonymi ulicami koło wąskich, czarnych bram, wzdłuż zaniedbanych domów. Zaczepiały go kobiety, o ochryłym głosie i ordynarnym śmiechu. Pijacy zataczając się na obie strony, wlokli się, miotając przekleństwa, lub pomrukując jak mały. Widział zaniedbane dzieci, przycupnięte na ciemnych schodach i słyszał krzyki i klątwy, dolatujące z cuchnących podwórzy.

Świtać zaczynało, gdy znalazł się tuż przed

Covent Garden. Mrok znikał — i rozświetlone lekką purpurą niebo, wydrążało się powoli w konchę perłową. Duże wozy, naładowane dżącemi w chłodzie liljami, powoli toczyły się po gładkiej, pustej drodze. Powietrze było ciężkie od woni kwiatów, a piękność ich zdawała się nieść balsam jego cierpieniu. Poszedł za wozem aż do rynku i przyglądał się, jak wypakowano rozmaite towary. Jeden z handlarzy w białej kapocie, podał mu świeżych wiśni. Podziękował, dziwiąc się, czemu nie chce przyjąć zapłaty. Mechanicznie zaczął jeść. Wiśnie zerwane o północy miały w sobie chłód światła księżycowego. Długi szereg chłopców, niosących w koszach nakrapiane tulipany, żółte i ponsowe róże, przeciągał przed jego oczami, przeciskając się wśród dużych bladozielonych stosów jarzyn. Wzdłuż hali o szarych, od słońca spłowiałych filarach, wałęsały się gromady brudnych, bosych dziewcząt, czekając końca licytacji. Inne tłoczyły się na Piazza, przed drzwiami kawiarenki, ciągle się otwierającemi i zamykającemi. Ciężkie konie pociągowe tłukły i dzwoniły podkowami o nierówny bruk, potrząsały dzwonkami i wierzgały. Kilku furmanów spało na stosie worów. Gołębie o irysowych szyjkach i kwiecistych nóżkach biegały tu i owdzie, dziobiąc rozrzucone ziarna.

Po chwili przywołał dorożkę i pojechał do domu. Przez parę chwil stał na schodach, patrząc na

cichy pałac o białych, pozamykanych oknach i pstrych storach. Niebo miało teraz barwę czystego opalu, a dachy domów lśniły jak srebro. Z komina przeciwniegiętego wzbijała się cienka smuga dymu. Niby błękitna wstęga rozsnuwała się w mleczno-perłowym powietrzu.

W dużej, złotej, zagrabionej niegdyś z gondoli dożów lampie weneckiej, zwisającej od stropu obszernej, taflowaniem wyłożonej komnaty, migotały jeszcze w trzech świecznikach dogasające płomienie: wyglądały, jak cienki, błękitnawy trójlisc ognisty, otoczony białym żarem. Skręcił lampę, rzucił na stół kapelusz i płaszcz, wszedł do biblioteki i skierował się ku drzwiom sypialni, dużej, ośmiokątnej komnaty, którą czyniąc zadość świeżo rozbudzonemu zamięłowaniu do zbytku, niedawno był urządził nanowo, przyozdabając ściany rzadkimi gobelinami z epoki renesansowej, odkrytymi w jednej z zapomnianych sal Selby Royal'u. Właśnie ujął już za klamkę, gdy wzrok jego mimowoli padł na obraz, malowany przez Bazylego Hallwarda. Cofnął się zdumiony. Potem przerażony wszedł do swego pokoju. Wyjął z butonierki kwiatek i znów się zawahał. Ostatecznie wrócił, stanął przed obrazem i jął mu się badawczo przypatrywać. W słabem świetle wpadającym do pokoju przez jedwabne firanki kremowe, obraz wydawał mu się nieco zmieniony. Inny miał wyraz. Jakoby w ustach czaiło się lekkie okrucieństwo. Dziwne!

Odwrócił się, podszedł do okna i rozsunął firanki. Do pokoju wpłynęła jasna fala światła dziennego, rozpędzając fantastyczne cienie w ciemne kąty, gdzie też przycupnęły strwożone. Ale dziwny wyraz, który wpierv zauważył był na obrazie, nietylko że pozostał, ale nawet ostrzej się zarysował. Drżące jaskrawe światło słoneczne ukazało mu okrutne linje koło ust z tak brutalną wyrazistością, jak gdyby po okropnym jakimś czy- nie sam się przeglądał w zwierciadle.

Począł drzeć. Wziął ze stołu owalne zwierciadło, podtrzymywane przez rzeźbione z kości słoniowej putti — jeden z licznych darów lorda Henryka — i spojrzał w jego gładkie głębie. Ponsowych jego ust nie skrzywiła taka linja. Co to ma znaczyć?

Przetarł oczy, stanął tuż przed obrazem i znów się zaczął wpatrywać. Techniczna strona nie wykazywała żadnych oznak zmiany, a jednak wyraz cały zmieniony był niewątpliwie. Nie mogło być mowy o złudzeniu. Fakt był straszliwie jasny.

Padł na krzesło i począł rozmyślać. Nagle błyskawicą przemknęły mu przez myśl słowa, które wypowiedział był w pracowni Bazylego Hallwarda w dniu wykończenia obrazu. Tak, przypomina sobie dokładnie. Wyraził szalone życzenie, aby sam zachował młodość, obraz natomiast się zestarzał, aby piękność jego nie zwiędła, a twarz na płótnie nosiła ślady jego namiętności i grzechów,

aby na portrecie zarysowały się linje wyryte myślą i cierpieniem, on sam zaś zachował delikatny puch i piękność dopiero co uświadomionej młodości. Czyżby się oto ziściło jego życzenie? Niepodobna. Sama myśl przejmowała go trwogą. A jednak, obraz wisi przed jego oczami z wyrazem okrucieństwa na ustach.

Okrucieństwo! Czyż był okrutnym? Wina to była dziewczyny, nie jego. Marzył o niej jako o wielkiej artystce, oddał jej swą miłość, ponieważ uważał ją za wielką. Okazała się płytką i niegodną. A jednak zdejmował go żal bezmierny na myśl, jak leżała u jego stóp, łkając niby drobne dziecko. Przypominał sobie, z jaką obojętnością się jej przyglądał. Cemu miał taką naturę? Cemu daną mu była taka dusza? Ale on też cierpiał. W ciągu tych trzech strasznych godzin przedstawienia w teatrze, przeżył wieki cierpienia i męczarni nieznanych. Jego życie tyleż warte co jej, ona mu zepsuła chwilę, gdy on ją zranił na całe życie. Przytem kobiety prędzej się nadają do znoszenia cierpień, niż mężczyźni. Żyją swemi uczuciami. Myślą li o swych uczuciach. Jeśli biorą kochanka, to poto tylko, aby mieć kogoś do rozbienia mu scen. To mu powiedział lord Henry, a lord Henry zna kobiety. Cemuż się ma dręczyć z powodu Sybili Vane? Dla niego ona już niczem.

Ale obraz? Co na to powiedzieć? Obraz ten

posiada tajemnicę jego życia i zdradza jego dzieje. Nauczył go kochać własną piękność. Czy teraz chce go nauczyć nienawiści do własnej duszy? Czy kiedykolwiek spojrzy jeszcze na ten portret?

Nie! to tylko złudzenie wzburzonych zmysłów. Straszna noc, którą przeżył, pozostawiła swe cienie upiorne. Na głowę jego padła nagle owa ciemna plama szkarłatna, przyprawiająca ludzi o obłąd. Obraz nie był zmieniony. Głupstwo przypuszczać coś podobnego.

A jednak patrzy oto na niego piękną swą twarzą, wykrzywioną okrutnym uśmiechem. Jasne włosy błyszczą w rannych promieniach słońca. Błękitne oczy spotykają się z jego spojrzeniem. Zdjęto go uczucie niewymownej litości nie nad sobą, lecz nad swym namalowanym wizerunkiem. Był już zmieniony, a większej jeszcze ulegnie zmianie. Złoto jego spłowieje w szarość. Jego róża biała i ponsowa zwiędnie i opadnie. Za każdy grzech, przezeń popełniony, plama skazi i zmąci piękność obrazu. Ale on nie będzie grzeszył. Portret, zmieniony czy niezmieniony, będzie dla niego widocznym znakiem sumienia. Oprze się pokusie. Przestanie się widywać z lordem Henrykiem, a przynajmniej nie będzie słuchał owych wyrafinowanych szkodliwych teoryj, które wówczas, w ogrodzie Bazylego Hallwarda po raz pierwszy wznieciły w nim pragnienie niemożliwości. Wróci do Sybili Vane, naprawi wszystko, ożeni się z nią i postara

się pokochać ją na nowo. Tak, to jego obowiązek. Ona musiała więcej cierpieć niż on. Biedne dziecko! Postąpił z nią samolubnie i okrutnie. Czar, który na niego wywierała, powróci. Będą z sobą szczęśliwi. Obok niej, życie stanie się piękne i czyste.

Wstał z krzesła i dużym parawanem zasłonił obraz. Dreszcz go przebiegł, gdy spojrzał na niego. — To straszne! — szepnął do siebie. Podeszedł ku oknu i roztworzył je szeroko. Wyszedł na trawnik i głęboko zaczerpnął powietrza. Świeży wiew poranku zdawał się płoszyć wszystkie posępne uczucia. Wszystkie jego myśli krążyły już tylko koło Sybili. Ozwało się w nim ciche echo jego miłości ku niej. Raz po raz szeptem powtarzał jej imię. Zdawało mu się, że ptaki śpiewające w uperlonym rosą ogrodzie, o niej kwiatom opowiadają.

VIII.

Było już po południu, gdy się zbudził. Służący kilka razy wchodził na palcach, patrzeć czy się nie porusza i dziwił się, czemu jego młody pan spi tak długo. Wreszcie rozległ się dzwonek i Wiktor wszedł cicho z filiżanką herbaty i stosem listów na tacce ze starej Sévres-China. Rozsunął blado-oliwkowe firanki jedwabne, o jasno-błękitnej podszewce, przesłaniające trzy duże okna.

— Doskonale jasnie pan dziś spał — rzekł z uśmiechem.

— Która to godzina Wiktorze? — spytał Dorjan rozespany.

— Kwadrans na drugą, jasnie panie.

Tak późno! Usiadł, wysączył nieco herbaty i przeglądał listy. Jeden był od lorda Henryka, przyniesiono go rano. Chwilę się wahał, potem odłożył list, nie otworzywszy go. Inne przeglądał nieuważnie. Było, jak zwykle, mnóstwo biletów, zaproszeń, programów koncertów dobroczynnych, jakimi w czasie sezonu bywa codziennie zasypywana cała elegancka młodzież. Nawinął mu się też dość słony rachunek za ostatni serwis w stylu Ludwika XV-go. Nie miał dotąd odwagi zaprezentować go swym opiekunom, gdyż byli to ludzie o przestarzałych pojęciach, nie mogący zrozumieć, że w naszych czasach niezbędnymi są tylko rzeczy zbędne. Prócz tego nadeszło jeszcze sporo bardzo uprzejmych doniesień od agentów, gotowych każdej chwili służyć żadaną sumą na procent umiarkowany.

W dziesięć minut później wstał, zarzucił kosztowny szlafrok z przetykanej jedwabiem wełny kaszmirskiej i przeszedł do łazienki, wyłożonej onyxem. Chłodna woda orzeźwiła go po długim śnie. Zdawał się najzupełniej nie pamiętać o tem, co zaszło. Raz, czy dwa razy przemknęło mu przez duszę niejasne uczucie, jakoby odegrał był rolę

w dziwnej jakiejś tragedji, mającej dlań jednak tylko złudne pozory snu chaotycznego.

Ukończywszy toaletę przeszedł do biblioteki i zasiadł do lekkiego francuskiego śniadania, przy sposobionego na okrągłym stoliku, przy otwartem oknie. Dzień był cudny. Ciepłe powietrze przesycała upojna woń kwiatów. Do pokoju wleciała pszczoła i brzęcząc, okrążała stojącą przed nim błękitną wazę, pełną blado-żółtych róż. Czuł się całkiem szczęśliwy.

Nagle wzrok jego padł na parawan, którym zasłonił był obraz. Wstrząsnął się.

— Jaśnie panu zimno? — spytał służący, stawiając na stoliku omlet. — Czy zamknąć może okno?

Dorjan potrząsnął głową:

— Nie jest mi zimno — mruknął.

Czy to możliwe? Czy portret zmienił się istotnie? Czy tylko fantazja jego podsuwała mu wyraz zły, gdzie widniał jedynie wyraz radości? Tak, niezawodnie. Wszak pomalowane płótno nie mogło ulec takiej zmianie. Idjotyzm... Musi kiedyś całą tę historję opowiedzieć Bazylemu. Uśmiechnie się w odpowiedzi.

A jednak, jak wyraźnie pamięta każdy szczegół. Najpierw w półmroku, później w jasnym świetle wschodzącego słońca widział ten okrutny wyraz koło wykrzywionych ust. Prawie się lękał chwili, gdy służący wyjdzie z pokoju. Czuł, że skoro tyl-

ko zostanie sam, musi znów spojrzeć na obraz. Bał się pewności. Gdy po podaniu kawy i papierosów, służący zabierał się do odejścia, Dorjana zdjęło dzikie pragnienie zatrzymania go w pokoju. Ledwie się drzwi zamknęły, przywołał go napowrót. Służący stanął u drzwi, czekając rozkazu. Dorjan nań spojrzał.

— Niema mnie w domu dla nikogo — rzekł z westchnieniem.

Służący wyszedł z ukłonem.

Wstał od stołu, zapalił papierosa i rzucił się na posłanie z kosztownych poduszek, stojące naprzeciw parawanu. Był to stary parawan z wyzłacanej skóry hiszpańskiej, wyciskanej w bogaty deseń w stylu Ludwika XVI-go. Dorjan przyglądał mu się niemal z ciekawością, rozmyślając czy też już kiedyś przedtem krył za sobą tajemnicę życia ludzkiego.

Czy go może odsunąć? A czemu nie pozostawić, gdzie stoi? Poco widzieć? Jeśli to prawda, to okropne! Jeśli nieprawda, poco się niepokoić? Ale jeśli zrządzenie lub ślepy przypadek obcym oczom ukaże straszną zmianę — co wtedy? A co pocznie, jeśli Bazyli Hallward przyjdzie do niego i zechce oglądać obraz? Bazyli uczyni to z pewnością. Nie, musi rzecz zbadać natychmiast. Raczej wszystko, niż ten straszny stan niepewności!

Wstał i z obydwu stron zamknął drzwi. Chciał przynajmniej być sam przy oglądaniu maski swej

hańby. Usunął parawan i stanął twarzą w twarz naprzeciw obrazu. Prawda. Portret jest zmieniony.

Często i z niemałym zdumieniem przypominał sobie później, że z początku przyglądał się obrazowi niemal z ciekawością badacza. Że zmiana taka się dokonała, wydawało mu się nieprawdopodobieństwem. A jednak był to fakt niezbity. Czyżby istniało tajemne jakieś powinowactwo pomiędzy chemicznymi atomami, co w kształt i barwę połączyły się na płótnie, a przebywającą w nim duszą? Czyż możliwe, aby one kształtowały to, co myślała dusza? Urzeczywistniały, o czym dusza marzyła? Albo, czy istnieje może powód inny, straszniejszy? Dreszcz go przebiegł, uczuł lęk. Wrócił na postanie, położył się i z chorobliwym przerażeniem wpatrywał się w obraz.

A jednak, czuł: portret ten coś dla niego uczynił. Dał mu świadomość, jak niesprawiedliwie, jak okrutnie postąpił z Sybilą Vane. Ale czas jeszcze wszystko naprawić. Mimo wszystko zostanie jego żoną. Jego miłość samolubna i nieprawdziwa ustąpi porywom wyższym, przeobrazi się w uczucie szlachetniejsze, a ten portret malowany przez Bazylego Hallwarda będzie dlań tem, czem dla jednego jest świętość, dla drugiego sumienie, dla trzeciego bojaźń Boga. Istnieją rozmaite rodzaje opium, łagodzące gorycz skruchy, a także trucizny, usypiające poczucie etyczne. Tu natomiast dostrzega on widomy symbol poniżenia przez grzech. Tu do-

strzega wiecznie obecny znak nieszczęścia, które ludzie sprowadzili na swą duszę.

Wybiła godzina trzecia i czwarta, zegar wydzwonił jeszcze dwa kwadranse, a Dorjan Gray nie poruszył się z miejsca. Usiłował pochwycić szkarłatne nici życia i utkać je w deseń, znaleźć drogę w krwawym labiryncie namiętności, w który się zapuścili. Nie wiedział, co czynić i myśleć. Wreszcie siadł i napisał namiętny list do dziewczyny, którą był kochał, błagał ją o wybaczenie, oskarżając siebie o szaleństwo. Jedną stronicę po drugiej zapisywał słowami dzikiego żalu i jeszcze dzikszego bólu. Istnieje przecież przesada w samooskarżeniu. Ganiąc siebie samych, czujemy, że nikt już do tego niema prawa. Spowiedź, nie kaspian, daje nam rozgrzeszenie. Po ukończeniu listu Dorjan uczuł, że uzyskał przebaczenie.

Nagle zapukano do drzwi i z przedpokoju dał się słyszeć głos lorda Henryka:

— Mój drogi chłopcze, muszę z tobą pomówić. Otwórz mi. Nie wolno ci się tak zamykać.

Nie odpowiedział zaraz i zachowywał się całkiem cicho. Pukanie powtórzyło się, mocniejsze niż za pierwszym razem. Tak, najlepiej będzie zobaczyć się z lordem Henrykiem i wyluszczyć mu, że zamierza rozpocząć nowe życie, posprzeczać się z nim, skoro tak być musi, ostatecznie rozstać jeśli to będzie nieodzownem. Zerwał się, parawanem zasłonił obraz i otworzył drzwi.

— Tak mi strasznie przykro, Dorjanie, z powodu tej całej historii — rzekł lord Henry, wchodząc. — Ale tobie nie wolno zbyt nad tem rozmyślać.

— Mówisz o Sybili Vane? — spytał Dorjan.

— Oczywiście — odparł lord Henry, padając na krzesło i powoli ściągając z rąk żółte rękawiczki. — Straszne to poniekąd, ale tyś temu nie winien. Powiedz, czy byłeś jeszcze za kulisami i mówiłeś z nią po przedstawieniu?

— Tak.

— Wiedziałem. Zrobiłeś jej scenę?

— Byłem brutalny. Ale teraz wszystko już dobrze. Niczego nie żałuję, co się stało. Nauczyłem się lepiej znać samego siebie.

— Ach, Dorjanie, cieszy mnie, że tak się na to zapatrujesz. Obawiałem się, że zastanę cię kającącego się w skrusze i wichrzącego swe piękne pukle.

— Tego wszystkiego już zaznałem — z uśmiechem odparł Dorjan, potrząsając głową. — Teraz jestem całkiem szczęśliwy. Całkiem jestem szczęśliwy. Wiem przedewszystkiem, co to jest sumienie. Nie ty mnie tego nauczyłeś. Ono jest w nas pierwiastkiem najbardziej boskim. Nie śmieć się Harry, przynajmniej nie w mojej obecności. Ja chcę się stać dobrym. Nie mogę znieść myśli, że dusza moja jest brzydka.

— Wspaniały podkład artystyczny dla nowej

etyki, Dorjanie. Winszuję ci. Od czego zamierzasz rozpocząć?

— Od ożenienia się z Sybilą Vane.

— Od ożenienia się z Sybilą Vane? — wykrzyknął lord Henry, zrywając się z krzesła, i patrząc na niego z przerażeniem. — Ależ mój drogi Dorjanie...

— Tak Harry, wiem co chcesz powiedzieć. Coś szkaradnego o małżeństwie. Nie mów mi więcej podobnych rzeczy. Przed dwoma dniami prosiłem Sybilę Vane, aby została moją żoną!

— Twoją żoną! Dorjanie! Czy nie otrzymałeś mego listu? Pisałem ci dziś rano i przesłałem bilet przez mego służącego.

— Twój list? O tak, przypominam sobie. Nie czytałem go, Harry. Bałem się, że będzie w nim może coś, coby mi się nie podobało. Szarpiesz życie na strzępy swemi epigramami.

— Nic zatem nie wiesz?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Lord Henry przeszedł raz przez pokój, potem usiadł obok Dorjana, ujął jego obydwie ręce i mocno uściskał.

— Dorjanie — rzekł — mój list... nie przestraszaj się... miał ci powiedzieć, że Sybila Vane nie żyje.

Krzyk bólu wypadł z ust młodego człowieka. Skoczył i wyrwał ręce z uścisku lorda Henryka.

— Nie żyje! Sybila nie żyje! To nie prawda! To kłamstwo przekłete! Jak śmiesz mówić coś takiego?

— To prawda, Dorjanie — poważnie rzekł lord Henry. — Donoszą o tem wszystkie dzienniki poranne. Pisałem ci, abyś nie czytał żadnego, dopóki ja nie przyjdę. Oczywiście, odbędzie się śledztwo i nie można dopuścić, abyś ty został wplątany. Takie rzeczy w Paryżu robią człowieka modnym. Ale w Londynie ludzie są zamało bezprzesądni. Tu nie należy nigdy debiutować skandalem. Należy go zachować, aby się na starość stać przez niego interesującym. Sądzę, że w teatrze nie znają twego nazwiska. Jeśli nie, to wszystko dobrze. Czy cię kto widział, gdy wchodziłeś do jej pokoju? To bardzo ważne.

Dorjan przez kilka minut nie dawał wcale odpowiedzi. Był zdrętwiały z przerażenia. Wreszcie zdławionym głosem wyjąkał:

— Harry... śledztwo, powiadasz? Co to ma znaczyć? Czy Sybila...? O Harry, ja tego nie zniosę! Ale bądź zwięzły. Powiedz wszystko odrazu.

— Dorjanie, jestem pewny, że tu nie chodzi o nieszczęśliwy przypadek, chociaż w ten sposób musi się sprawę przedstawić publiczności. Zdaje się, że około pół do pierwszej wyszła z matką z teatru. Natychmiast jednak wróciła na górę twierdząc, że coś zapomniała. Chwilę na nią czekano, ale już nie wróciła. Ostatecznie znaleziono ją martwą na podłodze w garderobie. Przez pomyłkę napiła się czegoś, z używanych w teatrze

chemikaliów. Nie wiem co to było, ale prawdopodobnie cjankali albo octan ołowiu, Sądzę, że kwas, skoro zaraz umarła.

— Harry, Harry, to straszne! — wykrzyknął Dorjan.

— Tak, bezwątpienia, wypadek strasznie tragiczny, ale nie można dopuścić, aby ciebie w to wplątano. »Standard« pisze, że miała dopiero siedmnaście lat. Mnie wydawała się jeszcze młodszą. Wyglądała na dziecko, a tak mało rozumiała się na grze. Dorjanie, nie wolno ci brać tego tak bardzo do serca. Chodź ze mną na obiad, a potem pójdziemy do Opery. Patti występuje i wszyscy idą. Możesz znaleźć miejsce w łoży mojej siostry. Będzie z nią kilka eleganckich dam.

— Więc naprawdę zamordowałem Sybilę Vane — nawpół do siebie mówił Dorjan Gray — zamordowałem ją, tak niewątpliwie, jakbym nożem poderżnął był jej delikatną szyjkę. Ale róże kwitną dalej, kwitną tak samo pięknie jak przedtem. I ptaki taksamo wesoło śpiewają w moim ogrodzie. A dziś wieczorem mam z tobą być na obiedzie, a potem pójść do Opery, a wreszcie pić gdzieś herbatę. Jakie to życie jest dramatyczne! Harry, gdybym to wszystko wyczytał był w jakiej książce, zdaje mi się, że byłbym nad nią płakał. Teraz, gdy wszystko to stało się rzeczywistością i moją rzeczywistością, wydaje mi się zbyt niemal pięknem dla łez. Oto pierwszy namiętny list miłosny, który

w życiu swem napisałem. Jakie to dziwne, że pierwszy mój list miłosny pisany jest do dziewczyny umarłej. Chciałbym wiedzieć, czy oni też czują, ci biali, milczący ludzie, których nazywamy umarłymi? Sybiło! Czy ona też czuje, dostrzega i słyszy? O Harry, jakże ja ją kochałem! Zdaje mi się, że lata już upłynęły od tego czasu. Była mi wszystkiem. A potem przyszedł ten straszny wieczór — czy to istotnie było dopiero wczoraj? — kiedy tak źle grała, że omal mi serce nie pękło. Wyjaśniła mi to wszystko. Strasznie praktycznie. Ale mnie to nie wzruszyło. Uważałem ją za płytką. Później stało się nagle coś takiego, co mnie wprawiło w przerażenie. Nie mogę ci powiedzieć, co to było, ale było straszne. Powiedziałem, że nigdy do niej nie wrócę. Czułem, że postąpiłem niesłusznie. A teraz ona nie żyje. Boże mój, Boże! Harry, co ja mam uczynić? Ty nie znasz niebezpieczeństwa, jakie mi zagraża i żadnej przed niem niema ucieczki. Przy niej byłbym znalazł ocalenie. Ona nie miała prawa się zabijać. To było z jej strony egoizmem.

— Mój drogi Dorjanie, — odparł lord Henry biorąc papieros i wyjmując zapalnik ze złocisto-bronzonej cygaretniczki — kobieta w ten tylko sposób może mężczyznę zmienić, że go dopóty dręczy, aż całe życie stanie mu się obojętnem. Gdybyś się był z tą dziewczyną ożenił, byłbyś nieszczęśliwy. Naturalnie, że byłbyś dla niej uprzej-

my. Zawsze możemy być uprzejmi dla tych, co nas nie obchodzą. Ale ona aż nazbyt szybko byłaby zrozumiała, że jest ci absolutnie obojętną. A skoro kobieta coś takiego dostrzeże, zaczyna się obrzydliwie zaniedbywać w toalecie, lub nosi cudne kapelusze, za które musi płacić mąż jednej z jej przyjaciółek. Wcale już nie chcę mówić o beztakcie towarzyskim, który byłby wprost okropny i do którego nie byłbym oczywiście dopuścił, ale zapewniam cię — w każdym wypadku byłby to beztakt absolutny.

— I ja zaczynam tak przypuszczać — mruczał Dorjan, chodząc po pokoju, tam i napowrót. Był strasznie blady. — Ale uważałem to za swój obowiązek. Nie moja wina, że ta straszna tragedia uniemożliwiła mi postąpić, jak należało. Przypominam sobie, co raz powiedziałeś, że nad wszystkimi dobrymi postanowieniami unosi się fatalizm: wszystkie bez wyjątku zbyt późno bywają powzięte. Ja swoje powziąłem istotnie za późno.

— Dobrze postanowienia, to bezużyteczne próby wpłynięcia na prawa naukowe. Źródłem ich czysta próżność, rezultatem — absolutna nicość. Od czasu do czasu dostarczają nam owych zbytko-wnych, nieproduktywnych wzruszeń, posiadających pewien urok dla ludzi słabych. Oto wszystko, co się o nich da powiedzieć. Są to czeki wystawione do banku, w którym nie mamy conta.

— Harry — rzekł Dorjan, podchodząc i siada-

jąc obok niego — jak to wytłumaczyć, że tragedji tej nie odczuwam tak, jakbym chciał? Zdaje mi się, że nie jestem przecież człowiekiem bez serca. Czy może nim jestem?

— Dorjanie — odparł lord Henry ze swym miękkim, melancholijnym uśmiechem — zbyt wiele popełniłeś głupstw w ostatnich dwóch tygodniach, aby mieć prawo do tego tytułu.

Dorjan Gray zmarszczył czoło.

— Harry, nie podoba mi się to wyjaśnienie, ale jestem zadowolony, że mnie nie uważasz za egoistę. Bo też nim nie jestem. Wiem o tem. A jednak przyznać muszę, że wypadku tego nie odczuwam tak, jakbym powinien. Robi na mnie raczej wrażenie cudnego zakończenia cudnej sztuki. Ma całą straszliwą piękność greckiej tragedji, w której ja gram rolę główną i wychodzę bez rany.

— Interesujący problem — rzekł lord Henry, z wyrafinowaną przyjemnością bawiąc się nieświadomym egoizmem chłopca — nadzwyczaj interesujący problem. Sądzę, że właściwe wyjaśnienie będzie takie: Często się zdarza, że istotne tragedje życiowe mają przebieg tak nieartystyczny, że ranią nas brutalną swą siłą, brakiem wszelkiego znaczenia, rozerwaniem związku, absolutnem wykluczeniem wielkiego stylu. Działają na nas tak, jak działa prostactwo. Wywołują wrażenie nagiej brutalnej siły, na którą się oburzamy. Czasem jednak zdarza się w życiu naszym tragedia, posiadająca

artystyczne pierwiastki piękna. Jeśli te pierwiastki są prawdziwe, to całość działa tylko na nasz zmysł artystyczny. Odkrywamy nagle, że nie jesteśmy aktorami, lecz widzami. A raczej jednym i drugim. Obserwujemy siebie samych i ulegamy czarowi sztuki. Co na przykład stało się w danym wypadku? Ktoś się zabił z miłości dla ciebie. Żałuję, że ja nie przeżyłem czegoś podobnego. Byłbym się po koniec życia kochał w miłości. Ludzie, którzy mnie ubóstwiali — nie było ich wielu, ale było kilku — zawsze pozostawali przy życiu, pomimo, że dawno się o nich przestałem być troszczyć, taksamo jak oni o mnie. Utyli i stali się nudni, a ile razy ich spotybam, natychmiast zaczynają grzebać we wspomnieniach. Ta podła pamięć u kobiet! To coś strasznego! A jakiego to zastoju duchowego dowodzi! Należy wchłaniać barwę życia, ale nigdy nie przypominać sobie szczegółów. Szczegóły są zawsze trywjalne.

— Muszę zasiać mak w moim ogrodzie — westchnął Dorjan.

— To zbyteczne — odparł lord Henry. — Życie samo nosi w dłoniach swych makówki. Oczywiście, czasem rzeczy się dłużą. Ja raz przez cały sezon nosiłem wciąż fiolety. Był to rodzaj artystycznej żałoby z powodu romansu, który nie chciał umrzeć. Ostatecznie jednak umarł. Nie wiem już na co. Zdaje mi się, że na jej propozycję poświęcenia dla mnie całego świata. Chwila podobna

zawsze jest straszna. Przejmuje człowieka groza wieczności. Oto — czy uwierzysz — przed tygodniem siedzę u lady Hampshire obok tejże damy, a ona koniecznie obstaje przy powtórzeniu całej historii, odkopaniu przeszłości i urządziu przyszłości. Złożyłem romans swój w grobie ze złotogłowi. Ona go wyrwała stamtąd, zapewniając, że jej zламаłem życie. Nawiasem konstatuję, że jadła z wielkim apetytem — nie czułem przeto trwogi. Ale jakże mało okazała dobrego smaku! Jedynym czarem przeszłości jest to, że minęła. Ale kobiety nigdy nie wiedzą, kiedy spada kurtyna. Zawsze żądają aktu szóstego i właśnie wtedy, kiedy ustaje wszelkie zainteresowanie dla sztuki, one żądają ciągu dalszego. Gdybyśmy ulegali ich woli, każda komedia miałaby zakończenie tragiczne, a punktem kulminacyjnym każdej tragedji byłaby farsa. Umieją być nadzwyczajnie sztuczne, ale absolutnie nie mają zmysłu dla sztuki. Ty jesteś szczęśliwszy, niż ja byłem. Zapewniam cię, Dorjanie, że ani jedna z kobiet, które znałem, nie byłaby dla mnie uczyniła tego, co Sybila Vane uczyniła dla ciebie. Zwykła kobieta zawsze się pocieszy. Niektóre z nich pomagają sobie w tym celu sentymentalnemi kolorami. Nigdy nie ufaj kobiecie, noszącej malwy, chociażby była nie wiem jak stara, ani też takiej, co po skończeniu lat trzydziestu pięciu kocha się w różowych wstążkach. Zawsze to oznacza, że mają przeszłość. Inne pocieszają się jeszcze

w ten sposób, że nagle odkrywają piękne przyjemności u własnych mężów. Chętną się przed wszystkimi swem szczęściem małżeńskim, jakby ono było najbardziej interesującym z grzechów. Jeszcze inne znajdują pociechę w religii. Wszystkie jej misterja mają urok kokieterji, powiedziała mi raz jedna kobieta — a ja to doskonale pojmuję. Nic zresztą nie potęguje tak bardzo naszej próżności, jak wmawianie w nas, że jesteśmy grzesznikami. Sumienie czyni nas wszystkich egoistami. Tak, liczba pocieszeń nastroczających się kobiecie w życiu dzisiejszem jest nieskończona. Najważniejszej pociechy nawet nie wymienilem.

— A jakąż to będzie, Harry? — obojętnie spytał Dorjan.

— O, najprostsza. Odbija się wielbiciela innej, gdy się utraciło swego. W dobrem towarzystwie jest to dla kobiety rehabilitacją. Ale naprawdę Dorjanie, Sybila Vane musiała być inna niż kobiety, zwykle spotykane. Jej śmierć ma dla mnie coś prawdziwie pięknego. Jestem szczęśliwy, że żyję w epoce, w której dzieją się takie cuda. Pozwalają człowiekowi wierzyć w rzeczywistość tych rzeczy, któremi się wszyscy bawimy: w romantyzm, namiętność i miłość.

— Byłem dla niej strasznie okrutny. Zapomniał o tem.

— Obawiam się, czy kobiety nie cenią okrucieństwa wyżej nad wszystko inne. Mają instynkta

dziwnie pierwotne. Myśmy je wyemancypowali, ale mimo to pozostały niewolnicami, wyczekującymi swego pana. Lubią być opanowane. Jestem pewny, że byłeś świetny. Nigdy cię nie widziałem w uniesieniu gniewu, ale mogę sobie wyobrazić, jak pięknie wyglądałeś. Wreszcie powiedziałeś przedwczoraj coś, co mi się wówczas wydało li fantazją, teraz jednak widzę, że to była prawda, będąca też kluczem tajemnicy.

— Co ja powiedziałem, Harry?

— Powiedziałeś mi, że Sybila Vane jest dla ciebie ucieleśnieniem wszystkich bohaterek poezji — dziś jest Desdemoną a jutro Ofelią, jeśli umiera jako Julja, zmartwychwstaje Imogeną.

— Teraz już nie zmartwychwstanie — mamrotał młody człowiek, dłońmi zakrywając twarz.

— Nie, już nie zmartwychwstanie. Odegrała ostatnią swą rolę. Ale ty myśl o tej samotnej śmierci w jaskrawej garderobie, niby o jakimś dziwnie ponurym fragmencie tragedji z epoki Jakóba, lub cudnej scenie z Webstera, Forda, lub Cyryla Tourneura. Dziewczyna ta nigdy nie żyła rzeczywistością, dlatego też nigdy w rzeczywistości nie umarła. Dla ciebie przynajmniej zawsze była marzeniem, zjawiskiem przesuwającym się przez sztuki Szekspira i potęgującym ich czar swą obecnością, była instrumentem, czyniącym muzykę Szekspira pełniejszą i radośniejszą. W chwili, gdy się dotknęła rzeczywistego życia, zepsuła je, a życie

ją zepsuło i unicestwiło. Płacz za Ofelją, jeśli chcesz. Posyp głowę popiołem, że zasztyletowano Kordelję. Bluźnij niebu, że zmarła córka Brabantia. Ale nie trwoń łez swych dla Sybili Vane. Była mniej rzeczywistą od tamtych.

Nastąpiło milczenie. Wieczór mrokiem osłaniał pokój. Bezszelestnie, na srebrnych stopach cienie wślizgiwały się z ogrodu. Barwy przedmiotów bladły.

Po chwili Dorjan Gray podniósł oczy:

— Harry, wyjaśniłeś mi własne moje uczucia — szepnął z westchnieniem ulgi. — Wszystko to czułem, co ty powiedziałeś, ale bałem się tego i nie umiałem wyrazić. Jak ty mnie dobrze znasz! Ale nie mówmy już o tem, co się stało. Było to wspańiałe doświadczenie. Nic więcej. Chciałbym wiedzieć, czy też życie przygotowuje jeszcze dla mnie coś równie cudnego.

— Dorjanie, dla ciebie życie przygotowuje wszystko. Niema na świecie, czego nie mógłbyś dokonać swą pięknością.

— Ale gdy się zestarzeję i wychudnę i będę miał twarz pełną zmarszczek? Co wtedy, Harry?

— O, wtedy — rzekł lord Henry wstając i zabierając się do odejścia — wtedy, mój drogi Dorjanie, będziesz musiał walczyć o swe zwycięstwa. Teraz przychodzą nieproszone. Ale nie, ty musisz zachować swą pięknosć. Żyjemy w epoce, w której zbyt wiele się czyta, aby móc być mądrym, a zbyt wiele myśli, by móc być pięknym. Nie

możemy się bez tego obejść. Ale teraz, sędzę, musisz się przebrać i jechać do klubu. I tak się już trochę spóźnimy.

— Harry, najlepiej będzie, gdy się spotkamy w Operze. Jestem zbyt znudzony, abym mógł jeść. Jaki jest numer łoży twojej siostry?

— Podobno dwudziesty siódmy. U głównego wejścia. Na drzwiach zobaczysz zresztą jej nazwisko. Ale przykro mi, że nie towarzyszysz mi na obiad.

— Zbyt jestem wyczerpany — z roztargnieniem odparł Dorjan. — Ale jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko, co mi powiedziałaś. Jesteś niewątpliwie najlepszym moim przyjacielem. Nigdy mnie nikt nie rozumiał tak dobrze, jak ty.

— To dopiero początek naszej przyjaźni, Dorjanie — odparł lord Henry, ściskając mu rękę. — Adieu! Wszak zobaczymy się przed wpół do dziesiątej. Patti śpiewa. nie zapomnij!

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Dorjan zadzwonił na Wiktora, który wniósł lampy i spuścił story. Czekał niecierpliwie, by wyszedł. Zdawało mu się, że służący całą wieczność spełnia te drobne czynności.

Skoro tylko wyszedł, Dorjan skoczył do parawanu i odsunął go. Nie, na portrecie nie było dalszej zmiany. Obraz otrzymał był wieść o śmierci Sybili Vane, zanim on sam się o tem dowiedział. Odczuwał wypadki życiowe w tejsamej chwili, gdy

one się dokonywały. Straszny wyraz okrucieństwa, wykrzywiający delikatne linje ust zjawiał się bezwątpienia w chwili, kiedy zażyła truciznę. Albo czy może obraz pozostawał obojętnym wobec wypadków zewnętrznych? Może ożwierciedlał tylko to, co się działo w jego duszy? Popadł w zadumę. Spodziewał się, że pewnego dnia zmiana dokona się przed jego oczami i drżał, myśląc o tem.

Biedna Sybila! Cóż to za romans! Tyle razy grała śmierć na scenie... Teraz śmierć istotnie ją dosięgła i zabrała. Jak też odegrała tę ostatnią straszną scenę? Czy przeklinała go, umierając? Nie, umarła przecież z miłości dla niego i teraz miłość będzie mu sakramentem. Ona wszystko odpokutowała ofiarą swego życia. Nie chce dłużej myśleć, ile przez nią wycierpieć musiał owego strasznego wieczora w teatrze. Jeśli do niej wróci myślą, to jako do cudnej postaci tragicznej, zesłanej na scenę życia, celem ukazania przemożnej prawdy miłości. Cudna postać tragiczna? Łzy mu napłynęły do oczu na wspomnienie jej czystego spojrzenia dziecka, jej swobodnego, pogodnego usposobienia i trwożnego zwiewnego wdzięku. Szybko otarł łzy i znów spojrzał na obraz.

Czuł, że nadchodzi czas uczynienia wyboru. Albo, czy go może już uczynił? Tak! Życie rozstrzygnęło za niego — życie i własna jego ciekawość życia. Wieczna młodość, bezkresna namiętność, najsztudniejsza i tajemne rozkosze, dzikie

radości i dziksze jeszcze grzechy — wszystko to będzie jego udziałem. Obraz musi nosić ciężar jego hańby. Taki zapadł wyrok.

Ogarnęło go uczucie bólu na myśl o zbeszczeczeniu, jakiemu ulegnie piękne oblicze na płótnie. Niegdyś, w dzieciennym porywie, naśladowując narcyza, ucałował te malowane usta, śmiejące się doń teraz tak okrutnie. Co ranka siadał przed obrazem, dziwiąc się własnej piękności i niemal w niej zakochany, jak mu się czasem wydawało. Czy teraz portret ten będzie ulegał zmianie w miarę każdego nowego nastroju, któremu on się podda? I stanie się obrzydliwym i wstrętnym, że trzeba go będzie ukryć w zamknięciu, zasłonić przed światłem słońca, które tylekroć intensywniejszem złotem nasycalo jego falujące pukle? Co za rozpacz! Co za rozpacz!

Przez chwilę miał ochotę modlić się o zerwanie tego okropnego związku między sobą a obrazem. Zmiana dokonała się w odpowiedzi na dawniejszą jego modlitwę; może w odpowiedzi na nową modlitwę zmiana ta potrafi się odstać. Ale któż, cośkolwiek tylko znający życie, wyrzekłby się nadziei zachowania wiecznej młodości, jakkolwiekby ta nadzieja była fantastyczna, a skutki fatalne? A zresztą — czyż to było w jego mocy? Czy istotnie modlitwa spowodowała ową zmianę? A może jednak istniała jakaś przyczyna naukowa? Jeśli myśl może wywierać wpływ na organizm

żywy, czy nie mogłaby go też wywierać na rzeczy martwe, nieorganiczne? Czyż rzeczy, leżące poza nami, nie mogłyby niezależnie od naszej myśli i świadomej woli zlewać się w harmonijny akord z naszymi kaprysami i namiętnościami, na mocy tajemnej miłości lub dziwnego powinowactwa atomów? Zresztą co zależy na przyczynie? Nigdy już modlitwą nie będzie wyzywał Mocy straszliwej. Jeśli obraz się zmienia, to niechże się zmienia. Po co się nad tem tyle zastanawiać!

Obserwowanie tej zmiany będzie dla niego nawet pewną rozkoszą. Nauczy się śledzić swą duszę na tajemnych drogach. Obraz będzie dla niego magicznem zwierciadłem. Taksamo jak mu był objawił jego piękność, ukaże mu też duszę. A kiedyś, gdy dla portretu nadejdzie zima, on będzie ciągle tu, gdzie wiosna drży u skraju lata. Gdy krew ucieknie z jego policzków, pozostawiając gipsową jakby maskę o martwych, ołowianych oczach — on zachowa całą krasę młodości. Nie zwiędnie ani jeden kwiat jego piękności. Nie osłabnie ani jedno tętno jego życia. Jak bogowie Grecji pozostanie silnym, krzepkim i radosnym. Co go obchodzą losy martwego malowidła? On bezpieczny. A o to przecież chodzi!

Znów zasłonił portret parawanem, uśmiechając się przy tej czynności. Następnie przeszedł do sypialni, gdzie już na niego czekał służący. W godzinę później

był w Operze, a lord Henry pochylał się nad jego krzesłem.

IX.

Nazajutrz rano, podczas śniadania, zameldowano mu Bazylego Hallwarda.

— Jakże się cieszę, Dorjanie, że cię zastaję — rzekł poważnie. — Byłem tu wczoraj wieczór i powiedziano mi, że jesteś w Operze. Wiedziałem oczywiście, że to niemożliwe. Ale przykro mi było że nie powiedziałeś w domu, gdzie będziesz. Straszny spędziłem wieczór, lękając się niemal, aby jedna tragedia nie pociągnęła za sobą drugiej. Powinieneś mi być zadepeszować, gdy się o tem dowiedziałeś. Ja całkiem przypadkowo wyczytałem to w klubie, w nadzwyczajnym dodatku do »Globu«, który mi wpadł do ręki. Zaraz tu pobiegłem i byłem wprost nieszczęśliwy, nie zastawszy cię w domu. Nie mogę ci nawet powiedzieć, jak strasznie sobie wziąłem do serca tę całą historję. Wiem jak musisz cierpieć. Ale gdzie byłeś wczoraj? Zapewne u jej matki? Przez chwilę miałem nawet zamiar pójść tam do ciebie. Adres znałem z gazety. Gdzieś na Euston-Street — nieprawdaż? Nie chciałem się jednak narzucać, nie będąc w stanie ulżyć waszemu cierpieniu. Biedna matka! Co się z nią musiało dziać! A przytem jedyne dziecko! Jak ona to zniosła...

— Mój drogi Bazyli, cóż ja mogę wiedzieć?
 — mruknął Dorjan Gray, wysącżając blade-żółte
 wino z delikatnie złoconej weneckiej szklaneczki.
 Miał minę człowieka w najwyższym stopniu znu-
 dzonego. — Byłem w Operze. Powinieneś być tam
 przyjść. Poznałem siostrę Harry'ego. Byliśmy w jej
 łoży. Czarująca kobieta, a Patti śpiewała bosko.
 Nie mów o niemiłych rzeczach. Coś, o czem się
nie mówi, nie istnieje. Tylko słowo — powiada
 Harry — nadaje rzeczom istnienie realne. Nie była
 zresztą jedynem dzieckiem. Jest jeszcze syn, pię-
 kny chłopiec zapewne. Ale on nie jest przy scenie.
 Marynarz, czy coś podobnego. A teraz powiedz
 mi coś o sobie. Co się z tobą dzieje?

— Poszedłeś do Opery? — rzekł Hallward bar-
 dzo powoli i z tłumionym bólem w głosie. — Po-
 szedłeś do Opery, kiedy Sybila Vane leżała martwa
 w brudnym jakimś zaułku? Możesz mówić o cza-
 rujących kobietach i o boskim śpiewie Patti, zanim
 dziewczyna, którą kochałeś, zaznała bodaj ciszy
 grobu? Co? Gdy jej drobne zwłoki ulegają całej
 okropności rozkładu?

— Przestań, Bazyli! Nie chciałem tego słyszeć!
 — krzyknął Dorjan, zrywając się z krzesła — Nie
 wolno ci o tem mówić. Co się stało, to się stało.
 Co przeszło, to przeszło.

— Ty dzień wczorajszy nazywasz przeszłością?

— A cóż na tem zależy, ile czasu minęło?
 Tylko głupcy potrzebują lat całych do wyzwole-

nia się od uczucia. Człowiek, będący panem siebie samego, może przykrości swojej położyć kres w chwili wynalezienia przyjemności. Ja nie chcę być piłką własnych uczuć. Chcę z nich korzystać, używać przez nie i nad nimi panować.

— Dorjanie, to straszne! Coś się zmieniło w sposób straszny... Wyglądasz jeszcze tak samo cudnie jak wówczas, kiedy codziennie przychodziłeś do mojej pracowni pozować mi do obrazu. Ale wtedy byłeś prosty, naturalny i uczuciowy. Byłeś najczystszym człowiekiem na ziemi. Nie wiem, co się z tobą stało. Mówisz, jak gdybyś nie miał serca, ani współczucia. To wpływ Harry'ego. Dobrze to wiem.

Chłopak się zaczerwienił. Podeszedł do okna i przez kilka minut wpatrywał się w zielony, migocący, złotem zalany ogród.

— Bazyli, ja Harry'emu zawdzięczam bardzo wiele — rzekł wreszcie — więcej niż tobie. Ty nauczyłeś mnie tylko próżności.

— Ponośzę też za to karę, Dorjanie — lub poniosę ja kiedyś.

— Nie wiem, co przez to rozumiesz, Bazyli — rzekł, odwracając się od okna. — Nie wiem czego chcesz?

— Chcę tego Dorjana Gray'a, którego malowałem — smutno rzekł artysta.

— Bazyli — odparł młody człowiek przystępując doń i kładąc mu dłoń na ramieniu — przysze-

dłeś zapóźno. Wczoraj, gdy usłyszałem, że Sybila Vane odebrała sobie życie...

— Odebrała sobie życie! Na Boga! Czy to pewne? — krzyknął Hallward, patrząc na niego z przerażeniem.

— Mój drogi Bazyli! Nie myślisz chyba, że to był prosty przypadek? Naturalnie, że sobie odebrała życie.

Starszy mężczyzna ukrył twarz w dłoniach.

— Straszne — szeptał, a dreszcz wstrząsał jego ciałem.

— Nie — odparł Dorjan Gray — nic w tem niema strasznego. To jedna z wielkich romantycznych tragedij naszej epoki. Z reguły aktorzy prowadzą życie najzwyklejsze. Są dobrymi mężami lub wiernymi żonami, albo czemś podobnie nudnem. Wiesz przecież, co mam na myśli — tę całą cnotę mieszczańską. Jakże inną była Sybila Vane! Życie jej było najcudniejszą tragedją. Zawsze była heroiną. Ostatniego wieczora — kiedy ją widziałeś — grała źle, ponieważ znała rzeczywistość miłości. Gdy poznała jej nierzeczywistość, umarła, tak jak byłaby umarła Julja. Cofnęła się napowrót do przybytku Sztuki. Jest w niej pewien urok męczennicy. Jej śmierć ma w sobie całą tę patetyczną bezpłodność męczeństwa, całą jego zmarnowaną piękność. Ale, jak już powiedziałem, nie powinieneś sądzić, że nie cierpiałem. Gdybyś był przyszedł wczoraj we właściwej chwili — o wpół do szóstej, lub może

w kwadrans później — byłbyś mnie zastał we łzach. Nawet Harry, który tu był i przyniósł mi tę wiadomość, nie miał wyobrażenia, ile przecierpiałem. Cierpiałem bezgranicznie. Później to minęło. Nie umiem uczuć swych powtarzać. Nikt tego nie umie, prócz ludzi sentymentalnych. A ty, Bazyli, jesteś strasznie niesprawiedliwy. Przyszedłeś tu, aby mnie pocieszać. To ładnie z twojej strony. Ale oto zastajesz mnie pocieszonego i jesteś wściekły. Jakże bardzo podobny jesteś do filantropów. Przywodzisz mi na myśl historję, którą mi kiedyś opowiedział Harry. Chodzi tam o pewnego filantropa, który poświęcił dwadzieścia lat swego życia na usunięcie jakiejś niesprawiedliwości, czy zreformowanie pewnej ustawy — nie pamiętam już dokładnie. Wreszcie udało mu się marzenie swe urzeczywistnić, lecz wtedy doznał najwyższego rozczarowania. Nie mając nic więcej do czynienia, umierał wprost z nudy i stał się niepoprawnym mizantropem. Zresztą, mój drogi stary, jeśli istotnie mnie chcesz pocieszać, to naucz mnie raczej zapomnieć o tém, co minęło, lub patrzeć na przeszłość z punktu estetycznego. Czy to nie Gautier pisał o »consolation des arts?« Przypominam sobie, że kiedyś w twojej pracowni wpadł mi do rąk taki mały tomik na pergaminie i w nim właśnie znalazłem to cudne określenie. Trudno, ale ja nie jestem jak ów młody człowiek, o którym mi opowiadałeś, gdy razem jechaliśmy do Marlowa. Pa-

miętasz, ten co twierdził, że żółty jedwab może go pocieszyć we wszystkich smutkach żywota. Ja lubię piękne rzeczy, które można oglądać i dotykać stare brokaty, zielone brzozy, wyroby z laku, rzeźby z kości słoniowej, ładne okolice, przepych, zbytek. Wszystko to może bezwarunkowo dać pewną sumę przyjemności. Ale ważniejszy nad to wszystko jest dla mnie temperament artystyczny, przez nie wytworzony, lub przynajmniej rozwinięty. Stać się obserwatorem własnego życia — powiada Harry — znaczy uwolnić się od jego cierpień. |Dziwisz się, wiem, że ja mówię w ten sposób. Nie widziałeś, jak się rozwijałem. Byłem studencikiem, gdy mnie poznałeś. Teraz jestem mężczyzną. Mam nowe namiętności, nowe myśli, nowe ideały. Jestem inny, ale dlatego nie powinienes mnie mniej kochać. Jestem zmieniony, ale ty na zawsze musisz pozostać mym przyjacielem. Naturalnie, że bardzo lubię Harry'ego. Ale wiem, że ty lepszy jesteś od niego. Nie jesteś silniejszy — zbyt się lękasz życia — ale jesteś lepszy. A jak bylibyśmy z sobą szczęśliwi! Nie porzucaj mnie, Bazyli, ale nie rób mi wymówek. Jestem, jaki jestem. Nic się już nie da zmienić.

Malarz był dziwnie wzruszony. Bezgranicznie kochał Dorjana, a jego osobistość stała się punktem zwrotnym w jego sztuce. Nie mógł znieść myśli dręczenia go dłużej wymówkami. Może zresztą jego obojętność była przemijającym kaprysem.

Tyle w nim przecie było dobrego, szlachetnego...

— Dobrze więc, Dorjanie — rzekł wreszcie ze smutnym uśmiechem — od tej chwili nie będę z tobą mówił o tym wypadku. Spodziewam się jednak, że twoje nazwisko nie będzie wpłątane w tę sprawę. Śledztwo odbędzie się dziś po południu. Czy zostałeś wezwany?

Dorjan przecząco potrząsnął głową i wyraz niechęci przemknął po jego twarzy na dźwięk słowa: »śledztwo«. Wszystko to takie brutalne i ordynarne.

— Nie znają mego nazwiska — odparł.

— Ale ona je przecież знаła?

— Tylko imię, jestem jednak pewny, że go przed nikim nie wymieniła. Mówiła mi raz, że wszyscy byli tak bardzo ciekawi dowiedzieć się kim jestem, na co ona im zawsze odpowiadała że nazywam się: księżę z bajki. To było ładnie z jej strony. Bazyli, musisz mi zrobić jej portret. Chciałbym mieć po niej coś więcej nad wspomnienie paru pocałunków i kilku bezładnych patetycznych słów.

— Spróbuję, Dorjanie, jeśli ci to sprawia przyjemność. Ale musisz do mnie przyjść i znów mi pozować. Bez ciebie praca mi nie idzie.

— Ja ci już nigdy nie mogę pozować, Bazyli! To niemożliwe! — wykrzyknął, cofając się.

Malarz wpatrywał się w niego zdumiony.

— Mój drogi chłopcze, cóż to za niedorze-

czność! — zawołał. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że ci się nie podoba mój portret? Gdzież on jest? Cemu go zasłoniłeś parawanem? Pokaż mi go. Najlepsza to rzecz, jaką kiedykolwiek namalowałem. Odsuń ten parawan, Dorjanie, proszę cię. To obrzydliwie ze strony twego służącego, że tak zasłania moje dzieło. Jak tylko wszedłem, natychmiast zauważyłem, że pokój inaczej jakoś wygląda.

— Bazyli, mój służący wcale za to nie odpowiada. Nie sądzisz chyba, aby on się rozporządzał w mojem mieszkaniu. Co najwyżej* ustawia kwiaty podług swego uznania. Ja sam to zrobiłem. Zbyt silne światło padało na portret.

— Co mówisz? Ale to niemożliwe, Dorjanie. Portret umieszczony jest doskonale. Pozwól mi zobaczyć.

Hallward podszedł ku ścianie.

Okrzyk trwogi wypadł z piersi Dorjana, rzucił się między malarza a parawan. Był bardzo blady.

— Bazyli — rzekł — nie wolno ci widzieć tego portretu. Ja nie chcę.

— Nie wolno mi widzieć mego własnego dzieła? Chyba żartujesz. Dlaczegoż nie miałbym go zobaczyć? — zaśmiał się Hallward.

— Bazyli, jeśli będziesz usiłował go zobaczyć, to słowo honoru, że póki życia nie będę z tobą mówił. Mówię serjo. Nie mogę ci dać wyjaśnienia, a ty go też nie żądaj. Ale pamiętaj: jeśli do-

tkniesz tego parawanu, wszystko między nami skończone.

Hallward był jakby rażony gromem. Patrzył na Dorjana w niemem osłupieniu. Takim nie widział go jeszcze nigdy. Błady był z gniewu. Ręce zacisnął w pięści, gwiazdy jego oczu wyglądały niby pociski z błękitnego ognia. Drżał całym ciałem.

— Dorjanie!

— Nie mów!

— Ale co to jest? Oczywiście, nie nalegam dłużej, skoro sobie tego nie życzysz — rzekł chłodno, poczem odwrócił się i podszedł do okna. — Ale w każdym razie prawdziwy to idjotyzm, aby mi nie wolno było zobaczyć własnej pracy, zwłaszcza, że w jesieni zamierzam portret ten wystawić w Paryżu. Przedtem będę go prawdopodobnie musiał trochę odświeżyć, więc pewnego dnia jednak go zobaczę. Czemu więc nie dzisiaj?

— Wystawić! Chcesz go wystawić? — krzyknął Dorjan Gray, wstrząsając się dreszczem trwogi.

— Tak, sądzę przecież, że nie będziesz miał nic przeciw temu. Georges Petit zbiera moje najlepsze obrazy, celem urządzenia osobnej wystawy w Rue de Séze. Wystawa ma być otwarta pierwszego października — na jeden miesiąc. Sądzę, że na krótki czas możesz się wyrzec portretu, zwłaszcza, że i tak prawdopodobnie będziesz wówczas w podróży. Zresztą, skoro go stale ukrywasz za

parawanem, to nie może ci znów zbyt wiele na nim zależeć.

Dorjan Gray przesunął ręką po czole. Było okryte kroplistym potem. Czuł, że stoi nad brzegiem straszego niebezpieczeństwa.

— Przed miesiącem powiedziałeś, że nigdy go nie wystawisz — zawołał. — Czemu zmieniłeś swe postanowienie? Ludzie uważający się za konsekwentnych, mają tyleż kaprysów, co i inni. Jedyna różnica — że wasze kaprysy są niedorzeczne. Nie mogłeś chyba zapomnieć, jak najsolennie mnie zapewniałeś, że nic w świecie nie zdołałoby cię skłonić do wystawienia tego obrazu. To samo powiedziałeś też Harry'emu.

Urwał nagle, w oczach jego błysnął płomień. Wpadło mu na myśl, co mu raz powiedział był lord Henry: »Jeśli zechcesz mieć kiedyś oryginalną chwilę, to skłoń Bazylego, aby ci powiedział, czemu nie chce wystawić twego portretu. Mnie opowiedział i było to dla mnie objawieniem«. Tak, może Bazyli ma również swoje tajemnice. Zapyta go i wybada.

— Bazyli — rzekł, podchodząc tuż do niego i patrząc mu prosto w oczy — każdy z nas ma swą tajemnicę. Opowiedz ty mi swoją, a ja ci swoją opowiem. Czemu wzbraniałeś się wystawić ten obraz?

Malarz drgnął mimowoli,

— Dorjanie, gdybym ci to powiedział, mniejsz

byś mnie może kochał, a z pewnością śmiałybyś się ze mnie. Dla mnie zarówno przykre byłoby jedno jak drugie. Jeśli nie chcesz, abym kiedykolwiek jeszcze oglądał twój portret — zgadzam się na to. Mogę patrzeć na ciebie. Jeśli chcesz, aby najlepsze moje dzieło pozostało ukryte przed światem — stanie się podług twej woli. Przyjaźń twoja droższa mi jest nad rozgłos i sławę.

— Nie, Bazyli, ty mi to musisz powiedzieć — nalegał Dorjan Gray. — Sądzę, że mam prawo o tem wiedzieć.

Trwoga jego znikła, a miejsce jej zajęła ciekawość. Był zdecydowany wysledzić tajemnice Bazylego Hallwarda.

— Usiądźmy, Dorjanie — rzekł malarz z wyrazem cierpienia. — Usiądźmy. A przedewszystkiem odpowiedz mi na jedno pytanie: Czy zauważyłeś w portrecie coś niezwykłego?... Coś, czego z początku prawdopodobnie nie dostrzegłeś, a co ci się nagle odsoniło?

— Bazyli! krzyknął młody człowiek, chwytając drżącymi rękami za poręcz jego krzesła i wlepiając w niego spojrzenie dzikie, przerażone.

— Widzę, że zauważyłeś. Nie mów. Poczekaj aż usłyszysz, co ci mam do powiedzenia. Dorjanie, od chwili, w której cię zobaczyłem, osobistość twoja wywierała na mnie wpływ ogromnie dziwny. Byłem pod twoją władzą: moja dusza, mój umysł, moja siła twórcza. Ty byłeś dla mnie widzialnem

ucieleśnieniem nigdy niewidzianego ideału, którego pamięć nawiedza nas, artystów, niby marzenie cudowne. Ubóstwiałem cię. Byłem zazdrosny o każdego człowieka, z którym mówiłeś. Chciałem cię mieć niepodzielnie dla siebie. Wtedy tylko czułem się szczęśliwy, gdy ty byłeś przy mnie. Gdy odchodziłeś, czułem jeszcze twą obecność w mojej sztuce. Oczywiście, że nigdy cię w to nie wtajemniczałem. Było to niemożliwe. Nie byłbyś mnie zrozumiał. Ja sam zaledwie się rozumiałem. Wiedziałem tylko, że spojrzałem oko w oko Doskonałości i że świat stał się dla mnie cudnym — nazbyt może cudnym, gdyż w tak szalonym ubóstwianiu mieści się niebezpieczeństwo: zarówno niebezpieczeństwo zachowania nadal tych uczuć, jak też utracenia ich. Mijał tydzień po tygodniu, a ja coraz więcej się w tobie rozpylałem. Potem nastąpiła nowa faza rozwoju. Rysowałem cię jako Parysa w misternej zbroji i jako Adonisa w szacie myśliwskiej z błyszczącym oszczepem. Uwieńczony ciężkim kwieciami lotosu siedziałeś na dziobie łodzi Hadryana, spoglądając na zielone fale Nilu. Pochylałeś się nad cichym strumieniem greckiego gaju i w milczącym srebrze wody widziałeś cud własnego oblicza. I wszystko było takie, jaką winna być sztuka: nieświadome, idealne i dalekie. Pewnego dnia jednak — chwilami myślę, że był to dzień fatalny — postanowiłem namalować cudny portret, namalować ciebie i to takim, jakim jesteś

w rzeczywistości, nie w szacie martwych wieków, lecz w dzisiejszym stroju i dzisiejszej epoce. Byłże to realizm metody, czy też sam tylko czar twojej istoty, że oto patrzyłem bez mgły i zasłony — tego nie wiem. Ale to wiem, że podczas roboty każda plamka barwna zdawała mi się odsłaniać moją tajemnicę. Lękałem się, aby inni nie dowiedzieli się, jak cię ubóstwiam. Czułem, Dorjanie, że zbyt wiele powiedziałem, zbyt wiele włożyłem w portret ten z siebie samego. Wtedy postanowiłem obrazu tego nie wystawiać. Byłeś wtedy nieco rozczarowany, ale nie mogłeś wiedzieć, jakie to dla mnie ma znaczenie. Mówiłem o tem z Harrym — wyśmiał mnie. Ale co mnie to obchodziło! Gdy portret był skończony, a ja przed nim siedziałem sam, czułem, że mam słusność. W parę dni później opuścił moją pracownię. A kiedy się pozbyłem nieznośnego ucisku jego obecności, wydało mi się niedorzecznością widzieć w nim więcej nad to, że ty jesteś piękny, a ja umiem malować. Jeszcze teraz mam uczucie, że błędem jest mniemanie, jakoby namiętność ogarniająca nas podczas tworzenia, ujaśniała się kiedykolwiek w dziele, które tworzymy. Sztuka jest zawsze bardziej abstrakcyjna niż sądzimy. Forma i barwa zawsze tylko wypowiadają formę i barwę — nic więcej. Często mi się wydaje, że sztuka więcej ukrywa artystę, niż go objawia. Kiedy więc otrzymałem z Paryża to wezwanie, postanowiłem portret twój wystawić, jako główne

moje dzieło. Nie przyszło mi nawet na myśl, abys się miał wzbraniać. Teraz widzę, że masz słuszość. Obrazu tego wystawiać nie można. Nie gniewaj się, Dorjanie, że wszystko to wypowiedziałem. Jak już raz powiedziałem Harry'emu: jesteś stworzony, by być ubóstwianym.

Dorjan Gray odetchnął głęboko. Policzki znów mu się zaróżowiły, a na ustach zaigrał uśmiech. Niebezpieczeństwo minęło. Na razie był bezpieczny. Czuł jednak bezgraniczne współczucie dla malarza, który co dopiero uczynił przed nim tak dziwną spowiedź, i w duchu zapytywał się, czy on sam mógłby kiedykolwiek zostać w ten sposób opanowany osobistością przyjaciela. Lord Henry posiadał ten urok, że był bardzo niebezpieczny. Ale na tem się też kończyło. Zbyt był mądry lub zbyt cyniczny, aby go można kochać naprawdę. Czy też kiedyś napotka człowieka, mogącego natchnąć go tak dziwnem uczuciem? Czy też życie przyspasabia dla niego coś podobnego?

— To dziwne, Dorjanie — ozwał się Hallward — że ty to dostrzegłeś w portrecie. Czy istotnie dostrzegłeś?

— Dostrzegłem coś — odparł — coś, czego sobie nie umiałem wytłumaczyć.

— Więc teraz mogę go już oglądać?

Dorjan potrząsnął głową.

— Tego nie wolno ci odemnie żądać, Bazyli. Absolutnie nie mogę ci obrazu tego pokazać.

— Więc kiedyś później?

— Nigdy.

— Może i masz słuszność. A teraz bywaj zdrow, Dorjanie! Ty jesteś jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek wywierał wpływ na moją sztukę. Co dobrego stworzyłem, zawdzięczam tobie. O, ty nie wiesz, ile mnie kosztowało wypowiedzenie tego wszystkiego, co właśnie usłyszałeś.

— Mój drogi Bazyli — rzekł Dorjan — coś takiego powiedziałeś? Wszak tylko to, że zbyt mnie podziwiałeś. To nie jest nawet komplementem.

— Nie miałem też zamiaru mówić ci komplementów. To była spowiedź. Teraz, kiedy ją złożyłem, mam wrażenie, jakby odemnie coś odeszło. Może nie należy nigdy miłości swej ujmować w słowa.

— Spowiedź ta sprawiła mi wielki zawód.

— A czego ty oczekiwałeś, Dorjanie? Wszak nic innego nie dostrzegłeś na obrazie, nieprawdaż? Nie było w nim przecież nic innego?

— Nie, nie było w nim nic innego. Czemu pytasz? Ale nie wolno ci mówić o ubóstwianiu. Ty i ja jesteśmy przecież przyjaciółmi, Bazyli — i musimy nimi pozostać.

— Masz przecież Harry'ego — smutnie rzekł malarz.

— O, Harry... — Dorjan zaśmiał się krótko. — Harry w dzień opowiada nieprawdopodobieństwa, a wieczorem — popełnia niepodobieństwa. Zupełnie

taksamo, jakbym ja pragnął żyć. A jednak nie sądzę, abym się miał udać do Harry'ego, gdybym potrzebował rady. Przyszedłbym raczej do ciebie, Bazyli.

— Będziesz mi jeszcze pozował?

— Niepodobna.

— Dorjanie, odmową swą niszczysz moje życie artystyczne. Nikt nie spotyka w życiu dwóch idealów. Rzadko spotyka się jeden.

— Bazyli, nie jestem w stanie dać ci wyjaśnienia, ale pozować nie mogę ci już nigdy. Fatalizm unosi się nad tym obrazem. Posiada własne życie. Przyjdę do ciebie na herbatę. Będzie nam taksamo przyjemnie.

— Dla ciebie przyjemniej, o ile mi się zdaje — z żalem mruknął Hallward. — A teraz: do widzenia! Przykro mi, że nie będę mógł oglądać tego portretu. Ale trudno, skoro inaczej być nie może. Ja rozumiem, co ty czujesz.

Gdy wyszedł z pokoju, Dorjan się uśmiechnął. Biedny Bazyli! Jakże mało domyślał się prawdziwego powodu! a jakie to dziwne, że on sam nie tylko się nie wydał z własną tajemnicą, lecz przeciwnie, prawie przypadkowo, zdołał wydrzeć tajemnicę przyjaciela. Ileż mu wyjaśniała ta dziwna spowiedź! Niedorzeczną zazdrość malarza, jego namiętne oddanie, przesadne hymny pochwalne, dziwne milczenie — teraz wszystko to zrozumiał i było mu

smutno. Widział coś tragicznego w przyjaźni, tak bardzo owianej romantyzmem.

Westchnął i zadzwonił. Na wszelki wypadek należy obraz ukryć. Nie może się ponownie narażać na niebezpieczeństwo odkrycia. Szaleństwem było trzymać go bodaj przez godzinę w pokoju, do którego miał wstęp każdy z jego przyjaciół.

X.

Gdy wszedł służący, Dorjan spojrzął nań bystro, badając niejako, czy mu też nie wpadło na myśl spojrzeć za parawan. Ale służący miał minę całkiem obojętną, czekając rozkazu. Dorjan zapalił papierosa i stanął przed jednym ze zwierciadeł. Mógł w niem doskonale obserwować twarz Wiktora. Była jak nieruchoma maska uniżoności. Nie było się czego obawiać. Mimo to postanowił mieć się na baczności.

Bardzo powoli wydał polecenie, aby zawiadomił zarządczynię, że chce się z nią rozmówić, i by następnie poszedł do stolarza i prosił go o natychmiastowe przysłanie dwóch ludzi. Gdy służący zabierał się do wyjścia, wydało się Dorjanowi, że rzucił wzrokiem na parawan. A może to tylko złudzenie?

W parę minut później M^{rs} Leaf, szeleszcząc jedwabiami weszła do biblioteki. Nosila czarną jed-

wabną suknię i staroświeckie nlciane rękawiczki na wychudłych rękach.

Poprosił ją o klucz do sali szkolnej.

— Mr. Dorjanie, do starej sali szkolnej? — wykrzyknęła. — Ależ tam pełno kurzu. Muszę wpierw uporządkować, zanim jaśnie pan wejdzie. Teraz nie można. Doprawdy, że nie.

— Nie potrzeba nic porządkować. Proszę tylko o klucz.

— Ależ jaśnie panie, tam pełno pajęczyny. Jaśnie pan się całkiem zabrudzi. Już od pięciu lat nie wietrzono, od czasu śmierci jego lordowskiej Mości.

Drgnął na wspomnienie dziadka. Przykrą po nim zachował pamięć.

— Nie szkodzi — odparł. — Chcę tylko pokój ten zobaczyć — nic więcej. Proszę o klucz.

— Zaraz, jaśnie panie — mówiła staruszka, stukając niepewnymi palcami w duży pęk kluczy. — Już go mam — jeszcze tylko odczepię. Ale przecież jaśnie pan nie zamierza się tam przenieść, gdy tu tak pięknie i wygodnie?

— Nie! nie! — zapewnił niecierpliwie. — Dziękuję.

Zatrzymała się jeszcze na chwilę, rozpowiadając o rozmaitych szczegółach gospodarskich. Westchnął parę razy, wreszcie oświadczył, że wszystko pozostawia jej uznaniu. Wyszła rozpromieniona.

Dorjan włożył klucz do kieszeni i rozglądał się po pokoju. Wzrok jego padł na dużą purpurową kapę jedwabną, zdobną w złote hafty — cenny zabytek roboty weneckiej z XVII-go stulecia, znaleziony przez dziadka w jednym z klasztorów pod Bolonją. Tak, tem będzie mógł przysłonić ten straszny obraz. Często zapewne kapa ta służyła za całun do okrywania zwłok. Teraz ma przysłaniać coś, podlegającego rozkładowi — rozkładowi gorszemu od śmierci samej — coś, co rodzi strach i przerażenie, a nie ma umrzeć nigdy. Czem robactwo dla ciała, tem mają być grzechy dla tego obrazu na płótnie. Mają zniszczyć jego piękność, zniweczyć jego wdzięk. Mają go poplamić i splugawić. A jednak będzie żył dalej, niedosiężony przez śmierć.

Wstrząsnął się i przez chwilę żałował, że nie wymienił Bazylemu istotnego powodu, dla czego pragnie ukryć obraz. Bazyli byłby mu dopomógł oprzeć się wpływowi lorda Henryka i jeszcze fatalniejszym pokusom własnej natury. Bazylego miłość ku niemu — bo miłością było jego uczucie — miała w sobie same pierwiastki szlachetne i uduchowione. Nie była tylko owym fizycznym po-
 dziwem dla piękności, co ze zmysłów zrodzony umiera też, gdy zmysły się znużą. Była to miłość, jaką znał Michał Anioł i Montaigne i Winkelmann i Szekspir sam. Tak, Bazyli mógłby go

ocalić. A teraz już zapóźno. Przeszłości zniszczyć niepodobna. Ani skruchą, ani zaparciem siebie, ani zapomnieniem. A przyszłość jest nieunikniona. W nim drzeźmią namiętności, które znajdują dla siebie ujście straszne, marzenia, które ucieleśnią cień swych złych zarodków.

Zdjął z szeslongu ciężką, purpurowo-złocistą tkaninę i wszedł z nią za parawan. Czy obraz na płótnie lichszy był niż przedtem? Wydał mu się niezmienny, a jednak czuł do niego jeszcze większy wstręt. Złociste pukle, błękitne oczy, ciemnoróżowe wargi — wszystko takie same. Tylko wyraz zmieniony. Ale wyraz ten straszny był w swem okrucieństwie. Ten bezmiar wyrzutów i potępienia ziejący z płótna — jakże płytkie, jak płytkie i małoznaczne w porównaniu z nim były wyrzuty Bazylego. Własna jego dusza spoglądała na niego z płótna i wzywała go przed sąd. Bolesny wyraz pojawił się w jego oczach. Szybko zarzucił na obraz wspaniały całun. W tejże chwili zapukano do drzwi. Wyszedł z za parawanu, a służący oznajmił:

— Jaśnie panie, ci ludzie już przyszli.

Czuł, że musi go oddalić natychmiast. Jemu nie wolno wiedzieć, co się stanie z obrazem. Miał w twarzy coś podejrzliwego, a oczy zamysłone, zdradliwe.

Siadł przy biurku i napisał bilet do lorda Henryka. Prosił go o jakąś lekturę, przypominając także,

że mają się zejść o kwadrans na dziewiątą.

— Trzeba poczekać na odpowiedź — rzekł, wręczając mu bilet — a tymczasem proszę tu wpuszczać tych ludzi.

Po dwóch czy trzech minutach znów zapukano i wszedł sławny stolarz, specjalista od ram z South-Audley-Street, mr Hubbard we własnej osobie, z młodym, dość niezręcznie się prezentującym pomocnikiem. Mr Hubbard był małym człowiekiem o kwitnącej twarzy i rudych włosach. Jego podziw dla sztuki znacznie się zmniejszył skutkiem chronicznej niewypłacalności artystów, z którymi miał do czynienia. Nigdy prawie nie opuszczał swego sklepu. Cekał, by do niego przychodzono. Ale dla Dorjana Gray'a zawsze robił wyjątek. Dorjan miał w sobie coś, co czarowało każdego. Samo patrzenie na niego było już rozkoszą.

— Czem mogę służyć, mr Gray? — spytał, trąc tłuste ręce, okryte piegami — Sądziłem, że lepiej będzie, jeśli sobie sam zrobię zaszczyt otrzymania polecenia. Właśnie mam u siebie prześliczne ramy. Nabyłem je na licytacji. W stylu staro-florenckim. Pochodzą podobno z Fouthill. Wspaniałe do obrazu religijnego, mr Gray.

— Tak mi przykro, że pan się sam trudziłeś, mr Hubbard. Oczywiście, że nie omieszkam obejrzeć tych ram, chociaż na razie mało się zajmuję sztuką religijną. Dziś chciałem tylko przenieść jeden obraz do górnej mansardy. Jest dość ciężki,

dlatego chciałem pana prosić o dwóch ludzi.

— Nic nie szkodzi, mr Gray! Bardzo mi przyjemnie, że mogę panu służyć. A gdzie jest ten obraz?

— Tu — wskazał Dorjan odsuwając parawan. — Czy można go będzie przenieść? Tak, jak jest okryty? Nie chciałbym, aby został uszkodzony.

— Już się to jakoś zrobi — rzekł jowialny majster, przy pomocy czeladnika odczepiając od portretu długie, mosiężne łańcuszki, na których był zawieszony. — A teraz, dokąd mamy nieść, proszę pana?

— Już ja poprowadzę, mr Hubbard. Niech pan będzie tak grzeczny iść za mną. Albo może lepiej, aby pan szedł pierwszy. Przykro mi, ale to całkiem na górze. Pójdziemy frontowymi schodami, bo szersze.

Szeroko roztworzył drzwi, któremi wyszli na korytarz i zaczęli wstępować na schody. Przez kosztowne ramy, obraz stał się tak duży i ciężki że Dorjan kilkakrotnie uczynił ruch, jakby chciał dopomóc, pomimo ugrzecznionych protestów mr Hubbarda, który jako człowiek interesu uczuwał instynktowny wstręt, ilekroć jakiś dżentleman miał się roboty użytecznej.

— Porządny ciężar, proszę pana — dyszał mały człowieczek, stanawszy wreszcie na najwyższym korytarzu. Otarł czoło świecące od potu.

— Tak, obawiam się, że było zbyt ciężko —

mruknął Dorjan, otwierając drzwi pokoju, mającego odtąd mieścić dziwną tajemnicę jego życia i kryć duszę jego przed oczami świata.

Przeszło od czterech lat nie przestąpił progu tego pokoju, służącego mu niegdyś za miejsce do zabaw i nauki, a później za pracownię. Był to pokój duży, o proporcjonalnych wymiarach, urządzony na wyraźny rozkaz nieboszczyka lorda Kelsoe dla małego wnuka, którego z powodu uderzającego podobieństwa z matką i innych jeszcze przyczyn tak nienawidził, że zawsze trzymał zdalek od siebie. Dorjanowi wydało się, że nic się tu nie zmieniło. Oto duża włoska szafa z fantastycznie pomalowanymi polami i wyblakłymi złoconymi rzeźbami, w której, jako chłopię tak często się ukrywał; tam półki z cennego drzewa, z jego poniszczonymi książkami szkolnymi. Za półkami na ścianie wisi tensam rozdarty gobelin hiszpański, na którym król i królowa w ogrodzie grają w szachy, gdy opodal przejeżdża orszak sokołników trzymających na okrytych żelazem rękach ptaki w kapturkach. Jak dokładnie wszystko to pamięta. Przychodzi mu na myśl każda chwila samotnie spędzonej młodości, gdy się tak rozgląda po pokoju. W duszy jego odżywa cała ta nieskażona czystość jego dzieciństwa i straszną wydaje mu się myśl, że tu właśnie ma być ukryty ten fatalny obraz. Jakże nie przeczuwał w owych zamierzchłych dniach, co go czeka!

Ale w całym domu nie było miejsca równie zabezpieczonego przed oczami ciekawych. On sam zachowa klucz i nikt się tu nie dostanie. Pod purpurową zasłoną malowidło może przybrać wyraz zwierzęcości, może obrzmieć i stać się wstrętnem. Cóż to szkodzi? Nikt nie zobaczy. On sam także nigdy na obraz ten nie spojrzy. Pocóż miałby obserwować szkaradny rozkład własnej duszy? Zachowa swoją młodość — to mu wystarczy. A zresztą — czy nie może się jeszcze zmienić, wyszlachetnieć? Nie widzi powodu, dlaczego by przyszłość miała być tak haniebna. Wszak może na życie jego spłynąć wielka miłość, co go zdoła oczyścić i obronić przed grzechami, kielkującymi już w jego duszy i ciele — przed owymi grzechami dziwnymi, nigdy nie opisywanymi, którym tajemniczość dodaje uroku i czaru. Może pewnego dnia zniknie ten wyraz okrucieństwa ze szkarłatnych, delikatnych ust i będzie jeszcze mógł pokazać światu arcydzieło Bazylego Hallwarda.

Ale nie! niepodobna! Z każdą godziną, z każdym tygodniem obraz na płótnie musi się starzeć. Może ująć brzydocie grzechu, ale brzydota starości jest dla niego nieunikniona. Policzki muszą się zapasć i zblednąć. Żółte obwódki podpełzną pod oczy i okolą wyblakłe źrenice, szpecąc je do reszty. Włosy utracą swój połysk, usta zapadną i wklęśte będą mieć wyraz śmieszny lub podły, jak u wszystkich starych ludzi. Szyja się okryje zmarszczkami,

ręce będą zimne i zbłękitniałe od żył, całe ciało skurczy się jak u dziadka, który był dla niego zawsze taki surowy. Portret ten musi pozostać w ukryciu. Innego wyjścia niema.

— Proszę go tu wnieść, mr Hubbard — rzekł znużonym głosem i odwrócił się. — Przepraszam, że pana tak długo zatrzymałem. Myślałem o czemś innem.

— Zawsze dobrze trochę wypocząć, mr Gray — odparł majster, ciągle jeszcze zadyszany. — Gdzie go mamy ustawić?

— Ach, gdziekolwiekbądź. Tu na przykład. Nie będzie się go wieszać. Proszę go tylko oprzeć o ścianę. Dziękuję panu.

— Czy można arcydzieło to zobaczyć, mr Gray?

Dorjan drgnął.

— Wcale by pana nie zajęło, mr Hubbard — odparł, nie spuszczając go z oka. Czuł, że rzuciłby się na tego człowieka i powalił, gdyby się odważył podnieść kosztowną zasłonę, kryjącą tajemnicę jego życia. — Nie będę pana zatrzymywał. Bardzo dziękuję za uprzejmość.

— Ależ proszę, mr Gray, bardzo proszę. Zawsze jestem gotów do pańskich usług. I mr Hubbard począł schodzić ze schodów, a za nim ruszył czeladnik, z trwożnym podziwem na brzydkiej ordynarnej twarzy, rozglądając się raz jeszcze po oto-

czeniu, nigdy w życiu nie widział jeszcze tyle wspaniałości.

Gdy ucichł odgłos ich kroków, Dorjan zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni. Teraz czuł się bezpiecznym. Nikt nie zobaczy już straszego obrazu, niczyje oko, prócz jego własnego, nie ujrzę jego hańby.

Było już po piątej i herbata stała na stole, gdy wrócił do biblioteki. Na stoliczku z wonnego drzewa, wykładanego masą perłową, podarku lady Radley, pięknej żony jego opiekuna, bawiącej się w pacjentkę, która ostatnią zimę spędziła w Kairo, leżał bilet lorda Henryka, a obok w żółty papier oprawna książka, lekko przyniszczona na grzbiecie i poplamiona na rogach. Na tacy leżał egzemplarz trzeciej edycji »St. James Gazette.« Widocznie Wiktor już wrócił. Chciałby wiedzieć, czy też spotkał się w kurytarzu z rzemieślnikami i czy ich wypytywał, co robili. Z pewnością zauważył brak portretu, może już nawet zauważył, nakrywając do herbaty. Parawan nie został przesunięty na dawne miejsce i puste miejsce na ścianie samo się rzucało w oczy. Kto wie, czy pewnej nocy nie przydybie go na schodach, wkradającego się na górę i gwałtem usiłującego oderwać drzwi zamknięte. Straszna to rzecz mieć w domu szpiega. Słyszał nieraz o bogatych ludziach, przez całe życie zależnych od służącego, który przeczytał był list, podsłuchał rozmowę, przejął kartkę z adresem, lub pod poduszką znalazł

zwiądły kwiat, czy kawałek zmiętej koronki.

Westchnął, nalał sobie herbaty i otworzył kopertę, zawierającą bilet lorda Henryka. Pisał tylko, że posyła mu wieczorny numer gazety i książkę, która go zajmie – i że o kwadrans na dziewiątą będzie w klubie. Powoli rozłożył gazetę i przebiegł ją oczami. Zwrócił jego uwagę ustęp czerwonym ołówkiem zakreślony na piątej stronicy. Brzmiał jak następuje:

»Śledztwo, dotyczące aktorki.

Dziś rano, lekarz dzielnicy, mr Dauby, dokonał w Bell Tavern, Horton Road, obdukcji zwłok Sybili Vane, młodej aktorki Rojal-teatru, w Holborn. Orzeczenie lekarskie stwierdziło śmierć przypadkową. Matka zmarłej budziła ogólne współczucie, gdyż podczas całego śledztwa – a także przesłuchania przez dra Birrela, który wystawił świadectwo śmierci, była zupełnie nieprzytomną«.

Zmarszczył czoło, rozdarł gazetę, przeszedł się po pokoju i odrzucił strzępy dziennika. Jakie to wszystko obrzydliwe! A jak ta brzydota czyni wszystko prawdziwym! Irytowało go, że lord Henry przysłał mu to sprawozdanie. I głupstwem było, podkreślać je czerwonym ołówkiem. Wiktor mógł być przeczytać. Do tego wystarcza mu najzupełniej jego angielszczyzna.

A może przeczytał i zaczyna już podejrzewać. Ale co to szkodzi? Cóż wspólnego ma Dorjan

Gray z Sybilą Vane? Niema się czego obawiać. Dorjan Gray jej przecież nie zamordował.

Wzrok jego padł na żółtą książkę, przyslaną mu przez lorda Henryka. Co to może być? Podszedł do małej, ośmiokątnej półki perłowego koloru, robiącej na nim zawsze wrażenie dzieła pszczoł egipskich, co budują plastry ze srebra, wziął książkę, rzucił się na fotel i zaczął przerzucać kartki. Po kilku minutach zupełnie zapomniał o otoczeniu. Była to najdziwniejsza książka, jaką kiedykolwiek czytał. Grzechy świata przybrane we wspaniałe szaty, zdawały się przeciągać w niemych korowodzie, przy akompaniamencie cichych tonów fletni..... Rzeczy, znane mu zaledwie z marzeń zawitych, nagle przemieniły się w rzeczywistość. Rzeczy, o których nawet nie marzył, powoli zaczęły mu się objawiać.

Był to romans bez akcji. Występował w nim jeden tylko charakter, nie będący niczem innym, jak psychologicznem studjum młodego paryżanina, który w dziewiętnastym wieku czyni próbę przeżycia wszystkich namiętności i systemów myślowych, jakie panowały we wszystkich epokach, prócz współczesnej. Pragnie on niejako połączyć w sobie wszystkie nastroje, jakim podlegał duch świata, w równej mierze kochając gwoli ich nienaturalności wszystkie owe rezygnacje, które ludzie zwą cnotami, jak i owe naturalne bunty, dziś jeszcze przez mędrców uważane za grzechy. Styl tej książki był dziwnie cyzelowany, żywy i ciemny

zarazem, naszpikowany żargonem i archaizmami, terminami technicznymi i starannie opracowanymi parafrazami—styl cechujący najsutelniejszych artystów francuskiej szkoły symbolicznej. Były w nim metafory, rzadkie jak orchideje i tak samo delikatne w barwie. Życie zmysłów nakreślone było słowami mistycznych filozofów. Chwilami trudno było wprost rozróżnić, czy się czyta ekstatyczne uniesienia średniowiecznego świętego, czy chorobliwe zwierzenia nowoczesnego grzesznika. Była to książka zgubna. Ze stronic jej unosiła się niejako ciężka woń kadzidlana, mgłą przesłaniając umysł. Już sama tonacja zdań, wyrafinowana monotonja ich melodyj, tak jednak pełna niedomówionych powtórzeń i dyskretnie odmierzonej rytmiki, wszystko to wywoływało u Dorjana, w miarę jak się zagłębiał w lekturze, rodzaj zadumy, rozmarzenia — że nie spostrzegł się nawet, jak zmrok zapadł, siejąc wokół cienie nocy.

Miedziano-zielonawe niebo, bez żadnej chmurki, jedną tylko gwiazdą rozjaśnione, widniało przez okno. W jego niknących blaskach Dorjan czytał, dopóki tylko mógł rozróżniać litery. Służący parę razy zwrócił mu uwagę na spóźnioną porę. Wreszcie wstał, przeszedł się do sypialni, położył książkę na małym florentyńskim stolczku obok łóżka i zaczął się przebierać.

Dochodziła dziewiąta, zanim przyszedł do klubu.

Lord Henry sam siedział w jednym z gabinetów i miał minę człowieka mocno znudzonego.

— Bardzo mi przykro, Harry — usprawiedliwiał się Dorjan — ale sam jesteś temu winien. Książka, którą mi przysłałeś, tak jest fascynująca, że nie zauważyłem, jak mi czas upłynął!

— Tak, wyobrażałem sobie, że ci się będzie podobała — rzekł lord Henry powstając.

— Ja nie powiedziałem, Harry, że mi się podobała. Powiedziałem że jest fascynująca. A to wielka różnica.

— Ach, ty to odkryłeś? — mruknął lord Henry. I obaj przeszli do jadalni.

XI.

Przez całe lata Dorjan Gray nie mógł się wyswobodzić z pod wpływu tej książki. Albo ściślej się wyrażając, wcale nie usiłował się wyswobodzić. Sprowadził sobie z Paryża nie mniej jak dziesięć egzemplarzy pierwszego wydania w dużym formacie i dał je oprawić w rozmaitych kolorach, odpowiadających zmiennym nastrojom i stanom jego duszy, nad którą czasami zdawał się tracić wszelką władzę. Bohater, młody paryżanin, w którego naturze tak dziwnie mieszał się duch romantyczny i naukowy, stał się dla niego jakby prototypem. I istotnie, zdawało mu się, że cała ta książka

zawiera dzieje własnego jego życia, spisane wcześniejszej jeszcze niż je przeżył.

Na jednym punkcie, co prawda, był szczęśliwszym od fantastycznego bohatera romansu. Nigdy nie znał i nie miał powodu do śmiesznej nieco obawy przed zwierciadłami, gładkimi powierzchniami metali i cichych wód — obawy, która za władnąwszy tak wcześnie życiem owego paryżanina, spowodowała nagły zanik jego — ongi — nie zwykłej piękności. Tę część książki o prawdziwie tragicznym, jakkolwiek nieco patetycznym opisie cierpień i rozpaczcy człowieka, który postradał to, co najwięcej cenił u innych i wogóle w życiu, odczytywał za każdym razem z okrutną niemal radością — a może w każdej radości, jak niewątpliwie w każdej rozkoszy, mieści się okrucieństwo.

Bo cudna jego piękność, co tak oczarowała była Bazylego Hallwarda i wielu innych, z biegiem lat wcale się nie zmniejszyła. Nawet ci, co słyszeli o nim najgorsze rzeczy — od czasu do czasu bowiem dziwne wieści o jego życiu obiegały Londyn, dostarczając tematu plotkom klubowym — nawet ci ludzie, ujrzawszy go, nie mogli przypuszczać o nim nic złego. Ciągłe jeszcze tak wyglądał, jakby przeszedł był przez życie nieskalany. Ludzie rozprawiający swobodnie, milkli, gdy wchodził Dorjan Gray. W czystych liniach jego twarzy było coś, co kłama zadawało pogłoskom. Sama jego obecność zdawała się budzić poczucie czystości,

przez nich brukanej. Dziwiono się że on, tak pełen wdzięku i czaru, mógł uniknąć splugawienia, w epoce zarówno zmysłowej jak brutalnej.

Często, wracając z długich a tajemniczych wy-cieczek, budzących owe dziwne przypuszczenia u jego przyjaciół, lub tych, co sobie rościli prawo do tego tytułu, pokryjomu wchodził na piętro, otwierał zamknięty pokój kluczem, z którym się nigdy nie rozstawał i ze zwierciadłem w ręku stawiał przed portretem, malowanym przez Bazylego Hallwarda. Wpatrywał się w okrutnie postarzałą twarz na obrazie, to znów w piękne, młodzieńcze oblicze w zwierciadle. Siła kontrastu potęgowała jeszcze uczucie rozkoszy. Coraz więcej kochał się w swej piękności i coraz więcej interesowało go zepsucie jego duszy. Z największą uwagą, niekiedy z dziką, straszną radością śledził szkaradne linje, przecinające pomarszczone czoło i okrężające grube zmysłowe usta. Nieraz się też zapytywał, co było straszniejsze: ślady grzechów czy starości? Przykładał swe białe, wydelikaczone palce do szorstkich, nabrzmiałych rąk na portrecie i uśmiechał się. Naigrawał się z oszpeconej postaci i zniedołężniałych członków.

Zdarzały się wprawdzie chwile w porze nocnej, gdy bezsenny leżał w swym wonnym pokoju lub w brudnej mansardzie osławionej knajpy portowej, gdzie zwykł był chodzić w przebraniu i pod przybranem nazwiskiem — zdarzały się chwile, gdy

z litością, tembardziej palącą, że egoistyczną, musiał myśleć o zepsuciu, jakie sprowadził na swą duszę. Ale chwile takie były nader rzadkie. Owa ciekawość życia, którą w nim obudził lord Henry onego dnia, gdy razem siedzieli w ogrodzie przyjaciela, zdawała się potęgować, w miarę jak ją zaspakajał. Im więcej wiedział, tem więcej pragnął wiedzieć. Trawił go głód tem gwałtowniejszy, im więcej go uciszał.

Właściwie nie był też opieszalym, a przynajmniej nie był nim w stosunkach towarzyskich. Raz lub dwa razy miesięcznie w porze zimowej i co środę podczas sezonu, otwierał podwoje swego pięknego domu i spraszał najznakomitszych muzyków, by cudami swego artyzmu czarowali gości. Jego obiady, przy których urządzaniu zawsze mu pomagał lord Henry, sławne były zarówno ze starannego doboru i ugrupowania gości, jak z wykwintnego gustu w dekoracji stołów, o symfonicznych zestawieniach egzotycznych kwiatów, z niezwyklego haftu serwet i starego złota i srebra. To też wielu, zwłaszcza wśród młodych ludzi, widziało lub pragnęło widzieć w Dorjanie uosobienie typu, o którym nieraz marzyli w Etonie lub Oxfordzie—typu mającego jednoczyć w sobie niektóre cechy prawdziwej kultury uczonego, z całym wdziękiem, dystynkcją i skończonemi formami światowca. Podług ich pojęcia należał on do tych, o których mówi Dante, że »usiłowali się dosko-

nalić przez kult piękna.« Podobnie jak Gautier, należał do ludzi, dla których »świat widzialny istniał.«

I bezsprzecznie, życie było dlań sztuką najpierwszą i największą. Wszystkie inne sztuki były tylko przygotowaniem do życia. Moda, dzięki której prawdziwa fantastyczność na chwilę staje się ogólną, dandyzm, usiłujący na swój sposób uczynić rozmaite formy piękna absolutnie modnymi, posiadały dla niego oczywiście swój urok. Jego sposób ubierania się, rozmaite style, którymi się od czasu do czasu przejmował, wywierały widoczny wpływ na młodych elegantów Mayfair=balów i Pall=Mall klubów, kopjujących go na każdym kroku i pragnących przyswoić sobie naśladowany czar jego wdzięcznych, przez niego samego tylko nawpół serjo traktowanych fantazji.

Aż nazbyt pochopnie co prawda przyjął stanowisko, jakie mu się otworzyło natychmiast po dojściu do pełnoletności, znajdując nawet pewną subtelność przyjemności w myśli, że dla współczesnego Londynu może się stać tem, czem za czasów Nerona był autor Satyrykonu — niemniej w głębi duszy nie wystarczała mu rola »arbitra elegancji«, u którego zasięgano rady co do oprawy klejnotu, wiązania krawatki lub sposobu trzymania laski. Usiłował on wynaleźć nowy system życia, któryby posiadał własną swą logiczną filozofję i ustalone

zasady, a którego najwyższym celem byłoby uduchowienie zmysłów.

Często i słusznie oburzano się na kult zmysłów, człowiek bowiem ma w sobie naturalny instynkt trwogi przed namiętnościami i popędami, które zdają się być silniejsze od niego samego, a które on dzieli świadomie z niżej uorganizowanymi (tworami). Dorjan Gray jednak mniemał, że prawdziwa istota zmysłów nigdy nie została zrozumianą i że zmysły dlatego tylko pozostały dzięki i zwierzęce, ponieważ świat chciał je głodem i bólem zmusić do uległości i zamarcia, zamiast dążyć do wytworzenia z nich czynników nowej duchowości, której cechą znamionną byłby subtelny zmysł piękna. Patrzac wstecz na pochod dziejowy człowieka, doznawał uczucia straty. Tyle poświęcono i bez celu! Życie wykazywało tyle dzikich, samowolnych okaleczeń, tyle oburzających rodzajów samoudręki i poświęcenia, których przyczyną była obawa, a rezultatem poniżenie — straszniejsze od owego urojonego poniżenia, którego w nieświadomości swej starano się uniknąć. Natura bowiem przez dziwną swą ironję wypędzała anachoretę do dzikich zwierząt w pustyni, a pustelnikowi przydawała za towarzyszy zwierzęta polne.

Tak, lord Henry słusznie przepowiada: Musi nadejść epoka nowego hedonizmu, który ponownie ukształtuje życie i uchroni je od owego surowego, brzydkiego purytanizmu, święcącego w naszych

czasach straszne swe zmartwychstanie. Oczywiście, że życie to ustanowi swój kult intelektu, nigdy jednak nie przyjmie żadnej teorii, ani systemu, rezygnujących z przeżycia jakiegokolwiek namiętności.

Celem jego ma być doświadczenie samo, nie zaś owoce doświadczenia, bez względu na to czy będą słodkie lub gorzkie. Ma ono być zarówno dalekie od ascetyzmu, zabijającego zmysły, jak od podłej nikczemności, która je stępią. Ma uczyć człowieka zdolności koncentrowania się w momentach życia, które samo jest tylko momentem.

Niewielu z nas chyba nie czuwało nigdy przed wschodem słońca, już to po jednej z owych bezsennych nocy, przyprawiającej nas niemal o zachanie się w śmierci, już to po jednej z owych nocy strachu i szpetnych uciech, gdy przez komnaty mózgu przeciągają majaki, potworniejsze jeszcze od rzeczywistości, a ożywione tem życiem żywym, co utajone jest we wszelkiej groteskowości i także gotykowi nadaje trwałą siłę życiową, bo sztuka ta zdaje się niejako być przedewszystkiem sztuką tych, których dusze zasępia choroba marzenia. Zwolna białe palce wsuwają się przez firanki i zdają się drzeć. Niby czarne, fantastyczne postacie — cienie pełzają po kątach pokoju i tam się układają. Na dworze słychać szelest ptaków w listkowi, lub kroki ludzi, idących do roboty, lub jęki i westchnienia wiatru, co zlatuje ze wzgórz a okrąża cichy dom, jakby się bał zbudzić śpiącego,

a jednak musiał odwołać sen z jego purpurowej jaskini. Zasłona po zasłonie z cienkiej, przejrzystej gazy zwolna się podnosi, rzeczy odzyskują kształty i barwy i widzimy, jak nadchodzący dzień oddaje światu dawne jego oblicze. Błade zwierciadła znów otrzymują swe życie odtwórcze. Wygasłe świece stoją, gdzie je pozostawiliśmy, a obok nich leży nawpół otwarta książka, którą czytaliśmy lub drutem opleciony kwiat, lub list, który obawialiśmy się czytać, lub czytali zbyt często. Wszystko wydaje się niezmienionem. Ze złudnych cieni nocy wyłania się życie prawdziwe, któreśmy znali. Musimy je podjąć, gdzie zostało przerwane i ogarnia nas uczucie straszne—uczucie konieczności, zmuszającej do ciągłego zużywania sił w nużącym kole codziennych wydarzeń, lub też porywa nas dzika tęsknota, by pewnego poranku oczy nasze otworzyły się na świat, co w mroku na nowo został stworzony ku naszej radości, na świat, w którym rzeczy mają barwy i kształty nowe albo zmienione, lub też kryją nowe tajemnice, na świat, w którym przeszłość nie zajmowałaby miejsca wcale, albo bardzo mało, a w każdym razie nie w świadomej formie powinności czy skruchy, bo nawet wspomnienie radości posiada swą gorycz, jak wspomnienie rozkoszy — swój ból.

Tworzenie takich światów uważał Dorjan Gray za istotne zadanie życia, lub przynajmniej za jedno z właściwych jego zadań, a w poszukiwaniu uczuć

nowych i rozkosznych, z ową przymieszką egzo-
tyczności, tak nieodłącznej od romantyzmu, scho-
dził na tory myślowe, o których wiedział wprawdzie,
że obce są jego prawdziwej naturze, niemniej je-
dnak poddawał się ich subtelnemu czarowi. Po-
znawszy wszakże prawdziwą ich barwę i zaspo-
koiwszy swą ciekawość, porzucał je z ową dziwną
obojętnością, która wcale nie wyklucza, a podług
niektórych psychologów współczesnych — warun-
kuje nawet prawdziwą płomiennność temperamentu.
Raz obiegała wieść, że pragnie przyjąć obrządek
rzymsko-katolicki, istotnie rzymski rytuał miał dla
niego zawsze wielki urok. Codzienna ofiara, straszniej-
sza zaiste od wszystkich ofiar starego świata, podnie-
cała go zarówno dumną rezygnacją z świadectwa
zmysłów, jak niemniej pierwotną prostotą swych
czynników i wiecznym patosem ludzkiej tragedji,
którą uzmysławia. Lubił klęczeć na schodach marmu-
rowych i obserwować księdza, jak w sztywnej
szacie, formą przypominającej kielich kwiatu, od-
chyłał białemi dłońmi zasłonę Sanctissimum, lub
wznosił do góry w klejnoty zdobną monstrancję
z owym białym poświęconym chlebem, co cza-
sami naprawdę zdaje się być »panis caelestis«,
chlebem anielskim, albo też jak w ornat przybrany,
nad kielichem łamie hostję i w piersi się bije za swe
grzechy. Dymiące kadzielnice, potrząsane przez
poważnych chłopców w koronkach i szkarłacie,
niby duże, złociste kwiaty, wprost go czarowały.

Wychodząc, patrzył ze zdumieniem na czarne konfesjonały spowiedników i pragnął siedzieć w ich mrocznym cieniu i słuchać, jak mężczyźni i kobiety przez wytarte okratowanie szeptem opowiadają prawdziwą historję swego życia.

Nigdy jednak nie popadł w błąd powstrzymania swego rozwoju duchowego przez formalne przyjęcie jakiegoś obrządku lub systemu i nigdy też nie uważał za dom mieszkalny tego, co jest tylko hotelem, gdzie można spędzić jedną noc, lub tylko kilka godzin nocnych, kiedy na niebie ani jedna nie świeci gwiazda, a księżyc walczy z chmurami. Mistyka, posiadająca dziwną moc nadawania najzwyczajszym rzeczom cechy czegoś niezwykłego i cudownego i subtelne sprzeczności, zdające się jej stale towarzyszyć, więziły go przez cały jeden sezon, w ciągu innego sezonu skłaniał się ku materialistycznym naukom darwinistycznego prądu w Niemczech, znajdując dziwną rozkosz w śledzeniu ludzkich myśli i namiętności aż do najdrobniejszej komórki mózgu, do najsubtelniejszego nerwu w organizmie, upajał się myślą bezwzględnej zależności ducha od pewnych określonych warunków fizycznych, chorobliwych lub nie, normalnych czy anormalnych. Tylko, jak już widzieliśmy, żadna teoria życiowa nie miała dlań wartości w porównaniu z życiem samem. Był zupełnie świadom, jak bezpłodna jest wszelka spekulacja duchów, pozostająca zdala od czynu i doświadczenia. Wiedział,

że zmysły, niemniej od duszy mają do objawienia swe tajemnice duchowe.

Studjował więc perfumy i tajemnice ich przyrządzania, destylował oszałamiające oliwy i palił wonną gumę ze Wschodu. Sądził, że niema nastroju ducha, któryby się nie odzwierciedlał w życiu zmysłów i oto usiłował odkryć prawdziwy ich stosunek wzajemny, pytając, czemu kadzidło wytwarza nastrój mistyczny, a ambra budzi namiętności, czemu zapach fiołków wywołuje wspomnienia umarłych namiętności, piżmo oszałamia umysł, a woń szampacku, bruka fantazję. I starał się uchwycić prawdziwą psychologję zapachów i określić różnorodne działanie słodko woniejących korzeni, oszałamiających, pyłkiem okrytych kwiatów, aromatycznej oliwy i ciemnego, wonnego drzewa, narduski przyprawiały o chorobę, ho-
wenje o szaleństwo, a aloesy mogły podobno uleczyć duszę z melancholji.

Innym razem całkowicie się oddawał muzyce. W długiej okratowanej sali, o szkarłatno-złotawym suficie i ścianach z zielonkawego laku, odbywały się niezwykle koncerty, cyganie wydobywali tu dzikie dźwięki z małych cytr, a poważni grajkowie z Tunisu, w żółtych szatach, szarpali mocno napięte struny oryginalnych lutni, gdy murzyni z wyszczerzonymi zębami monotonnie uderzali w miedziane bębny. Na purpurowych matach leżeli smukli indusi, strojni w turbany, grali na długich piszczałkach

z trzciny lub metalu, rzucając czar — przynajmniej pozornie, — na olbrzymie, do ziemi przycupnięte węże i straszne żmije rogate. Dzikie przeskoki i jaskrawe dysonanse barbarzyńskiej muzyki czarowały go wówczas, gdy wdzięk Szuberta, cudowny smutek Chopina i potężne harmonje Beethovena nie czyniły na nim wrażenia. Ze wszystkich stron świata zbierał najdziwniejsze instrumenty, jakie tylko mógł odkryć w grobach wymarłych ludów lub u tych rzadkich dzikich szczepów, co przeżyły zetknięcie z cywilizacją Zachodu, doznawał przyjemności w dotykaniu ich i próbowaniu. Posiadał tajemnicze juruparis indjan z Rio-Negro, na które nie wolno spojrzeć żadnej kobiecie, a które i młodzieniec może oglądać dopiero po poście i pokucie, posiadał gliniane naczynia peruwjańczyków, naśladujące przenikliwy głos ptaków, flety z ludzkich kości, których muzyki słuchał był w Chile, Alfonso de Ovalle, i dźwięczne zielone jaspisy z Cuzco, o brzmieniu dziwnie słodkiem. Posiadał pomalowane banie, co napełnione żwirem, brzęczały przy potrząsaniu, długie klarynety meksykańskie, nie do grania, lecz do wciągania powietrza, ostre tury amazonek, na których grają strażę, siedząc całymi dniami na wysokich drzewach, a które słysząc podobno na trzy mile w około, posiadał teponaztli o dwóch drewnianych językach, w które się uderza kijami, potartemi elastyczną gumą z mlecznych soków roślinnych, i yotl-dzwony azteków,

co zwisają niby pęki winogradu, i wielki bęben w kształcie cylindra, obciągnięty skórą olbrzymich węzów, podobny do tego, jaki widział Bernal Diaz, kiedy z Kortezem szedł do świątyni meksykańskiej, i o którego bolesnych tonach pisał z takim przejęciem. Zachwycała go fantastyczność tych instrumentów i cieszył się, że sztuka, tak samo jak natura, posiada swe potwory: instrumenty o zwierzęcej formie i potwornem brzmieniu. Niebawem jednak wszystko to go znudziło i znów siadywał w swej łoży w Operze, sam lub z lordem Henrykiem, z zachwytem wsłuchując się w »Tannhaüsera« i odnajdując w preludjum wielkiego dzieła tragedję własnej swej duszy.

Raz znowu rozpoczął studia nad klejnotami i na balu kostjumowym ukazał się jako Anne de Joyeuse, admirał Francji, w stroju, zdobnym w pięćset sześćdziesiąt pereł. Studja te zajmowały go przez parę lat i nigdy nie straciły dlań uroku. Nieraz spędzał cały dzień na wyjmowaniu i porządkowaniu swych klejnotów. Posiadał znaczne zbiory: oliwkowy chryzoberyl, czerwieniejący w świetle lampy, kymofany o cienkich, jak niteczki srebrnych żyłkach, perydoty, koloru pistacji, różowe i winno-żółte topazy, karbunkuły z płomiennego szkarłatu o drżących czteropromiennych gwiazdach, zielone hjacenty, pomarańczowe i fioletowe spinelle i ametysty, o mieniących się tonach rubinu lub szafiru. Lubił czerwone złoto kamienia słonecznego, perlistą

210
biel kamienia księżycowego i załamującą się tęczę mlecznych opali. Sprowadził sobie z Amsterdamu trzy szmaragdy niezwyklej wielkości i przepychu barwy, nadto posiadał turkus »de la vieille roche«, będący przedmiotem zawiści wszystkich znawców.

Odkrywał też cudowne historie, odnoszące się do klejnotów. Clericaris Disciplina Alfonsa wspominała o wężu, mającym oczy z prawdziwego hjacentu, a w romantycznej historii Aleksandra czytamy o zwycięzcy z Emathji, że w dolinie Jordanu widział węże, »których grzbiety okryte były sznurami szmaragdów«. W mózgu smoka, opowiada Philostrate, znajduje się kamea, a potwora można zabić lub wprowadzić w sen magiczny zapomocą »czerwonej szaty ze złożonemi literami«. Zdaniem wielkiego alchemika Piotra de Boniface, djament zdolny jest uczynić człowieka niewidzialnym, a indyjski agat może mu użyczyć wymowy. Karneol gasi gniew, hjacent wywołuje sen, a ametyst rozwiewa omglenie, spowodowane winem. Granat wypędza demony, a hydropikus pozbawia blasków tarczę księżyca. Selenit rośnie i maleje wraz z księżycem, a malokeus, zdradzający złodziei, rozpuszcza się tylko w krwi młodych koźląt. Leonardus Camillus widział na własne oczy, jak biały kamień, niezawodny środek przeciw truciźnie, wyjęty został z mózgu dopiero co zabitej ropuchy. Bezoar rosnący w sercu arabskiej zwierzyny, posiada własności czarnoksięskie, odpędza-

jące zarazę. W gniazdach ptaków arabskich leżą aspilaty, chroniące, podług Demokryta, tego co je nosi od niebezpieczeństwa ognia.

Król Cejlonu objeżdżał swą stolicę z wielkim rubinem w ręku, na znak, że został ukoronowany. Bramy pałacu Jana Kaznodziei były wybudowane z sardyków i zaopatrzone w róg węża rogatego, aby nikt nie mógł przejść tamtędy z trucizną. U szczytu były zamieszczone dwa »złote jabłka z dwoma karbunkułami«, by we dnie świeciło złoto, a w nocy płonęły karbunkuły. W dziwnym romansie Lodge'a: Małgorzata z Ameryki znajdowała się wzmianka, że w pokoju królowej można było widzieć wszystkie niepokalane dziewice całego świata, jak odlane w srebrze patrzyły przez cudne chryzolity, karbunkuły i zielone szmaragdy. Marko Polo widział był, jak mieszkańcy Zipangu zmarłym swym wkładają do ust perły. Potwór morski, zakochany w perle, którą nurek wyłowił i zaniósł królowi Parozesowi, ubił złodzieja i przez całe siedm miesięcy biadał nad swą stratą. Kiedy hunowie zważyli króla do przepaści, wówczas — jak opowiada Prokop — odrzucił on perłę, której jednak nie odnaleziono nigdy, pomimo że cesarz Anastazjusz przyrzekł za nią wypłacić pięćset funtów złota. Król Malabaru pokazał pewnemu weneccjaninowi różaniec z trzystu czterech pereł, z których każda poświęcona była innemu przez niego czczonemu bóstwu.

Gdy ksiązę Walencji, syn Aleksandra VI, odwiedzał Ludwika XII we Francji, rumak jego okryty był girlandami ze złotych liści, a na czapce jeźdźca płonęły dwa sznury rubinów, siejąc w okół światło płomiennie. Karol, król angielski, miał u siodła swego strzemiona, w których osadzono czterysta dwadzieścia jeden djamentów. Ryszard II. nosił szatę wartości trzydziestu tysięcy marek, okrytą olbrzymiemi rubinami. Hall opisuje że Henryk VIII, jadąc przed koronacją do Toweru, nosił »suknię przetykaną złotem, wyszytą djamentami i innemi drogiemi kamieniami, a na szyji ciężki łańcuch z rubinów«. Faworyci Jakóba I. nosili kołczyki z fili-granowego złota, w których osadzone były szmaragdy. Edward II. obdarzył Gavestona czerwono-złocistą zbroją, wysadzaną hjacentami, łańcuchem ze złotych róż z turkusami i czapeczką usianą perłami. Henryk II. nosił aż po łokcie sięgające rękawiczki, zdobne rubinami i pięćdziesięciu dwiema dużemi perłami. Kapelusz ksiązęcy Karola Śmiałego z Burgundji, ostatniego księcia tej dynastji, był obwieszony perłami kształtu gruszkowatego i wysadzany szafirami.

Jakże życie było ongi wspaniałe! Jak dumne swym zbytkiem i przepychem! Już samo czytanie o wystawności nieboszczyków dostarczało wrażeń przecudnych.

Po pewnym czasie zaczął się zajmować haf-tami i gobelinami, które w zimnych mieszkaniach

północnych ludów Europy zastępowały freski. Zagłębiwszy się w tym przedmiocie — bo posiadał w najwyższym stopniu zdolność poddawania się całkowicie upodobaniu chwili — uległ niemal melancholji, rozmyślając nad tem, jakie zniszczenie czas sprowadził był na wszystko, co piękne i wspa-
 niałe. On przynajmniej uszedł jego niszczycielskiej dłoni. Mijało lato po lecie, żółte żonkile kwitły i umierały, a noce pełne lęku powtarzały historję jego hańby, on jednak pozostał niezmieniony. Żadna zima nie oszpeciła jego twarzy, nie zniszczyła jego kwitnącej piękności. Jakże inaczej z rzeczami ma-
 terjalnemi! Co się z niemi stało? Gdzie owa szata koloru rozkwitłych krokusów, przedstawiająca walkę bogów z olbrzymami, a utkana przez czarnoookie dziewczęta, ku radości Atheny? Gdzie olbrzymie Velarium, które Nero rozpiął był nad Colosseum, ów tytaniczny żagiel z purpury, na którym wi-
 dniało niebo gwiazdziste i Apollo na wozie, ciągnionym przez białe rumaki w złotej uprzęży? Pa-
 liło go pragnienie zobaczenia dziwnych obrusów kapłana słońca, na których rozłożone były wszy-
 stkie kosztowności i łakocie używane przy uczcie, albo całunu króla Chilperycha z trzystu złotemi pszczołami, lub fantastycznych szat, co wywołały oburzenie biskupa pontyjskiego, szat ożywionych »lwami, panterami, psami, lasami, skałami, myśli-
 wymi« i wszystkiem, co malarz może kopjować z natury, lub wreszcie sukni, noszonej niegdyś

przez Karola Orleańskiego, na której rękawach wyhaftowany był złożonemi literami tekst pieśni zaczynającej się od słów: »Madame, je suis tout joyeux«, a także akompanjament muzyczny; przy czem każda z czterokątnych jeszcze podówczas nut, wykonana była z czterech pereł. Czytał o komnacie, urządzonej w pałacu w Reims dla burgundzkiej królowej Joanny, gdzie »można było widzieć tysiąc trzysta i dwadzieścia jeden papug haftowanych z godłem króla, a pięćset sześćdziesiąt jeden motyli, o skrzydełkach zahaftowanych godłem królowej, a wszystko to wykonane w złocie«. Katarzyna Medycejska kazała sobie sporządzić łoże śmiertelne z czarnego aksamitu, całe zasiane księżycami i słońcami, baldachim z adamaszku w girlandy i listkowie na złotem i srebrnem tle, obrzeżony był haftem z pereł. Łoże to ustawione było w komnacie, w której biegł fryz z liter, wykonanych z czarnego aksamitu na srebrnej tkaninie, a wyrażających motto królowej. Ludwik XIV. miał w swych apartamentach złotem haftowane karjatydy, piętnastu stóp wysokości. Zbytkowne łożo króla polskiego Sobieskiego, było ze smyrnńskiego złotego brokatu na którym turkusami wyhaftowano cytaty z Koranu, kolumny łoża były z połączanego srebra, subtelnie wyłożone emaljami, medaljonami i szlachetnemi kamieniami. Łoże to zostało zabrane jako łup z obozu tureckiego

pod Wiedniem, a pod złotym szychem jego baldachimu stała chorągiew Mahometa.

Przez ciąg jednego roku zbierał najkosztowniejsze próbki tkanin i haftów. Sprowadzał najdelikatniejsze muszliny z Delhi, haftowane w złote gałęzie i wyszyte w połyskliwe skrzydełka chrabąszczy, daccagazy, dla swej przejrzystości zwane na Wschodzie »tkanem powietrzem«, »płynącą wodą« i »rosą wieczorną«, dziwne, w figury zdobne materiały z Jawy, kunsztownie wyrabiane chustki chińskie, książki oprawne w surowy jedwab, koloru dębowego lub jasnoblękitnego, ozdobione obrazami, ptakami i »fleurs de lys«, węgierskie welony z »lakis«, sycylijskie brokaty i sztywne aksamity hiszpańskie, wyroby gieorgjańskie, obrzeżone złotą monetą, wreszcie japońskie fonkonsas z zielonawem złotem i egzotycznie upierzonem ptactwem.

Miał też szczególne upodobanie do szat kościelnych, jak w ogóle do wszystkiego, pozostającego w związku z ceremonjałem kościelnym. W długich skrzyniach cedrowych, ustawionych na zachodniej galerji jego domu, mieściły się rzadkie i przepiękne próbki tego, co się składa na strój oblubienicy Chrystusowej, noszącej purpurę i klejnoty i najdelikatniejsze tkaniny, by ukryć blade, wymęczone ciało, zamierające z cierpienia, którego sama szuka, i krwawiące ranami bólu, który sobie sama zadaje. Posiadał dalmatykę z czerwonego jedwabiu i złotem przetykanego adamaszku, hafto-

waną w złote girlandy z jabłek granatu i sześciolistnych kwiatów stylizowanych. Stuły, podzielone na osobne pola, uwidoczniały sceny z życia Przenajświętszej Dziewicy a Jej koronację przedstawiał kolorowy haft na kapie. Była to włoska robota z XIV-go wieku. Inna dalmatyka była z zielonego aksamitu, zahaftowana liśćmi akantusu, ułożonemi w formę serca, wychodzące z pośród nich białe kwiaty na długich szypułkach, wykończone były srebrnemi nićmi i różnokolorowemi kryształami. Koń morski miał głowę serafina, wspaniale wykonaną złotą nicią. Stuły, tkane we wzory z czerwonego i złotego jedwabiu, były obszyte medaljonami rozmaitych świętych i męczenników, między innymi także św. Sebastjana. Miał też alby kapłańskie z jedwabiu bursztynowego i błękitnego, ze złotego brokatu, z żółtego jedwabnego adamaszku i złotego sukna, przedstawiające Mękę i Ukrzyżowanie Chrystusa, rewerendy z białego jedwabiu i różowego adamaszku w tulipany, delfiny i »fleurs de ys«; kapy na ołtarze z czerwonego aksamitu i błękitnej tkaniny, zasłony na kielichy i niezliczoną moc chust i prześcieradeł. Mistyczny cel, do którego wszystkie te skarby służyły, pobudzał i podniecał jego wyobraźnię. Bo wszystkie zbiory i osobliwości, mieszczące się w jego przepięknem mieszkaniu, uważał tylko za środki, dające mu zapomnienie, za sposoby uwolnienia się — bodaj na pewien czas — od trwogi, której często nie był

w stanie znieść. Na ścianie pustego, zamkniętego pokoju, w którym spędził większą część młodości, zawiesił własnoręcznie straszny obraz, którego zmienne rysy ukazywały mu prawdziwe upodlenie jego życia. Obraz zasłonił purpurowo-złocistą draperją. Całymi tygodniami tam nie wchodził, pragnąc zapomnieć o potwornem malowidle, odzyskać swobodę i wielką radość życiową i w niej się cały rozplynać. Aż nagle pewnej nocy wymykał się znów do owych osławionych lokali koło Blue-Gate-Field i pozostawał tam przez parę dni, dopóki tylko mógł. Po powrocie, siadywał nieraz przed obrazem, czasem z uczuciem wstrętu, lecz często też przejęty dumą własnej indywidualności, zawierającą w sobie połowę czaru, właściwego grzechowi. I z tajemną radością uśmiechał się nad potwornym cieniem, zmuszonym nosić ciężar, który właściwie dla niego był przeznaczony.

Po kilku latach nie był już w stanie bawić przez dłuższy czas zagranicą. Zaniegował więc willę w Trouville, którą dzielił z lordem Henrykiem, zarówno jak biały domek w Algierze, gdzie z nim niejedną spędził był zimę. Nie znosił rozłąki z obrazem, stanowiącym część jego życia, a także obawiał się, by w czasie jego nieobecności ktoś nie wtargnął do pokoju, pomimo sztucznych zatrzasków, jakimi zaopatrzył był drzwi.

Wiedział, że obraz sam przez się nie mógłby nic powiedzieć. Prawda, że mimo całego ciężącego

na nim zepsucia i brzydoty, wykazywał dotąd uderzające podobieństwo, ale cóż z tego wynika? Wyśmiałby każdego, co by odważył się czynić jakież aluzje. On go przecież nie malował. Co go obchodzi, że obraz wygląda ohydnie i podle? Gdyby im nawet wyjaśnił przyczynę, czyżby mu uwierzyli?

A jednak się obawiał. Nieraz, bawiąc we wspólniejszej siedzibie wiejskiej, w Nottinghamshire, w gronie młodych elegantów swej sfery, stanowiących główne jego towarzystwo i olśniewając całe hrabstwo wyzywającym przepychem i zbyt kowną świetnością swego trybu życia, nagle porzucał gości i co szybciej wracał do Londynu, by się przekonać, czy się ktoś nie dostał do zamkniętego pokoju i czy obraz jest jeszcze na swem miejscu. Gdyby go tak skradziono! Na samą tę myśl drętwiał ze strachu. Świat dowiedziałby się o jego tajemnicy. Kto wie, czy się już czego nie domyślano!

Bo chociaż wielu czarował swą osobistością, niemniej byli też tacy, w których budził nieufność. Omal że mu nie odmówiono przyjęcia w jednym z West-End-klubów, pomimo że stanowisko społeczne i pochodzenie najbardziej go uprawniały do godności członka, a opowiadano sobie także, że gdy przy jakiejś sposobności został przez przyjaciela wprowadzony do Churchilklubu, księżę Berwick i jeszcze jeden dżentleman ostentacyjnie powstał i wyszli. Dziwne o nim obiegały wieści, kiedy ukończył rok dwudziesty piąty. Szeptano sobie, że

widziano go w bójce z cudzoziemskimi marynarzami w podłej knajpie odległej dzielnicy White-chapel, że obcuje ze złodziejami i fałszerzami monet i dobrze jest obznajomiony z tajemnicami ich rzemiosła. Zauważono jego częste a długie wyjazdy, a kiedy się znów zjawiał w towarzystwie, przechodzono mimo niego z szyderskim uśmiechem, lub mierzono go zimnem, badawczem spojrzeniem, postanawiając niejako wykryć jego tajemnicę.

Oczywiście, że nie zwracał uwagi ani na podobne natręctwa, ani na rozmyślne ignorowanie go, a jego szczerą, dobroduszną naturą, czarujący dziecienny uśmiech i niezmierny wdzięk cudnej młodości, zdającej się go nigdy nie opuszczać, były dla większej części ludzi dostateczną odpowiedzią na owe oszczerstwa — bo za takie uważano głosy, skierowane przeciw niemu. Zauważono jednak, że niektórzy z tych, co najściślej z nim obcowali, po pewnym czasie zaczęli go unikać. Kobiety, obdarzające go poprzędnio namiętnem uwielbieniem, wystawiające się dla niego na obmowę i łamiące formy towarzyskie, bladły z lęku i wstydu, gdy Dorjan Gray wchodził do pokoju.

Te skandaliczne pogłoski jednak, w oczach wielu potęgowały tylko dziwny a niebezpieczny urok, jaki wywierał. Olbrzymi jego majątek stanowił także potężną twierdzę. Społeczeństwo, a przynajmniej klasa ucywilizowana, nigdy nie wierzy nic złego o ludziach, którzy są zarazem bogaci i za-

chwycający. Ludzie ci instynktownie czują, że formy ważniejsze są od moralności, a najwyższa uczciwość mniejszą w ich oczach ma wartość, niż posiadanie dobrego kucharza. I zaiste, marna to pociecha, gdy o człowieku podejmującym swych gości lichym obiadem lub kiepskim winem, opowiadają, iż prowadzi życie nienaganne. Nawet najwyższe cnoty nie są w stanie okupić nawpół zimnych »entrées«, jak to raz przy sposobności zauważył był lord Henry, a kto wie, czy nie dałoby się wiele powiedzieć na poparcie tego twierdzenia. Bo w dobrem towarzystwie obowiązują zasady tesame, co w sztuce, a przynajmniej powinniśmy tak być. Forma jest rzeczą najważniejszą. Winna posiadać godność ceremonji, a także jej nierealność, winna nieszczerzy charakter gry romantycznej jednoczyć z dowcipem i pięknnością, dzięki którym gra taka staje się rozkoszą. Czyżby nieszczerłość była czemś strasznem? Nie sądzę! Jest tylko środkiem do zwielokrotnienia naszej indywidualności.

Takie było przynajmniej mniemanie Dorjana Gray'a. Dziwiła go płytka psychologia tych, co człowiecze ja uważali za coś trwałego, prostego, pewnego i jednolitego. Dla niego człowiek był istotą o mirjadach żywotów i mirjadach uczuć, stworzeniem skomplikowanym, różnolitem, noszącem w sobie dziwną spuściznę myśli i namiętności, którego ciało nawet skażone było potwornymi choro-

bami umarłych. Lubił się waleśać po zimnej, wysokiej galerji swej wiejskiej siedziby i wpatrywać się w przeróżne portrety tych, których krew płynęła w jego żyłach. Tu wisi Filip Herbert, o którym Francis Osborne w swych »Pamiętnikach« z czasów królowej Elżbiety i króla Jakóba» opowiada, że był »pieszczony i psuty przez cały dwór gwoli pięknej twarzy, której urok był jednak krótkotrwały«. Czy on sam wie, że może niekiedy życie młodego Herberta? Czy obce, trujące zarodki przechodziły z ciała do ciała, aż wpelżyły w jego organizm? Czy gnało go może jakieś niejasne odczucie owego przedwcześnie utraconego wdzięku, kiedy tak nagle, stanowczo i bez powodu, wyraził był wówczas w pracowni Bazylego Hallwarda to szalone życzenie, co tak zmieniło jego życie? Opodał widnieje portret Sir Antonia Sherarda, w czerwonym, złotem wyszywanym kaftanie, klejnotami zdobnej szacie wierzchniej, w kołnierzu ze złotą frendzlą i takich samych mankietach, z ciężką, srebrzystą zbroją u stóp. Jaką on mu pozostawił spuściznę? A po kochanku Giovanny di Napoli, czy również otrzymał w spadku grzech i hańbę? Czy własne jego czyny nie były niczem innem jak tylko marzeniami, których zmarli nie śmieli urzeczywistnić? Tam, z płowiejącego płótna uśmiecha się lady Margaret Devereux, w swym gazowym czepku, w gorsecie naszytym perłami, i różowych, krótkich rękawach. W prawej ręce trzyma kwiat, a lewą

obejmuje emaljowany naszyjnik z białych i damasceńskich róż. Obok niej, na stole leży mandolina i jabłko. Duże zielone rozety zdobią jej małe, spiczaste trzewiki. Znał jej życie i rozmaite opowiadania o jej kochankach. Czy odziedziczył także część jej temperamentu? Te owalne oczy o ciężkich powiekach zdawały mu się przyglądać z cięskawością. A George Willoughby, z pudrowanym włosom i fantastycznymi muszkami na twarzy? Jaka złość bije od niego! Twarz ma posępną i chmurną, a zmysłowe usta zdają się drgać pogardą. Cieniuchne mankiety koronkowe opadają na chude żółte ręce, przeładowane pierścieniami. Był on makaronistą osiemnastego wieku, w młodości swej zaprzyjaźniony z lordem Ferrarsem. A drugi lord Beckenham, towarzysz księcia-regenta z najdżikszej jego epoki i jeden z świadków tajemnych zaślubin z Mrs. Fitzherbert! Jakże musiał być piękny i dumny ze swym bujnym ciemnym włosom i tą wyzywającą postawą! Jakie namiętności on mu przekazał? U współczesnych miał opinię najgorszą. On to był w Carltonhouse przywódcą orgij. Gwiazda orderu Podwiązki błyszczała mu na piersi. Obok niego wisiał portret żony, bladej damy o cienkich wargach, ubranej na czarno. Także jej krew krążyła w jego żyłach. Jakie to wszystko dziwne! A jego matka z twarzą lady Hamilton i wilgotnemi, winem odświeżonemi ustami! Wiedział, co odziedziczył po niej: swą piękność i miłość dla piękności innych.

Śmiała się do niego w swym swobodnym stroju bachantki. Na głowie miała wieniec z winnej lato=rośli. Karnacja ciała wypełzła już na obrazie, ale oczy ciągle jeszcze świeciły głębią i intensywnością koloru. Zdawały się biec za nim, gdzie się tylko ruszył.

On jednak miał swych przodków zarówno w literaturze jak we własnym rodzie. Może mu nawet byli bliżsi typem i temperamentem, przynajmniej niektórzy, a bezwątpienia wywierali na niego wpływ, który sobie wyraźniej uświadamiał. Były czasy, kiedy mu się zdawało, że cała historia ludzkości jest tylko opowiadaniem własnego jego życia, nie tego, jakim żył w rzeczywistości, lecz tego, które sobie stwarzał wyobraźnią i które istniało w jego mózgu i namietnościach. Czuł, że zna wszystkie te dziwne, straszne postacie, co przesunęły się po scenie świata i uczyniły grzech tak strasznym, a zło tak pociągającym i subtelnym. Niekiedy zdawało mu się, jakoby tajemniczym jakimś sposobem ich życie było jego życiem.

Bohater tej cudnej książki, co taki wpływ zyskała nad jego życiem, znał był również to uczucie. Wszak w siódmym rozdziale opowiada, jak uwieńczony wawrzynem, by piorun weń nie uderzył, siedział jako Tyberjusz w ogrodzie na Capri, czytając ohydną książkę Elephantisa, podczas gdy karły i pawie dumnie koło niego kroczyły, a flecista szydził z niewolnika, palącego kadzidła, jako

Kaligula upijał się w stajni z parobkami w zielonych kaftanach i pospołu z koniem przystrojonym w klejnoty, jadł ze żłobu z kości słoniowej, jako Domicjan przechadzał się po długiej komnacie z lśniących marmurów, szklanym wzrokiem szukając miecza, co miał skrócić dni jego żywota — on chorujący na owe »ennui«, owe »taedium vitae«, opanowujące ludzi, którym życie niczego nie odmówiło. I przez przezroczysty szmaragd patrzył na arenę cyrkową i leżał na marach z purpury i pereł, ciągniony przez muły w srebrnej uprzęży, i przez ulicę ocienioną drzewami granatu jechał do złoto tego domu i słyszał jak ludzie na widok jego wołali: Juliusz Cezar! Juliusz Cezar! I jako Elagabal farbami pomalował sobie twarz i wrzeczono kręcił w gronie niewiast, i z Kartaginy sprowadził księżyc i mistycznym ślubem połączył go ze słońcem.

Po niezliczone razy Dorjan odczytywał ten fantastyczny rozdział i dwa następne, w których niby na rzadkich kobiercach lub subtelnie wykonanych emaljach, odmalowane były straszne i piękne postacie tych, których krew i występki i znużenie uczyniły potworami lub szaleńcami. Więc: Filippo, książę Medjolanu, co zamordował swą żonę, a usta jej pomalował szkarłatną trucizną, by kochanek jej śmierć z nich wyssał wraz z pocałunkiem, weneccjanin Pietro Barbi, znany jako Paweł II-gi, który, próżnością wiedziony, przybrał tytuł: Formosus, a tjarę swą, wartości dwukroć stu tysięcy guldenów,

nabył za cenę straszego grzechu, Gian Maria Visconti, który psami polował na ludzi, a którego zwłoki kochająca go ładacznicą okryła różami, Borgia na swym białym rumaku, a obok niego Fratricida, w płaszczu ociekającym krwią Perotta, Pietro Raro, młody kardynał=arcybiskup Florencji syn i ulubieniec Sykstusa IV-go, o piękności tak nadzwyczajnej, że równało się jej tylko jego wyuzdanie, on to przyjmował Leonorę Aragońską w namiocie z biało-czerwonego jedwabiu, pełnego nimf i centaurów, a usługującego przy uczcie chłopca kazał ożłocić, aby wyglądał jak Ganymed lub Hylas. Dalej Ezzelino, leczący swą melancholję jedynie widokiem śmierci i łaknący czerwonej krwi jak inni czerwonego wina—syn szatana, jak mówiono, który przy grze w kości wyłudził duszę od własnego ojca, Giambattista Cibo, co przez szyderstwo przyjął imię Innocentego, a w którego zeszcze żyły lekarz żydowski wprowadził krew trzech chłopców, Sigismondo Malatesta, kochanek Izotty, księżę z Rimini, którego obraz spalono w Rzymie jako wroga ludzi i Boga, on to obrusem zadusił Polixenę, w szmaragdowym puharze podał truciznę Ginevrze d'Este, a na cześć haniebnej namiętności wystawił pogańską świątynię, by w niej odprawiać chrześcijańskie nabożeństwa, Karol VI, tak szalenie kochający żonę swego brata, że pewien trędowaty ostrzegał go przed oblędem, któremu istotnie uległ, a kiedy umysł jego chory był i nieprzytomny,

jedynym środkiem kojącym były karty saraceńskie z wizerunkami miłości, śmierci i szalu; Grifonetto Baglioni, w koronkami garniowanej kurtce i czapce wyszytej klejnotami, morderca Astorre'a i jego narzeczonej i Simonetta z paziem; tak czarująco piękny, że kiedy konał w żółtym dworze perugjańskim, wszyscy co go śmiertelnie nienawidzili, musieli płakać, a Abalanta, która go wprzód była przekleła, odmawiała nad nim błogosławieństwa.

Wszyscy oni posiadali czar straszny. Widział ich przed sobą w nocy, a we dnie zakłócali mu wyobraźnię. Renesans znał przedziwne sposoby trucia; hełmem lub płonąca pochodnią, haftowaną rekawiczką, lub klejnotami wysadzonym wachlarzem, złotym grzebieniem lub łańcuchem z bursztynów. Dorjan Gray został zatruty książką. Były chwile, kiedy złoto uważał tylko za środek do urzeczywistnienia swych wyobrażeń o pięknie.

XII.

Było to 9-go listopada w trzydziestą ósmą wigilję jego urodzin, jak sobie nieraz później przypominał.

Okolo jedenastej w nocy wracał od lorda Henryka, u którego jadł obiad. Otulony był w ciężkie futro, gdyż noc zimna była i mglista. Na wylocie Grossvenor-Square i South-Andley-Street minął

go jakiś mężczyzna w szarym paltocie z wysoko nastawionym kołnierzem, szybkim krokiem przędzierający się przez mgły. W ręku niósł torbę podróżną. Dorjan go poznał. Przechodniem był Bazyli Hallward. Dorjana zdjęło dziwne uczucie trwogi, której sobie nie mógł wytłumaczyć. Udał, że go nie poznaje i szybko zmierzał ku domowi.

Ale Hallward już go dostrzegł. Dorjan usłyszał, jak przystanął, a potem zaczął biec za nim. Po chwili dłoń jakaś spoczęła na jego ramieniu.

— Dorjanie! Co za szczęście! Czekałem na ciebie w twojej bibliotece od godziny dziewiątej. Wreszcie żał mi się zrobiło twego służącego i wychodząc, powiedziałem mu, by się położył. O północy wyjeżdżam do Paryża, a bardzo mi zależało, aby cię zobaczyć przed wyjazdem. Domyśliłem się, że ty to jesteś. Po futrze cię poznałem. A ty mnie nie poznałeś?

— Ależ, mój drogi, w tej mgle? Ja zaledwie poznaję Grossvenor-Square. Sądzę, że gdzieś tu w pobliżu musi być mój dom, ale pewny tego nie jestem. Przykro mi, że odjeżdżasz. Strasznie dawno cię nie widziałem. Ale wszak wrócisz niezadługo?

— Nie, pozostanę tam przez pół roku. Zamierzam wynająć sobie pracownię w Paryżu i zamknąć się w niej, dopóki nie wykończę dużego obrazu, który mi się snuje przed oczami. Ale nie o sobie chciałem mówić. Oto jesteśmy przed twem

mieszkaniem. Pozwól mi wejść na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć.

— Bardzo mi przyjemnie, ale czy się nie spóźnisz do pociągu — odparł Dorjan Gray znudzony, wchodząc powoli na schody i kluczem otwierając drzwi. Światło lampy z trudem przedzierało się przez mgłę. Hallward wyjął z kieszeni zegarek.

— Mam aż nadto dosyć czasu — uspokoił. — Pociąg odchodzi dopiero o kwadrans na pierwszą, a teraz co do minuty jedenasta. Szedłem właśnie do klubu, gdzie miałem nadzieję cię zastać. Widzisz, że nie potrzebuję się troszczyć o pakunki, bo cięższe rzeczy wpierw już wysłałem. Mam tylko tę torebkę i doskonale zdążę na dworzec w ciągu dwudziestu minut.

Dorjan spojrzał nań i uśmiechnął się.

— Tak jeździ elegancki malarz! Ręczna torebka i palto! Chodź prędko, inaczej mgła wtargnie za nami do domu. I nie mów o niczem poważnem. Niema dziś nic poważnego, a przynajmniej nie powinniśmy istnieć nie takiego.

Hallward, potrząsając głową szedł za nim do biblioteki. Na kominku płonął jasny ogień. Lampa się paliła, a na stolicku stała srebrna taca hollenderska z kilku syfonami sodowej wody i dużymi szklankami z szkła szlifowanego.

— Widzisz, Dorjanie, jak mnie podejmował twój służący. Zaopatrzył mnie we wszystko, czego potrzebowałem, nawet w twoje najlepsze papierosy

ze złotemi przepaskami. Gościnny chłopiec. Sympatyczniejszy mi jest od tego francuza, którego miałeś dawniej. Co się właściwie z nim stało?

Dorjan wzruszył ramionami. — Zdaje mi się, że się ożenił z garderobianą lady Radley i urządził jej w Paryżu pracownię sukien angielskich. Anglomanja jest tam podobno w modzie. Dzieciństwo ze strony francuzów, nieprawdaż? Ale wiesz, to był wcale niezły służący. Nie lubiłem go nigdy, ale nigdy też nie miałem powodu do niezadowolenia. Nieraz sobie wmawiamy rzeczy całkiem niedorzeczne. A on był istotnie przywiązany i zdawał się prawdziwie strapionym, gdy odchodził. Pozwolisz jeszcze trochę brandy albo sodewej wody? A może lepiej czerwonego wina z wodą selterską? Ja zawsze piję czerwone z selterską wodą. Musi zapewne stać w drugim pokoju.

— Dziękuję, ale nie już nie mogę pić — rzekł malarz, rzucając płaszcz i czapkę na torbę, którą ustawił w kącie. — A teraz, mój drogi chłopcze, muszę się z tobą rozmówić poważnie. Nie rób zaraz takiej kwaśnej miny. Utrudniasz mi tylko zadanie.

— Poco to wszystko? znudzonym tonem zawołał Dorjan, rzucając się na sofę. — Mam nadzieję, że nie chodzi tu o mnie. Jestem dziś znudzony swoją osobą. Chciałbym być kimś innym.

— Chodzi o ciebie — poważnym, głębokim gło-

sem odparł Hallward. — I muszę ci to powiedzieć. Zabiorę ci tylko pół godziny.

Dorjan westchnął i zapalił papierosa.

— Pół godziny! — mruknął.

— Niewiele od ciebie żądam Dorjanie, a chodzi tu tylko o ciebie. Uważam za konieczne, abys się wreszcie dowiedział, że krążą o tobie najstraszniejsze historie.

— Nie chcę o nich wiedzieć. Lubię plotki o innych, ale plotki o mnie samym wcale mnie nie interesują. Brak im uroku nowości.

— Muszą cię interesować, Dorjanie. Każdy dżentleman powinien się troszczyć o swą dobrą sławę. Nie wolno ci znosić, by mówiono o tobie jako o człowieku niskim i podłym. Naturalnie, że masz pozycję i majątek i inne przywileje. Ale to jeszcze nie wystarcza. Nie zapominaj, że ja wszystkim tym plotkom nie daję wiary, a przynajmniej nie wtedy, gdy patrzę na ciebie. Grzech jest czemś, co wyciska na twarzy człowieka piętno niezatarte. Ukryć go niepodobna. Mówi się wprawdzie o grzechach tajemnych, ale te nie istnieją. Grzech musi się z konieczności wyrażać w linji ust, w ruchu powiek, nawet w kształcie rąk. Zeszłego roku przyszedł do mnie człowiek, znany ci zresztą, i chciał, bym go portretował. Nigdy go nie widziałem, ani nie słyszałem o nim; jakkolwiek później aż nazbyt wiele o nim słyszałem. Ofiarował mi bardzo znaczne honorarium. Mimo to — odmówiłem. W linjach

jego palców było coś, czego nienawidziłem. Teraz dopiero wiem, że miałem słusność. Życie jego jest wprost straszne. Ale ty, Dorjanie, z twą czystą, jaśniejącą twarzą i cudnym, niezmaconym urokiem młodości — o tobie nie mogę pomyśleć nic złego. Tylko że widuję cię tak rzadko... przestałeś bywać w mej pracowni... a gdy cię nie widzę przez dłuższy czas i słyszę tylko, co ludzie o tobie szepczą, to istotnie nie wiem, co na to odpowiedzieć. Powiedz mi, Dorjanie, dlaczego naprzykład księżę Berwick ostentacyjnie opuszcza salę klubową, gdy ty wchodzisz? Dlaczego niejeden dżentleman w Londynie nie chce obcować z tobą? Wszak z lordem Staveley'em byłeś nawet zaprzyjaźniony. Otóż zeszłego tygodnia zetknąłem się z nim na proszonym obiedzie. Przypadkowo wymieniono twe nazwisko, a propoz minjaturowych obrazków, które wypożyczyłeś na wystawę Dudley'owską. Staveley pogardliwie wydał usta i oświadczył, że co do smaku artystycznego to nie można ci nic zarzucić, jesteś jednak człowiekiem, którego żadna niewinna dziewczyna, ani uczciwa kobieta w towarzystwie swem tolerować nie może. Przypomniałem mu, że jestem twym przyjacielem i zażądałem wyjaśnienia. Udzielił mi go i to w obecności wszystkich. Dla mnie było to czemś strasznem. Powiedz, dlaczego twoja przyjaźń staje się tak fatalną dla młodzieży? Ot, ten nieszczęsny chłopiec z gwardji honorowej, co skończył samobójstwem. Byłeś jego serdecznym

przyjacielem. Albo sir Henry Ashton, co musiał opuścić Anglję zbezczeszczonej? Byliście nieodłącznymi towarzyszami. A Adrjan Singleton i jego okropny koniec? A jedyny syn lorda Kenta ze swą złamaną karierą? Przedwczoraj spotkałem jego ojca. Ugiął się pod brzemieniem wstydu i hańby. A młody książę Perth? Jakie on życie prowadził? Żaden z dżentlemanów nie podałby mu ręki.

— Bazyli, dość! Mówisz o rzeczach, o których nie masz pojęcia — rzekł Dorjan Gray, tonem najwyższej pogardy. — Pytasz, dlaczego Berwick wychodzi z pokoju, gdy ja wchodzę? Dlatego, że znam każdą strunę jego życia, a nie dlatego, że on wie cokolwiek o mnie. Z tą krwią, jaka płynie w jego żyłach, czyż życie jego mogłoby być czyste? Mnie pytasz o Henryka Ashtona i młodego Perth? Czyż ja nauczyłem ich rozpusty i występków? A jeśli idjotyczny syn Kenta bierze sobie za żonę kobietę z ulicy, czyż ja za to odpowiadam? Albo mam może być stróżem Adrijana Singleтона, by na wękslach swych nie fałszował podpisów? Wiem dobrze, jak się w Anglii roznosi plotki. Mieszczanstwo uprzyjemnia sobie obfite obiady, dając wyraz swemu oburzeniu moralnemu, które się przejawia potępieniem tego, co nazywają nikczemnością arystokracji. A przede wszystkim chodzi im o to, by wmówić w drugich, że istotnie bywają w kołach najwyższych i poufałą się z tymi, których oczerniają. W naszym kraju najzupełniej wystarcza być

wybitną jednostką, by stać się przedmiotem wszystkich plotkarzy i nikczemnych kreatur. A jakież to życie wiodą ci, co odgrywają rolę stróżów moralności? Mój drogi, zapominasz, że żyjemy w ojczyźnie obłudników.

— Dorjanie! — przerwał Hallward — nie o to się rozchodzi. Wiem dobrze, że Anglja jest marna, a społeczeństwo jej jeszcze marniejsze. Ale właśnie dlatego pragnę, byś ty był czystym. A nie byłeś nim. Ludzie mają prawo sądzić człowieka podług wpływu, jaki wywiera na swych przyjaciół. Twoi przyjaciele tracą zmysł honoru, dobroci i czystości. Wszczepiłeś w nich szaloną żądzę używania. I upadli na samo dno otchłani. Tak, ty ich wtrąciłeś i mimo to możesz się jeszcze tak uśmiechać, jak się uśmiechasz w tej chwili. I wiem jeszcze coś gorszego. Wszak jesteś najserdeczniejszym przyjacielem Harry'ego. Już dlatego nie powinieneś być nazwiska jego pięknej siostry okrywać hańbą...

— Bazyli, licz się ze słowami!

— Muszę mówić, a ty musisz mnie słuchać. Musisz! Zanim poznałeś lady Gwendolenę, nikt nie śmiał odezwać się o niej w sposób ubliżający. A teraz... Czy jedna bodaj przyzwoita kobieta zachciałaby pokazać się w parku w jej towarzystwie? Nawet do własnych dzieci nie wolno jej się zbliżać. Ale jeszcze inne krążą o tobie historie. O świcie widywano cię, jak chyłkiem wykradałeś się z domów podejrzanych, a w nocy odwiedzałeś w prze-

braniu najohydniejsze spelunki londyńskie. Czy to prawda? Czy to może być prawdą? Gdy pierwszy raz o tem słyszałem, musiałem się śmiać. I teraz często o tem słyszę i dreszcz mnie przebiega. A twoja rezydencja wiejska i życie, jakie tam prowadzisz? Dorjanie, ty nie wiesz, co o tobie mówią! Nie powiem, że nie mam zamiaru prawienia ci morałów. Przeciwnie, mam ten zamiar. Chcę, byś prowadził życie takie, by ci zjednało szacunek ogólny. Chcę, by nazwisko twe było czyste i nieskalane. Musisz zerwać stosunki z tą całą bandą nikczemną. Nie wzruszaj tak pogardliwie ramionami. Nie udawaj obojętnego! Wiem, że masz wpływ ogromny. Używaj go ku dobremu, nie ku złemu. Powiadają, że zniesławiasz każdego, z kim tylko obcujesz i wystarcza byś wszedł do czyjegós domu, a okryjesz go hańbą. Nie wiem, czy to jest prawdą, czy nie. Opowiadano mi historie, o których prawdziwości wątpić niepodobna. Lord Gloucester był jednym z najlepszych mych przyjaciół oxfordzkich. Pokazał mi list swej żony, który pisała przed śmiercią, samotna, opuszczona. Wy-
czytałem tam twe imię w wyznaniu najstraszniejszem, jakie sobie można wyobrazić. Powiedziałem, że to idjotyzm..... że znam cię doskonale i wiem, że bylibyś niezdolny do czegoś podobnego. A czy ja cię znam? Pragnę wiedzieć, czy cię znam istotnie.
Chciałbym widzieć twą duszę.

— Widzieć moją duszę! — wyjąkał Dorjan Gray, zrywając się, błądy ze strachu.

— Tak — odparł Hallward poważnie, z głuchym żalem w głosie — chciałbym widzieć twą duszę. Ale to może tylko Bóg.

Gorzki śmiech szyderstwa wydarł się ze ściśniętej krtani Dorjana.

— Zobaczysz ją... Jeszcze dzisiaj! krzyknął, chwytając lampę ze stołu. — Chodź, zobacz! Wszak ona dziełem twych rąk.... Czemuż nie miałbyś jej widzieć? Możesz potem opowiadać światu, co tylko zechcesz. Nikt ci nie uwierzy. A gdyby uwierzono, tem więcej by mnie kochano. Znam nasze społeczeństwo lepiej niż ty, pomimo że o niem rozprawiasz tak nudnie. Chodź, a udzielę ci lekcji. Dość już mówiłeś o podłości i nikczemności, teraz spojrzysz jej w oczy, twarzą w twarz!

W każdym jego słowie dźwięczała duma bezgraniczna. Tupał nogami z chłopięcą swą zuchwałością. Uczuwał radość płomienną na myśl, że tajemnicą swą podzieli się z drugim człowiekiem, z tym właśnie, co wymalował obraz, przyczynę jego hańby, a teraz przez całe dalsze życie zmuszony będzie nosić z sobą straszną pamięć tego, co uczynił.

— Tak — mówił dalej, przystępując doń i patrząc mu bystro w oczy — zobaczysz moją duszę. Zobaczysz, jak powiadasz, co Bóg tylko widzieć może.

Hallward cofnął się.

— Dorjanie, ty bluźnisz! — zawołał. — Nie mów czegoś podobnego. To brzmi okropnie, a nie może mieć żadnego znaczenia.

— Sądzisz? — Zaśmiał się ponownie, ostro, szydersko.

— Wiem o tem. To, co ci wpierw mówiłem, mówiłem tylko dla twego dobra. Wszak wiesz, że zawsze byłem ci wiernym przyjacielem.

— Nie dotykaj mnie. Kończ!

Błysk bólu przemknął po twarzy malarza, który nagle uczuł dziką litość nad Dorjanem. Jakież właściwie miał prawo wdzierać się w jego życie? Gdyby popełnił był bodaj dziesiątą część tego, co mu przypisywano, jakże strasznie musiał cierpieć! Wyprostował się, poszedł do kominka i patrzył w drwa, palące się wężykowatym płomieniem, gdzieś tam okryte popiołem, który z pewnej odległości wyglądał jak szron.

— Czekam, Bazyli — ozwał się Dorjan Gray, głosem twardym, stanowczym. Malarz się odwrócił.

— Niewiele ci już mam do powiedzenia! odparł — Musisz mi dać odpowiedź na te straszne oskarżenia. Jeśli mi powiesz, że wszystko od początku do końca jest kłamstwem — uwierzę! Dorjanie, powiedz to! Powiedz, że wszystko to jest kłamstwem! Czyż nie widzisz, co się ze mną dzieje? Na Boga, tylko nie opowiadaj, że jesteś złym i podłym i nikczemnym!

Dorjan Gray się uśmiechnął. Na ustach jego widać było wzgarda.

— Chodź ze mną, Bazyli — rzekł spokojnie. — Prowadzę dokładny dziennik mego życia, ale nigdy go nie zabieram z pokoju, w którym go spisuję. Pokażę ci go, jeśli ze mną pójdziesz.

— Pójdę Dorjanie, jeśli sobie tego życzysz. Widzę, że do pociągu się już spóźniłem. Ale to nie szkodzi. Nie żądam tylko, bym dziś jeszcze czytał. Wszystko, czego od ciebie żądam, to szczerą odpowiedź na me pytanie.

— Właśnie ci ją chcę dać! Tu tego uczynić nie mogę. Chodź ze mną na górę. Czytanie nie zajmie ci dużo czasu.

XIII.

Wyszedł z pokoju i zaczął wchodzić na piętro. Bazyli Hallward szedł tuż za nim. Szli cicho, jak to instynktownie zwykło się czynić w nocy. Lampa rzucała fantastyczne cienie na ściany klatki schodowej. Na dworze zerwał się wiatr, dzwoniąc szybami.

Gdy stanęli w najwyższym kurytarzu, Dorjan postawił lampę na podłodze, wyjął klucz i przekręcił go w zamku.

— Bazyli, czy obstajesz przy tem, bym ci dał odpowiedź? — spytał cicho.

— Tak.

— To mnie cieszy — odparł z uśmiechem. Po chwili z pewnem rozdrażnieniem dodał: — Ty jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który ma prawo wiedzieć o mnie wszystko. Więcej bo wpłynąłeś na moje życie, niż przypuszczasz.

Wionął na nich zimny prąd powietrza, lampa na chwilę zamigotała żółtym, ponurym płomieniem. Dreszcz przebiegł Dorjana.

— Zamknij drzwi za sobą — szepnął, stawiając lampę na stole.

Hallward rozglądał się dokoła, zdumiony i zmieszany. Pokój, w którym się znajdowali, nosił ślady długoletniego opuszczenia. Wyblakły dywan flamandzki na jednej ze ścian, obraz zasłonięty, stary włoski cassone i próżna niemal szafa na książki, stanowiły obok stołu i jedynego krzesła, całe urządzenie. Dorjan Gray zapaliwszy przy kominku świecę do połowy wypaloną, zobaczył, że wszystko okryte było grubą warstwą kurzu, a w dywanie świeciły dziury. Za tapetą ścienną tłukła się mysz. W pokoju panowała atmosfera wilgotna i zatechła.

— Sądysz zatem, Bazyli, że tylko Bóg może widzieć duszę? Odsuń tę zasłonę, a ty zobaczysz moją duszę. Głos jego brzmiał twardo, lodowato.

— Dorjanie, mówisz w obłędzie lub grasz komedję — szepnął Hallward, marszcząc czoło.

— Nie chcesz? — Więc sam to uczynię! — zawołał Dorjan, zrywając równocześnie zasłonę z obrazu.

Okrzyk przerażenia wyrwał się z piersi malarza, gdy w niepewnym świetle ujrzał na płótnie strasznie wykrzywione oblicze ludzkie. W wyrazie portretu było coś w najwyższym stopniu wstrętnego i ohydneho. Przez Boga! Toż to twarz Dorjana Gray'a. Ten straszny jad, czemkolwiek on był, nie zdołał jeszcze zniszczyć doszczętnie jego cudnej piękności. Nieco złota świeciło jeszcze na resztkach włosów i trochę purpury upiększało zmysłowe wargi. Wypełzłe oczy wykazywały jeszcze ślad dawnego przeczystego błękitu, a szlachetne linje nosa i szyi nie zatraciły dotąd całej plastyki. Tak, to był Dorjan. Ale kto go tak wymalował? Wydało mu się, że poznaje pociągnięcia swego własnego pędzla, a ramę obrazu to już stanowczo on sam malował. Strach uwierzyć w coś podobnego, a jednak czuł, jak go coraz większa ogarnia trwoga. Chwycił świecę zapaloną i stanął tuż przed obrazem. Po lewej stronie u dołu widniało jego nazwisko, nakreślone podługźnemi literami.

Podła parodja, marna, nikczemna satyra. On tego nie malował. A jednak to jego obraz. Zna przecież każdą linję, każde pociągnięcie pędzla..... Miał uczucie, jak gdyby krew jego w jednej chwili w lód skrzepła. Jego obraz! Co to ma znaczyć? Czemu zmieniony? Odwrócił się i wzrokiem człowieka złamanego spojrzał na Dorjana. Usta mu drżały, ale zaschły język nie zdołał się poruszyć. Ręką przesunął po czole. Mokre było od kroplistego potu.

Młody człowiek, wsparty o gzyms kominka, obserwował go z tą dziwną uwagą, z jaką zwykle się obserwować grę wielkiego aktora. Twarz jego nie wyrażała ani prawdziwego cierpienia, ani prawdziwej radości. Jedynie wyteżoną uwagę obserwatora — z lekką przymieszką triumfu w oczach. Wyjął kwiat z butonierki i wchłaniał jego woń.

— Co to ma znaczyć? — wyksztusił wreszcie Hallward. Głos jego brzmiał tak ostro, że jemu samemu wydał się obcym.

— Przed laty, kiedy byłem młodym chłopcem — mówił Dorjan Gray, krusząc kwiat, którym się bawił — spotkałem ciebie, a ty mi wówczas pochlebiałeś i nauczyłeś być próżnym z powodu mej piękności. Pewnego dnia przedstawiłeś mi jednego ze swych znajomych, a ten mnie wtajemniczył w misterje młodości. Właśnie wtedy wykończyłeś mój portret, który był dla mnie objawieniem piękności. W chwili szału, którego dziś jeszcze ani nie żałuję, ani nie błogosławię, wyraziłem życzenie, ty nazwałbyś je może modlitwą....

— O, przypominam sobie! Jakże dokładnie sobie przypominam! Ale nie! To niepodobieństwo! Pokój musi być wilgotny. Pleśń zniszczyła płótno! Te farby, których używałem, mają w sobie jakieś przekłete trucizny chemiczne! To niemożliwe, powiadam ci!

— Co niemożliwe? — mamrotał Dorjan. Podszedł

ku oknu i przycisnął czoło do zimnej, od mgły
zwilgotniałej szyby.

— Powiedziałeś, że ty sam zniszczyłeś obraz...

— To nie prawda! — On zniszczył mnie!

— Nie wierzę, aby to był portret robiony prze-
zemnie.

— Nie możesz poznać swego ideału? — gorzko
rzekł Dorjan.

— Mój ideał, jak go nazywasz...

— Jak ty go nazywałeś!

— Tak! Ale wówczas nie było w nim nic złego,
nic nikczemnego. Byłeś mi ideałem, jakiego nie
spotkam już nigdy. Ale to jest twarz satyra.

— To jest oblicze mojej duszy!

— Boże! i cóż ja ubóstwiałem! Z tego obrazu
patrzę oczy szatana!

— Bazyli, my wszyscy nosimy w sobie niebo
i piekło! krzyknął Dorjan z dzikim gestem rozpacz-
ny. h/

Hallward znów się zwrócił do portretu i wle-
pił w niego oczy.

— Boże wielki, to prawda! — mrucał.

— I to ty zrobiłeś ze swego życia! O, musisz
być znacznie gorszy, niż przypuszczać mogą naj-
gorsi twoi wrogowie!

Podniósł świecę i bardzo uważnie począł się
przyglądać portretowi. Płótno wydawało się zu-
pełnie nieuszkodzone. Ta okropna zgnilizna mu-
siała więc pochodzić z wewnątrz. Przez dziwne
przyspieszenie życia wewnętrznego, jad grzechu

stopniowo trawił obraz. Rozkład trupa w wilgotnym grobie nie mógł być równie straszny.

Ręka malarza drżała tak gwałtownie, że świeca z lichtarza wypadła na ziemię, migocąc niepewnym blaskiem. Zdeptał ją. Następnie padł na trzeszczące krzesło koło stołu i w dłoniach ukrył zmienioną twarz.

— Boże wielki, jakaż to nauka, jaka straszna nauka! Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, tylko łkanie Dorjana, który ciągle jeszcze stał przy oknie.

— Dorjanie, módl się, módl się — szepnął. — Jak nas to uczono w młodości?... »Nie wódź nas na pokuszenie, odpuść nam nasze winy. Zmyj grzechy nasze«. Módlmy się razem. Modlitwa dyktowana przez twą dumę została wysłuchana. Modlitwa twej skruchy również będzie wysłuchaną. Zbyt cię ubóstwiałem. Jestem teraz ukarany. I ty się zbyt ubóstwiałeś. Jesteśmy obaj ukarani.

Dorjan Gray odwrócił się powoli i spojrzał nań oczami pociemniałymi od łez.

— Zapóźno, Bazyli — wykrztusił.

— Dorjanie, nigdy nie jest zapóźno. Uklęknijmy i próbujmy sobie przypomnieć jakąś modlitwę. Wszak Pismo mówi: »A choćby grzechy twe były jak szkarłat, ja je obmyję, że nad śnieg bielsze będą.«

— Słowa te nie mają już dla mnie żadnego znaczenia.

— Cicho, nie mów w ten sposób. Dość złego popełniłeś już w życiu. Boże wielki! Czyż nie widzisz, jak te oczy urągliwie na nas patrzą?

Dorjan spojrzał na obraz i nagle uczuł niepomowaną nienawiść do Bazylego, jak gdyby ten portret na płótnie podszeptował mu ją swemi wykrzywionemi ustami. Opanowała go szalona wściekłość ściganego zwierzęcia i wstręt do tego, który wciąż nieruchomy siedział przy stole — wstręt tak silny, jakiego nie uczuwał nigdy w życiu. Dzikiem spojrzeniem rozejrzał się dokoła. Na pomalowanej skrzyni coś błysnęło, przyciągając jego wzrok. Wiedział, co to jest. Przed paru dniami przyniósł był nóż, by nim odciąć sznur, i w tej chwili właśnie ostrze jego błysnęło mu przed oczyma. Powoli podszedł ku skrzyni, tuż obok Hallwarda. Stojąc za nim, chwycił nóż i odwrócił się. Malarz poruszył się na krześle, jak gdyby chciał wstać. W tej chwili rzucił się na niego, wbił nóż w tętnicę za uchem i, przyciskając głowę do stołu, raz po raz na oślep uderzał nożem.

Usłyszał zdławiony krzyk i straszny szmer krwi, zalewającej krtań duszącego się człowieka. Trzykrotnie wyciągnięte ramiona konwulsyjnie zachybotały się w powietrzu, wymachując dziwacznie zeszytwniałemi rękami. Dwa razy jeszcze ugodził weń nożem, ale żadnego już nie wywołał oporu. Zaczęło coś ściekać na podłogę. Czekał jeszcze chwilę, cisnąc wciąż głowę do stołu. Poczem odrzucił nóż i nadsłuchiwał.

Nic nie słyszał, prócz ściekania krwi na wyarty dywan. Otworzył drzwi i wyszedł na kury-

tarz. W całym domu panowała cisza niezakłócona. Wszyscy spali. Przez parę sekund stał jeszcze na schodach i przechylony przez balustradę patrzył w ciemny kurytarz. Następnie wyjął klucz, wszedł napowrót do pokoju i zamknął się wewnątrz.

Na krześle przy stole wciąż jeszcze siedział mężczyzna, z głową pochyloną nisko nad stołem o zgiętych w pałąk plecach i długich, fantastycznych ramionach. Możliwe było sądzić, że śpi, gdyby nie czerwona, zygzakowata blizna na karku i ciemna, skrzepła kałuża krwi, powoli rozlewająca się coraz dalej.

Jak szybko się to wszystko stało! Czuł się dziwnie spokojnym. Podeszedł ku oknu, otworzył je i wyszedł na balkon. Wiatr rozpędził mgły, a niebo wyglądało niby olbrzymie pawie pióro, ugwieżdżone tysiącami złotych oczu. Wyjrzał na ulicę i zobaczył policjanta, jak powoli obchodził ulicę, rzucając podłużne promienie swej latarni na ciche, w śnie pogrążone domy. Na wylocie ulicy błysnęło czerwone światło powozu i zniknęło. Kobieta w powiewającym szalu powoli wlokła się wzdłuż zamkniętych bram. Od czasu do czasu przystawała i oglądała się. Raz zaczęła śpiewać schrypłym, niemiłym głosem. Policjant zbliżył się i coś jej powiedział. Zaśmiała się i poszła dalej. Ostry wiatr zawiął od parku. Lampy gazowe zamigotały błękitnie, a drzewa obnażone z liści, wstrząsnęły ciężkimi, czarnymi konarami. Dreszcz

go przebiegł. Cofnął się do pokoju i zamknął okno.

Doszedłszy do drzwi, przekręcił klucz w zamku i otworzył. Czuł, że o to tylko chodzi, by sobie nie uświadomić sytuacji. Przyjaciół, który wymawiał fatalny obraz, przestał żyć. Nic więcej.

Przyszła mu na myśl lampa. Było to istne cacko roboty maurytańskiej, z matowego srebra, wykładdane w płomienne arabeski z dużych turkusów. Służący mógłby dostrzec jej brak. Zawahał się na chwilę, poczem wrócił do drzwi i wziął lampę ze stołu. Nie mógł się powstrzymać od spojrzenia na martwą postać. Jakże spokojnie siedziała! Jak okropnie białe były długie ręce! Niby duża, straszna figura z wosku.

Zamknawszy za sobą drzwi, począł cicho schodzić ze schodów. Trzaskały i zdawały się krzyzczeć z bólu. Kilkakrotnie się zatrzymywał, nadłuchując. Nie! W okół panowała cisza niezamąconą. To tylko odgłos własnych jego kroków.

Gdy wszedł do biblioteki, zobaczył torbę podróżną i płaszcz. Musiał to gdzieś ukryć. Otworzył tajemne drzwiczki za tapetą ścienną, gdzie ukrywał rozmaite swe kostjумы, w które się zwykł przebierać i tam włożył rzeczy Hallwarda. Łatwo będzie je spalić. Wyjął zegarek. Dwadzieścia minut brakowało do drugiej.

Usiadł i począł rozmyślać. Co rok, co miesiąc niemal wieszano w Anglii ludzi za to, co on popełnił. Szał morderczy wisiał w powietrzu. Jakaś

gwiazda czerwona zbyt się zbliżyła do ziemi.....
 A jednak, czy istniało przeciw niemu jakiekolwiek
 podejrzenie? Bazyli Hallward wyszedł z domu o
 jedenastej. Nikt nie wiedział, że znów wrócił w jego
 towarzystwie. Prawie cała służba bawi w Selby
 Royal. Kamerdyner spi... Paryż! Tak, Bazyli Hall-
 ward wyjechał do Paryża o północy, jak był po-
 stanowił. Wobec tego, że trzymał się zdala od
 ludzi, mogą upłynąć całe miesiące, zanim się zbudzi
 jakieś podejrzenie. Całe miesiące! Do tego czasu
 wszystko się da uprzątnąć.

Nagle błysnęła mu myśl. Wstał, zarzucił futro
 i wyszedł na kurytarz. Tu przystanął, nadsłuchu-
 jąc na powolne, ciężkie kroki policjanta na ulicy.
 Widział na oknie odbłask jego latarni. Czekał,
 powstrzymując oddech.

Po paru minutach ujął za klamkę, wysunął się
 i cicho zamknął za sobą drzwi. Następnie zadzwonił.
 Nie upłynęło pięć minut, gdy zjawił się kamer-
 dyner nawpół tylko ubrany i mocno zaspany.

— Przykro mi, że musiałem cię zbudzić Fran-
ciszku — rzekł, wchodząc do korytarza. — Zapo-
 mniałem wziąć klucz od bramy. Która będzie go-
 dzina?

— Dziesięć minut po drugiej, jaśnie panie —
 odpowiedział kamerdyner, szybko spoglądając na
 zegarek.

— Dziesięć minut po drugiej? Tak strasznie

późno! A musisz mnie jutro zbudzić o dziewiątej. Mam coś do czynienia.

— Będę pamiętał, jaśnie panie.

— Czy był ktoś w ciągu wieczora?

— Mr. Hallward, jaśnie panie. Czekał do jedynej, a potem odszedł do pociągu.

— O! szkoda, że nie mogłem się z nim widzieć. Czy może zostawił jakiś list?

— Nie, jaśnie panie. — Powiedział tylko, że napisze z Paryża, jeśli jaśnie pana nie zastanie w klubie.

— Dobrze. — A nie zapomnij zbudzić mnie o dziewiątej.

— Do usług, jaśnie panie.

Kamerdynier oddalił się cicho.

Dorjan Gray rzucił na stół kapelusz i płaszcz i wszedł do biblioteki. Przez kwadrans przechadzał się po pokoju zamyślony, gryząc usta. Następnie zdjął z półki książkę i zaczął przerzucać kartki.

»Alan Campbell, 152, Heriford-Street, Mayfair«
Tak, to był człowiek, którego właśnie potrzebował.

XIV.

Nazajutrz rano o dziewiątej wszedł służący z filiżanką czekolady i otworzył okienice. Dorjan spał całkiem spokojnie. Leżał na prawym boku, z ręką podsunętą pod głowę. Wyglądał jak chło-

piec, który się zmęczył przy zabawie lub pracy.

Służący musiał dwukrotnie dotknąć jego ramienia, zanim się zbudził, a gdy otworzył oczy, po ustach jego przemknął lekki uśmiech, jak gdyby przypominał sobie sen czarowny. Nie miał jednak żadnych snów. Spoczynku jego nie zamącały żadne majaki, ani bólu, ani radości. Ale młodość uśmiecha się bez powodu. To właśnie stanowi wielką część jej uroku.

Odwrócił się i wsparty na łokciu, powoli wyśszał czekoladę. Łagodne słońce listopadowe wpływało do pokoju. Niebo było całkiem jasne, a w powietrzu rozlewało się przyjemne ciepło, jakby w poranek majowy.

Powoli zdarzenia ubiegłej nocy cichemi, krwawymi stopami wślizgnęły się do jego mózgu, wracając do życia ze straszną wyrazistością. Drgnął na wspomnienie wszystkich swych cierpień i na chwilę uczuł znów ten nieprzezwykczony wstręt do Bazylego Hallwarda, który go pchnął do morderstwa. Zdrętwiał z przerażenia. Trup siedzi tam jeszcze na górze i do tego w świetle słońca. Jakie to straszne! Tak obrzydliwe rzeczy przeznaczone są dla mroku, nie dla dnia.

Czuł, że jeśli zacznie się zastanawiać nad tem, co przeżył — rozchoruje się, lub dostanie obłądę. Istnieją grzechy, których urok tkwi raczej w myśli o nich niż w czynie, triumfy dziwne, zadawalniające raczej dumę, niż namiętność, przyspieszające

tętno radości duszy — radości znacznie intensywniejszej, niż ją kiedykolwiek mogą odczuć zmysły. Ale ten jego grzech nie należał do owej kategorii. Przeciwnie, był jeden z tych, które należy wypędzić z pamięci, uśpić makiem, zdławić, aby nie zostać przez nie zdławionym.

Na zegarze wybiło pół do dziesiątej. Dorjan odsunął włosy z czoła i wstał szybko. Ubierał się jeszcze staranniej, niż zwykle. Szukał długo, zanim dobrał odpowiedni krawat i szpilkę, a pierścienie zmieniał kilkakrotnie. Długo siedział też przy śniadaniu, jadł potrochu ze wszystkich dań, rozmawiał z kamerdynerem o kilku nowych liberjach, które należało sprawić dla służby w Royal Selby, poczem przeglądał korespondencję. Przy niektórych listach się uśmiechał — inne irytowały go widocznie. Jeden odczytywał kilka razy, wreszcie rozdarł go z wyrazem zniecierpliwienia: Straszna rzecz, ta pamięć kłbieca! — jak raz powiedział lord Henry — mruknął do siebie.

Wypiwszy czarną kawę, skinął na służącego, by zaczekał, poczem siadł przy biurku i napisał dwa listy. Jeden włożył do kieszeni, drugi dał służącemu.

— Na ulicę Hertford 152, a jeśli by Mr Campbella nie było w domu, to zapytać o jego adres.

Gdy został sam, zapalił papierosa i począł na kawałku papieru rysować kwiaty, następnie plany architektoniczne, wreszcie twarze ludzkie. Nagle

dostrzegł we wszystkich tych twarzach dziwne podobieństwo z Bazylim Hallwardem. Zmarszczył czoło, wstał, podszedł do szafy z książkami i na ślepo wyjął z niej książkę. Był zdecydowany nie myśleć o tem, co się stało, dopóki nie zajdzie konieczna potrzeba.

Położył się na sofie i spojrzał na tytuł książki. *Emmaux et Camées* Gautiera w wydaniu Charpentiera, na papierze japońskim, z rysunkami Jacquemarta. Książeczka oprawna była w skórkę cytrynowo-zieloną ze złoconemi wyciskami i nakrapianemi owocami granatu. Otrzymał ją w podarku od Adrijana Singletona. Gdy przerzucał kartki, wzrok jego padł na ów wiersz, w którym poeta mówi o ręce *Lacenaire'a*, tej chłodnej, żółtej ręce »du supplice encore mal lavée«, okrytej puszystym, rudym włosem, i o »doigts de faune«. Spojrzał na swoje białe smukłe palce i dalej przewracał kartki. Zatrzymał się przy cudnych stanzach weneckich:

»Sur une gamme chromatique,
Le sein de perles ruisselant,
La Vénus de l'Adriatique
Sort de l'eau son corps rose et blanc.

Les dômes, sur l'azur des ondes,
Suivant la phrase au pur contour
S'enflent comme des gorges rondes
Que soulève un soupir d'amour.

L'esquif aborde et me dépose,
 Jetant son amarre au pelier,
 Devant une façade rose,
 Sur le marbre d'un escalier*.

Jakie to cudne! Czytając, człowiek ma wrażenie, że widzi przed sobą zielone, wodne ulice miasta róż i pereł i mknie w cichej gondoli o srebrnym dzióbku i muskanych przez wiatr firankach. Wiersze same wyglądały jak owe proste, turkusowe linie, biegnące za człowiekiem podczas drogi na Lido. Raptowne błyski barw przypominały mu lśniące upierzenie ptaków, o opalowych i irysowych szyjach i przez chwilę zdawał się je widzieć, jak fruwały koło wyniosłej Campanile, lub z grandezzą i wdziękiem kroczą wzdłuż ciemnych, kurzem okrytych arkad. Oparł się wygodnie i nawpół zmrúżywszy oczy, recytował raz po raz:

*Devant une façade rose
 Sur le marbre d'un escalier*.

Te dwa wiersze wyczarowały mu w duszy całą Wenecję. Myślał o jesieni tam spędzonej i o owej dziwnej miłości, która go pchnęła do tylu szalonych a rozkosznych wybryków. Każda miejscowość posiada specjalny swój romantyzm. Tylko że Wenecja, podobnie jak Oxford, zachowała tło romantyczne, a dla prawdziwego romantyka, tło jest wszystkim, lub niemal wszystkim. Bazyli ba-

wił tam z nim przez pewien czas i nie posiadał się z zachwytu nad Tintorettem. Biedny Bazyli! Umrzeć w sposób tak okropny!

Westchnął, wziął znów książkę do ręki, starając się zapomnieć. Czytał o jaskółkach, swobodnie wlatujących i wyfruwających z kawiarenki smyrneńskiej, gdzie kupcy liczą swe korale bursztynowe, a inni w fantastycznych turbanach palą fajki na długich cybuchach, poważnie prowadząc rozmowy. Czytał o obelisku na Place de la Concorde, który na swem samotnem, bezsłonecznem wygnaniu występował przy granitowych, tęskniąc do Nilu, okrytego lotosem, gdzie dumają sfinksy, w towarzystwie różowych łukodziobów i białych jastrzębi o złotych szponach, a krokodyle o małych oczkach berylowych, czołgają po zielonej, dymiącej kałuży. Dumął nad wierszami, co z marmuru, złożonego do pocałunku, wysnuwają melodje, a pomnik opiewają jako głos kontr-altowy, ów pomnik, zwany przez Gautiera »monstre charmant« w porfirowej sali Luwru. Ale niebawem książka wypadła mu z ręki. Opanowało go silne zdenerwowanie i trwoga. Co się stanie, jeśli Alan Campbell wyjechał z Anglii? A może nie zechce przyjść do niego? Co wówczas? Każda chwila spóźnienia może zaszkodzić... Przed pięciu laty byli przyjaciółmi — prawie nierozłącznymi. Nagle zażyłość ta ustała. Teraz, gdy się spotykali w towarzystwie, Dorjan Gray się uśmiechał, Alan Campbell — nigdy.

Był to młody człowiek bardzo rozsądny, pomimo, że miał mało zrozumienia dla sztuki, a pewne odczucie poezji zawdzięczał tylko Dorjanowi. Okazywał natomiast namiętny zapał do nauk ścisłych. W Cambridge spędzał niemal cały czas na pracy w laboratorium, i z dobrym rezultatem złożył egzamin z nauk przyrodniczych. Ciągłe jeszcze studiował chemję i urządził sobie własne laboratorium, w którym często zamykał się całymi dniami ku ogromnemu strapieniu matki. Marzyła bowiem dla niego o karierze politycznej i pragnęła, by wstąpił do parlamentu. O chemikach natomiast miała tylko mętne wyobrażenie, że sporządzają recepty. Jej Alan był jednak pozatem doskonałym muzykiem i grał na skrzypcach i na fortepianie znacznie lepiej niż zwyczajni amatorzy. Muzyka też była pierwszym łącznikiem między nim a Dorjanem Gray'em — muzyka i ów nieuchwytny czar, jaki Dorjan wywierał na wszystkich, często nawet nieświadomie. Poznali się na wieczorze u lady Berkshire, gdzie właśnie grał Rubinstein. Odtąd widywano ich wciąż razem w Operze i wszędzie, gdzie tylko można było słuchać dobrej muzyki. Przyjaźń ich trwała przez osiemnaście miesięcy. Campbell stale przesiadywał w Selby, lub w pałacu na Grossvenor-Square. Dla niego, jak dla wielu innych, Dorjan był prawzorem wszystkiego, co w życiu jest pięknem i czarownem. Czy zaszło między nimi coś nieprzyjemnego, nikt się nie mógł dowie-

dzieć. Nagle jednak zauważono, że stykając się w towarzystwie, zaledwie zamieniają z sobą parę słów, a Campbell szybko się wysuwa. Zmienił się też pod względem usposobienia. Często popadał w melancholię, zdawał się nienawidzić muzyki i nigdy nie chciał grać. Gdy go o to proszono, wymawiał się, twierdząc, że nauka pochłania mu cały czas i nie pozostawia chwili wolnej na ćwiczenia. I tak też było istotnie. Coraz więcej zajmował się biologią, a parę razy nazwisko jego wymieniane było w pismach naukowych, z okazji niezwyklej eksperymentów, jakie wykonywał.

Takim był człowiek, którego w tej chwili oczekiwał Dorjan, co parę sekund spoglądając na zegarek. Z każdą minutą wzmagał się jego niepokój. Wreszcie zerwał się z sofy i zaczął biegać po pokoju, niby wspaniałe, w klatce zamknięte zwierzę. Stawiał kroki długie, niepewne. Ręce miał zimne jak lód.

Czekanie stawało się nieznośne. Czas zdawał się wlec stopami ołowianemi, gdy on szalonym wichrem zapędzony na skraj przepaści, wisiał nad jej czarną, ziejącą otchłanią. Wiedział, co się tam na niego czai, widział to ze straszną dokładnością i drżąc, przyciskał wilgotne palce do płonących powiek, jak gdyby chciał mózg swój pozbawić wzroku, a źrenice wtłoczyć najdalej do jam ocznych. Napróżno! Mózg miał własny swój pokarm, a wyobrażenia, smagana trwogą, wijąc się z bólu jak

zwierzę, niby marionetka na scenie wykonywała najdziwniejsze skoki, coraz to w innej ukazując się masce. Wreszcie czas przystanął zupełnie. Tak. Ślepa, ciężko dysząca poczwara przestała pełzać, a wtedy z przystaniem czasu, bezszelestnie wysunęły się obrazy straszne i wywlokły z grobu przeszłość okropną i stawily ją przed oczy. Wpa-
trywał się w nią zdrętwiały. Skamieniał ze strachu.

Wreszcie drzwi się otworzyły. Wszedł służący. Spojrzał nań szklanym wzrokiem.

— Mr Campbell, jaśnie panie — zameldował.

Westchnienie ulgi wydobyło się z ust spalonych gorączką, a na twarz wróciły kolory.

— Zaraz prosić — rzekł żywo. Czuł że odzyskuje równowagę. Całe poprzednie tchórzostwo minęło.

Służący skłonił się i wyszedł. Zaraz po nim wszedł Alan Campbell. Miał twarz poważną i bladą.

Bladość tę potęgowały jeszcze krucze włosy i ciemne brwi.

— Alanie! to ładnie, że przyszedłeś. Dziękuję ci.

— Postanowiłem nie przekraczać twego progu, lecz napisałeś że rozchodzi się o życie lub śmierć.

Głos jego brzmiał ostro i zimno. Mówił powoli, z namysłem. W spojrzeniu bystrem, badawczem, którem mierzył Dorjana, widniała wzgarda. Trzymał ręce w kieszeniach astrachanowego sur-

duta i zdawał się nie widzieć gestu, jakim go przywitał Dorjan.

— Tak, chodzi o życie lub śmierć i to nie tylko jednego człowieka. Siadaj, proszę.

Campbell usiadł przy stole, a Dorjan zajął miejsce naprzeciw. Spojrzenia ich się spotkały. W oczach Dorjana malowało się ogromne współczucie. Wiedział, jak straszne było to, co uczynić zamierzał.

Po chwili dręczącego milczenia, Dorjan przechylił się ku gościowi i z wielkim spokojem, śledząc jednak wrażenie każdego swego słowa, powiedział:

— Alanie, na piętrze tego domu, w pokoju do którego prócz mnie nikt nie ma przystępu, siedzi przy stole trup. Nie zrywaj się i nie patrz na mnie w ten sposób. Kim jest, dla czego umarł, jak umarł, niech cię nic nie obchodzi. — Jedyne, co masz uczynić, to....

— Gray, przestań! — Nie chcę nic więcej wiedzieć. Czy to prawda, co mówisz, czy nie — nic mnie nie obchodzi. Absolutnie nie chcę się dać wciągnąć w twoje sprawy. Swe straszne tajemnice zachowaj dla siebie. Mnie one wcale nie zajmują.

— Alanie, muszą cię zajmować. Tą tajemnicą będziesz zmuszony się zająć. Bardzo mi cię żal, Alanie. Nie mam jednak innej rady. Ty jesteś jedynym człowiekiem, mogącym mnie uratować. Muszę cię wciągnąć w tę sprawę. Nie pozostaje mi nic innego. Znasz się na chemii i tym podo-

bnych rzeczach. Robiłeś tyle eksperymentów. A teraz powiem ci, co masz uczynić: zniszczyć zwłoki ludzkie, by po nich żaden nie pozostał ślad. Nikt nie wie, że człowiek ten był w moim domu. Znamy jego sądzą, że bawi obecnie w Paryżu. W ciągu najbliższych miesięcy nikt nie zwróci uwagi na jego nieobecność. A zanim zwrócą uwagę, nie będzie z niego żadnego śladu. Alanie, ty musisz jego i wszystko, co doń należało, zamienić w garść popiołu, który rozprószę w powietrzu.

— Dorjanie, jesteś szalony.

— O, czekałem, byś mnie nazwał Dorjanem.

— Szalony jesteś, powiadam..... Szalony, sądząc, że ruszę bodaj małym palcem, by tobie pomóc — szalony, czyniąc mnie to straszne wyznanie. Nie chcę z tem wszystkiem mieć nic do czynienia. Czy sądzisz, że narażę swą dobrą sławę — dla ciebie? Co mnie może obchodzić, do jakiego szatańskiego dzieła ty się czułeś powołanym?

— To było samobójstwo, Alanie.

— Pięknie. Ale kto go pchnął do tego? Wszak ty, nie kto inny.

— Więc wzbranasz się to dla mnie uczynić?

— Naturalnie, że się wzbraniam. Absolutnie nie chcę się w to mieszać. Nie mogę się troszczyć o to, że ty się okryjesz hańbą. Zasłużyłeś na nią. Nie żałowałbym cię, gdybyś został zbezczeszczony, publicznie zbezczeszczony. Jak możesz żądać ode mnie, bym przyłożył rękę do czegoś tak okropnego?

Sądziłem, że się znasz na charakterze ludzi. Twój przyjaciel, lord Henry Wotton, źle cię wyuczył fizjognomiki, mimo, że cię kształcił tak wszechstronnie. Nic w świecie nie zdołałoby mnie skłonić do uczynienia bodaj jednego kroku, celem niesienia ci pomocy. Pomyliłeś się w wyborze. Musisz się zwrócić do innego z twych przyjaciół. O mnie nie masz co myśleć.

— Alanie, to było morderstwo. Ja go zamordowałem. Ty nie wiesz, ile przez niego wycierpiałem. Jakiegokolwiek było to moje życie, on więcej wpłynął na jego shańbienie, niż ten biedny Harry. Może to uczynił bez zamiaru — rezultatu to jednak nie zmienia.

— Morderstwo! Wielki Boże! Dorjanie, więc do tego już doprowadziłeś? Ja cię nie wydam. To mnie nic nie obchodzi. I bez tego zresztą możesz być pewny, że cię uwiężą. Nikt nie popełnia zbrodni, bez popełnienia równocześnie głupstwa. — Ja jednak nie chcę z tem mieć nic do czynienia.

— Musisz mieć z tem do czynienia. Alanie, pozostań! Pozostań na chwilę! Alanie, słuchaj. Słuchaj, co ci powiem. Wszystko, czego od ciebie żądam, jest tylko dokonaniem eksperymentu naukowego. Chodzisz do szpitalów i klinik, wszystkie te potworne rzeczy, jakie tam spotykasz, wcale cię nie wzruszają. Gdyby ten człowiek leżał na krwią zalanym stole sekcyjnym, w jakimś smrodliwym laboratorium, wśród czerwonych ścieków, któremi

odpływa krew ludzka, uważałyś go jedynie za dobry materiał. Ani jeden włos nie drgnąłby ci na głowie. Nie przyszłoby ci nawet na myśl, że popełniasz coś niewłaściwego. Przeciwnie, miałbyś wrażenie, że spełniasz coś dobrego, że powiększasz sumę wiedzy, zaspakajasz ciekawość umysłową, czy coś podobnego. Nie żądam od ciebie niczego więcej nad to, co tylokokrotnie już zrobiłeś. Zniszczenie zwłok musi być nawet mniej straszne, niż inne, eksperymenty, których zwykłeś dokonywać. A nie zapominaj: zwłoki te są jedynem świadectwem przeciw mnie. Jeśli je odkryją, zostanę uwięziony, a muszą je odkryć, jeśli ty mi nie pomożesz.

— Nie mam wcale ochoty ci pomagać. Zdasz się o tem zapominać. Cała ta sprawa jest mi ze względu na ciebie całkiem obojętną. Nic mnie nie obchodzi.

— Alanie, ja cię proszę. Pomyśl, w jakim jestem położeniu. Zanim przyszedłeś, omdlewałem niemal ze strachu. Pamiętaj, że ty sam mógłbyś kiedyś zaznać trwogi podobnej. Nie, nie!..... Nie myśl o tem. Spróbuj tylko patrzeć na to wszystko ze stanowiska naukowego. Wszak nie pytasz, skąd pochodzą trupy, na których robisz doświadczenia. Nie pytaj i w tym wypadku. Zbyt wiele ci już powiedziałem. Ale proszę cię, uczyni to dla mnie. Alanie, byliśmy niegdyś przyjaciółmi.

— Nie wspominaj tych czasów, Dorjanie. One umarły.

— Umarli często nie chcą odejść. Ten człowiek na piętrze nie chce się oddalić. Siedzi przy stole... ze zwieszoną głową i wyciągniętymi ramionami. Alanie! Alanie! Jeśli ty mi nie pomożesz, jestem zgubiony. Powiesz mi. Alanie, czy ty to rozumiesz? Powiesz mi za to, co uczyniłem.

— Na nic się nie przyda przedłużanie tej sceny. Stanowczo wzbraniam się przykładać rąk do tej sprawy. Szaleństwem z twojej strony żądać odemnie czegoś podobnego.

— Odmawiasz?

— Tak.

— Alanie, ja cię proszę.

— Napróżno.

W oczach Dorjana znów błysnęło współczucie. Powoli wyciągnął rękę, wziął ze stołu kawałek papieru i nakreślił parę słów. Odczytał je dwukrotnie, złożył starannie i przesunął na drugą stronę stołu. Późem wstał i podszedł ku oknu.

Campbell spojrzał nań zdumiony. Podniósł świstek złożonego papieru i rozłożył. Przy czytaniu twarz jego okryła się trupią bladością, a głowa opadła w tył. Miał uczucie, że jest śmiertelnie chory. Zdawało mu się, że serce jego w próżnej jaskini zatłucze się na śmierć.

Po dwóch czy trzech minutach okropnego milczenia Dorjan się odwrócił, przystąpił do Campbella i położył mu dłoń na ramieniu.

— Strasznie mi cię żal, Alanie — szepnął —

ale nie pozostawiasz mi wyboru. List mam już napisany. Oto jest. Widzisz adres. Jeśli mi nie pomożesz, muszę go odesłać. Jeśli mi nie pomożesz z odeszłą go. Wiesz, jakie stąd następstwa. Ale ty mi pomożesz. Nie możesz się dłużej wzbraniać. Chciałem cię oszczędzać. Będiesz chyba dość sprawiedliwy, by mi to przyznać. Ty natomiast byłeś szorstki, twardy, obrażający. Postąpiłeś ze mną, jak nikt w życiu ze mną postępować się nie ważył — przynajmniej nikt z żyjących. Zniosłem wszystko. Teraz ja dyktuję warunki.

Campbell ukrył twarz w dłoniach. Dreszcz wstrząsnął całą jego postacią.

— Tak, Alanie, teraz na mnie kolej dyktowania warunków. Znasz je. Rzecz jest całkiem prosta. Chodź, nie denerwuj się tak okropnie. To musi być dokonane. Spojrz koniecznie w oczy i spełń ją.

Jęk wyrwał się z piersi Alana. Drżał jak w febrze. Zdawało mu się, że tykotanie zegara na gzymsie kominka dzieli czas na atomy męczarni a każdy z nich zbyt straszny jest do zniesienia. Miał wrażenie, że powoli zaciska się dokoła jego czoła obręcz żelazna, że hańba, którą mu grożą, już nań spadła. Ręka, spoczywająca na jego ramieniu, ciężka była jak ołów. Przygniatała go okropnie. Zdawała się go miażdżyć.

— Chodź, Alanie, zdecyduj się.

— Nie mogę tego zrobić — rzekł mechanicznie,

jak gdyby słowa zdolne były odwrócić straszną konieczność.

— Musisz. Nie mam wyboru. Nie zwlekaj dłużej. Czekaj chwilę.

— Czy pali się na górze?

— Tak, jest piec gazowy.

— Muszę wrócić do laboratorium po pewne materiały.

— Nie, Alanie. Ty nie przekroczysz tego progu. Napisz parę słów. Mój służący pojedzie i przywiezie wszystko, czego ci potrzeba.

Campbell nakreślił parę wierszy, osuszył pismo bibułą i zaadresował do swego asystenta. Dorjan wziął papier i odczytał uważnie. Następnie zadzwonił na służącego i wręczył mu list, polecając wrócić jak najszybciej.

Gdy drzwi komnaty zamknęły się za służącym, Campbell zadrżał nerwowo. Powoli dźwignął się z krzesła i podszedł do kominka. Dygotał całym ciałem. Przez jakie dwadzieścia minut żaden z nich nie rzekł ani słowa. Mucha, brzęcząc, latała po pokoju, a tykotanie zegara rozlegało się jak miarowe uderzenia młota.

Gdy pierwsza wybiła, Campbell się odwrócił i spojrzał na Dorjana Gray'a, w którego oczach błyszczały łzy. Czystość i delikatność jego smutnej twarzy zdawała się go doprowadzać do wściekłości.

— Jesteś nikczemnikiem, podłym nikczemnikiem — szepnął.

— Alanie, cicho. Ty mi uratowałeś życie — rzekł Dorjan.

— Twoje życie! Wielki Boże! Co to za życie! Spadałeś coraz niżej i niżej, aż oto doszedłeś do morderstwa. Jeśli uczynię to, co uczynić zamierzam, to, nie o twojem życiu myślę!

— Ach, Alanie — mamrotał Dorjan wzdychając — chciałbym, byś ty miał dla mnie tysiączną część tego współczucia, jakie ja mam dla ciebie.

Mówiąc to, miał głowę odwróconą w stronę ogrodu. Campbell nie odpowiadał.

Po chwili zapukano do drzwi. Wszedł służący, wnosząc dużą skrzynię mahoniową, z chemikaljami, gruby zwój drutu stalowego i platynowego i dwie dziwne kształtu kłamry.

— Jaśnie panie, czy tu zostawić te rzeczy? — zwrócił się do Campbella.

— Tak — odparł Dorjan. — Przykro mi, Franciszku, ale mam dla ciebie jeszcze jedno zlecenie. Jak nazywa się ten człowiek w Richmond, co dostarcza orchideji do Selby?

— Harden, jaśnie panie.

— Tak... Harden. Otóż trzeba natychmiastjechać do Richmond i osobiście rozmówić się z Hardenem. Niech przysze dwa razy więcej orchideji, niż zamówiono i możliwie najmniej białych. Najlepiej aby wcale nie było białych. Bardzo ładny dzień, a Richmond śliczna miejscowość. Inaczej nie męczyłbym cię tem poleceniem, Franciszku.

— Nic nie szkodzi, jaśnie panie. Kiedy mam być z powrotem?

Dorjan spojrział na Campbella.

— Alanie, jak długo potrwa twoje doświadczenie? — spytał głosem spokojnym, obojętnym. Obecność trzeciego człowieka zdawała się mu dawać odwagi.

Campbell zmarszczył czoło i zagryzł wargi.

— Około pięciu godzin — odparł.

— W takim razie czas będzie wrócić o pół do ósmej. Albo... Franciszku, zaczekaj. Przygotuj mi moje rzeczy do wyjścia. Możesz wieczór spędzić poza domem. Nie będę jadł w domu, więc jesteś mi niepotrzebny.

— Pięknie dziękuję, jaśnie panie — rzekł służący, wychodząc.

— A teraz Alanie, niema ani chwili do stracenia. Jaka ta skrzynia ciężka! Ja ci ją zaniosę. Ty weźmiesz druty! Mówił szybko, rozkazująco. Campbell czuł się obezwładnionym. Wyszli razem.

Gdy stanęli w najwyższym korytarzu, Dorjan wyjął klucz i przekręcił go w zamku. Następnie przystanął, a w oczach jego odbiło się pomieszczenie.

— Alanie, zdaje mi się, że nie potrafię tam wejść — szepnął.

— Wszystko mi jedno. Nie potrzebuję cię — zimno odparł Campbell.

Dorjan nawpół otworzył drzwi i w pełnym świetle słonecznem ujrzał zwrócone na siebie szy-

derskie spojrzenie obrazu. Zasłona leżała na ziemi. Przypomniawszy sobie, że ubiegłej nocy po raz pierwszy w życiu zapomniawszy był zakryć fatalny obraz. Chciał już rzucić się naprzód, by to uczynić, gdy nagle cofnął się przerażony.

Co to za wstrętna, czerwona rosa świeci na ręce, wilgotna i błyszcząca, jak gdyby płótno okryto się potem krwawym? Jakież to okropne! Tem okropniejsze w tej chwili, w obecności milczącego trupa ze zwieszoną głową, którego cień dziwny na załanym krwią dywanie wskazuje, że się nie ruszył ze swego miejsca, lecz siedzi tu, gdzie on go pozostawił.

Zaczerpnął głęboko powietrza, nieco szerzej otworzył drzwi i wszedł szybko z przymkniętymi oczami i odwróconą głową, zdecydowany nie rzucić nawet okiem na trupa. Schylił się, podjął z ziemi czerwono-złotą zasłonę i spieszenie zarzucił ją na portret.

Następnie przystanął, obawiając się odwrócić, oczy miał utkwione nieruchomo w desień wiszącej przed nim zasłony.

Słyszał, jak Campbell wniósł ciężką skrzynię i wszystkie przybory, potrzebne mu do okropnego dzieła, jakiego miał dokonać. Gorąco pragnął wiedzieć, czy Alan kiedykolwiek zetknął się był z Bazylim Hallwardem, a jeśli tak, co wzajem o sobie myśleli.

— Wyjdź stąd — usłyszał za sobą zimny głos.

Odwrócił się i wybiegł. Dostrzegł tylko tyle, że głowa trupa została oparta o poręcz krzesła, a Campbell wpatrywał się w żółtą, świecącą twarz. Gdy był na schodach, usłyszał przekręcenie klucza w zamku.

Było po godzinie siódmej, gdy Campbell wrócił do biblioteki. Był blady, lecz całkiem spokojny.

— Zrobiłem, czego żądałeś. Żegnaj i obyśmy się nigdy nie spotkali.

— Ocaliłeś mnie, Alanie. Tego nie zapomnę — rzekł Dorjan.

Po odejściu Campbella, poszedł na górę. W pokoju czuć było mocno kwas azotowy. Ale trupa, wprawdzie siedzącego przy stole, nie było.

XV.

Tego samego wieczora o pół do dziewiętej, Dorjan Gray najwytworniej ubrany, z dużym pękiem fiołków parmeńskich w butonierce, wchodził wśród głębokich ukłonów służby, do salonu lady Narborough. Pulsa na skroniach biły mu gorączkowo i był strasznie zdenerwowany. Mimo to, pochylając się dla ucałowania ręki pani domu, miał ruchy taksamo lekkie i pełne wdzięku jak zwykle. Bo może nigdy człowiek nie wydaje się tak swobodnym, jak właśnie wtedy, gdy jest zmuszony do odegrania jakiejś roli. I nikt z obecnych nie mógł

przypuszczać, że Dorjan Gray przeżył dopiero co tragedję tak okropną. Te szlachetne, smukłe palce nie mogły nigdy obejmować noża morderczego, a te uśmiechnięte różowe usta nigdy zapewne nie przeklinały Boga, ni dobroci. Sam się dziwił swemu spokojowi i przez chwilę odczuwał żywo rozkosz życia podwójnego.

Towarzystwo było nieliczne, może nazbyt spiesźnie zebrane. Lady Narborough była damą, która jak się wyrażał lord Henry, prezentowała z godnością resztki niezwyklej brzydoty. Była doskonałą żoną jednego z najnudniejszych ambasadorów angielskich. Pochowawszy męża ze skrupulatną obowiązkowością w marmurowem mauzoleum, wykonanem podług własnych rysunków, powierzyła córki bogatym, nieco zbyt wiekowym mężom, sama zaś w zupełności się oddała francuskiej poezji, francuskiej kuchni i o ile jej to było dostępne, francuskiemu *esprit*.

Dorjan należał do jej szczególnych ulubieńców, zawsze powtarzała, że za szczęście sobie poczytuje, iż go nie znała w swej młodości.

— Wiem — zapewniała go niejednokrotnie — że byłabym się w pana szalenie zakochała i wszystko byłabym poświęciła dla pana. Na szczęście nie mówiono jeszcze wówczas o panu. Tak więc nie pozwoliłam sobie nigdy nawet na lekki flirt. Ale to wina Narborougha. Był strasznie krótkowidzący,

a mieć męża, który nigdy nic nie widzi, wcale nie należy do przyjemności.

Tego wieczora towarzystwo było dość nudne. Powód był ten — jak przy sposobności wyjaśniła Dorjanowi za małym wachlarzem — że nagle jedna z zameężnych córek przybyła na dłuższy czas w odwiedzin, a co gorsza przywiozła z sobą — własnego męża.

— Mon cher, przyznasz, że to jest z jej strony najwyższa bezwzględność — szeptała. — Co prawda, to ja również odwiedzam ją każdego lata, wracając z Hamburga, ale stara kobieta, jak ja, potrzebuje od czasu do czasu świeżego powietrza, przeto zawsze ich trochę rozruszam. Nie możesz pan sobie wyobrazić, jakie oni tam życie prowadzą. Najczystszy, niesfałszowany żywot wiejski. Wstają wcześniej, ponieważ mają tak wiele do czynienia, a kładą się wcześniej, mając tak mało do myślenia. Od czasów królowej Elżbiety nie było w całym sąsiedztwie ani jednego skandalu, skutkiem czego po obiedzie zaraz się zasypia. Proszę, nie siadaj pan koło nich. Musi pan usiąść obok mnie.

Dorjan mruknął jakiś komplement i rezejrzał się po salonie. Tak, towarzystwo było istotnie nudne. Oprócz dwóch osób, których nigdy wpierw nie spotykał, był Ernest Harrowden, człowiek średniej inteligencji, i średnich lat, typ nazbyt częsty w klubach londyńskich, jeden z tych, co nie mają wprawdzie wrogów, ale których przyjaciele okazują im

wstręt nieprzewyciężony, lady Roxton, przesadnie ubrana dama czterdziestosiedmioletnia z haczykowatym nosem, pragnąca ciągle udawać skompromitowaną, ale tak okropnie brzydka, że ku jej niezmiernej przykrości nikt nie mógł wątpić o jej cnocie, Mrs Erlynne, kompletne zero, o weneckorudych włosach, wyrywająca się zawsze nie w porę czarownym, dziecinnyim głosikiem, lady Alicja Chapman, córka pani domu, prosta, nudna kobieta, o jednej z tych charakterystycznych twarzy angielskich, których absolutnie niepodobna zapamiętać, wreszcie mąż jej, jegomość o czerwonych policzkach i białej brodzie, żywiący, jak wielu ludzi tego rodzaju, głębokie przeświadczenie, że niezwykła jawalność zdolna jest zastąpić zupełny brak idei.

Zaczął już żalować, że przyszedł, gdy nagle lady Narborough, rzuciwszy okiem na duży zegar złoty, błyszczący wspaniałemi konturami na udrapowanym gzymsie kominka, krzyknęła: — Ach, jak to szkaradnie ze strony Henryka Wottona, że się tak spażnia! Zaraz rano posyłam do niego na chybił trafił i solennie zapewnił, że mi nie sprawi zawodu!

Jedyna pociecha, że Harry przyjdzie. Niezadługo drzwi się otworzyły i Dorjan usłyszał jego cichy, melodyjny głos, czyniący usprawiedliwienie kłamliwe — czarownem. W jednej chwili przestał się nudzić.

Przy stole nie mógł jednak nic jeść. Jeden półmisek po drugim odsuwał nietknięty. Lady Narbo-

rough ustawicznie się irytowała, nazywając to »obelgą dla biednej Adolfiny, która umyślnie dla niego skomponowała była menu.« Lord Henry, od czasu do czasu rzucał nań okiem, dziwiąc się jego milczeniu i roztargnieniu. Służący raz po raz napełniał mu kieliszek szampanem. Pił gorączkowo, a pragnienie jego zdawało się wciąż wzmacniać!

— Dorjanie — ozwał się wreszcie lord Henry, gdy już podawano »chaud-froid« — co się z tobą dziś dzieje? Jesteś całkiem zmieniony.

— Z pewnością się zakochał — zawołała lady Narborough — a boi się przyznać, bym nie była zazdrosna. I ma słuszość. Byłabym zazdrosna.

— Droga lady Narborough — wyrzekł Dorjan z uśmiechem — od tygodnia już nie byłem ani raz zakochany. Od wyjazdu madame de Ferrol.

— Mężczyźni, na Boga, jak wy się możecie kochać w tej kobiecie! — krzyknęła stara dama. — Wprost nie pojmuję.

— Jedyne i wyłącznie dlatego, że znała panią dzieckiem, lady Narborough — rzekł lord Henry. — Ona jest jedynym węzłem, łączącym nas z krótkimi sukniami pani.

— Lordzie Henryku, moich krótkich sukien ona nie pamięta. Natomiast ja doskonale ją sobie przypominam z przed trzydziestu lat, była wówczas we Wiedniu i ogromnie décolletée.

— Dotąd jest bardzo décolletée — odparł, biorąc oliwkę długimi, smukłymi palcami. — Gdy nosi

elegancką suknię, wygląda jak »édition de luxe« lichego romansu francuskiego. Jest rzeczywiście oryginalna i pełna niespodzianek. A zdolność do uczuć rodzinnych posiada w stopniu wprost niezwykłym. Po śmierci trzeciego męża, włos jej ze zgryzoty stał się całkiem złoty.

— Harry, jak możesz! — zawołał Dorjan.

— Romantycznie wyjaśnienie — rzekła pani domu. — Ale trzeci mąż, powiedziałeś, lordzie Henryku! Wszak nie chcesz pan powiedzieć, że Ferrol jest czwartym z rzędu?

— Owszem, lady Narborough.

— Nie wierzę panu ani słowa.

— Więc proszę zapytać Mr Gray'a. Należy do jej najbliższych przyjaciół.

— Czy to prawda, Mr Gray?

— Tak ona przynajmniej zapewnia — odparł Dorjan. — Pytałem ją, czy jak Małgorzata z Navarry nosi przy pasku zabalsamowane serca swych mężów. Odparła: nie, ponieważ żaden z nich nie miał serca.

— Czterech mężów! Dalibóg... trop de zèle!

— Trop d'audace, powiedziałem jej — odparł Dorjan.

— O, na odwadze nie zbywa jej nigdy. A cóż to za człowiek ten Ferrol? Nie znam go.

— Mężowie pięknych kobiet zawsze należą do klasy zbrodniarzy — rzekł lord Henry, wysączając szampan.

Lady Narborough uderzyła go wachlarzem.

— Lordzie Henryku, wcale się już nie dziwię, że świat cię uważa za złośliwego.

— Ale który świat tak twierdzi? — spytał lord Henry, ściągając brwi. — To chyba już ten drugi świat, zaziemski. Bo ze światem doczesnym znosimy się doskonale.

— Wszyscy moi znajomi twierdzą, że pan jest złośliwy — upierała się stara dama, potrząsając głową.

Lord Henry przybrał poważną minę, a po chwili rzekł:

— To doprawdy szkaradnie, że ludzie stale biegają za memi plecyma i mówią o mnie rzeczy najzupełniej prawdziwe.

— Czyż nie jest niepoprawny? — zawołał Dorjan Gray, przechylając się naprzód.

— Spodziewam się, że nim pozostanie — ze śmiechem odparła pani domu. — Ale istotnie, skoro wszyscy tak uwielbiać panią de Ferrol, to ja również muszę wyjść za mąż po raz drugi, by się stać modną.

— Lady Narborough, pani nigdy już nie wyjdzie za mąż — wtrącił lord Henry. — Zbyt pani była szczęśliwą. Kobieta wychodzi za mąż po raz drugi tylko wówczas, jeśli pierwszego swego męża nie nawidziła. Zaś mężczyzna żeni się po raz drugi, jeśli pierwszą swą żonę ubóstwiał. Kobiety próbują szczęścia, mężczyźni rzucają swoje na kartę.

— Narborough nie był wcale doskonałością — rzekła stara dama.

— Droga, łaskawa pani, gdyby był doskonałym, nie byłaby go pani kochała — brzmiała odpowiedź. — Kobiety kochają nas za nasze wady. Gdybyśmy mieli dużo błędów, wybaczyłyby nam wszystko, nawet rozum. Obawiam się, lady Narborough, że nigdy już nie otrzymam zaproszenia, niemniej jednak jest to prawdą.

— Oczywiście, lordzie Henryku. Bo gdyby my, kobiety, nie kochały was za błędy, to cóżby z wami było? Ani jeden nie dostałby żony. Utworzylibyście klub nieszczęśliwych starych kawalerów. Swoją drogą, nie wiele by się zmieniło. Wszak i bez tego żyją dziś żonaci jak kawalerzy, a kawalerzy jak żonaci.

— Fin de siècle — mruknął lord Henry.

— Fin du globe — odparła pani domu.

— Chciałbym, aby był fin du globe — z westchnieniem rzekł Dorjan. — Życie jest jednym wielkim rozczarowaniem.

— O, mon cher — zawołała lady Narborough, naciągając rękawiczki — panu nie wolno mówić, żeś wyczerpał życie. Jeśli mężczyzna to mówi, wiadomem jest, że życie jego wyczerpało. Lord Henry jest złośliwy, a ja nieraz żałuję, że nią nie jestem, ale pan jest stworzony, aby być dobrym — wygląda pan jak uosobienie dobra. Muszę panu wyszukać

piękną żonę. Lordzie Henryku, czy pan nie sądzi także, że Mr. Gray powinienby się ożenić?

— Co dnia mu to powtarzam, lady Narborough — z ukłonem odparł lord Henry.

— Musimy się rozejrzeć za stosowną partją dla niego. Dziś wieczór uważnie przejrzę Debretta i zrobię listę wszystkich możliwych młodych dam. Bardzobym chciała przyczynić się do tego, co Morning Post nazywa odpowiednim związkiem, i chciałabym, abyście oboje byli szczęśliwi.

— Jakichże to głupstw nie mówi się na temat małżeństwa! — zawołał lord Henry. — (Mężczyzna może być szczęśliwy z każdą kobietą, o ile jej nie kocha.)

— A to z pana cynik! — zawołała stara dama. — Musisz mnie pan niebawem znów odwiedzić. Doskonały z pana środek wzmacniający — znacznie lepszy od tego, jaki mi przepisał Sir Andrew. Tylko musisz pan powiedzieć, jakie towarzystwo lubisz, a postaram się o najświetniejsze.

— Jakie towarzystwo? — Ja lubię mężczyzn z przyszłością, a kobiety z przeszłością — odparł.

Pani domu śmiejąc się, powstała.

— Ach, stokrotnie przepraszam, droga lady Ruxton — zwróciła się do sąsiadki — nie zauważyłam, że pani jeszcze pali.

— Nie szkodzi, lady Narborough. Palę zawiele. W przyszłości muszę się ograniczyć.

— Nigdy, lady Ruxton! — zaprotestował lord

Henry. — Każde ograniczenie jest fatalne. W miarę — to posiłek nieodzowny. Nadmiar — to uczta.

Lady Ruxton spojrzała nań z ciekawością.

— Musi mnie pan odwiedzić którego popołudnia i mi to wytłómaczyć, lordzie Henryku. To brzmi niby cudna teoria — mówiła przechodząc do drugiego salonu.

— Tylko nie zabawiajcie się zbyt długo polityką i plotkami — zawołała jeszcze od drzwi lady Narborough. — W przeciwnym razie my się tu pokłócimy z nudów.

Panowie odpowiedzieli śmiechem, a Mr. Chapman uroczyście wstał od końca stołu i przeszedł na pierwsze miejsce. Dorjan Gray usiadł obok lorda Henryka. Mr Chapman potężnym głosem począł mówić o stosunkach Izby gmin. Miotał gromy na swych przeciwników. Słowo: doktryner — słowo straszne dla każdej duszy brytyjskiej — stale się powtarzało w jego wybuchach. W długiej przemowie dowodził, że dziedziczna głupota rasy jest najsilniejszą twierdzą obronną dla społeczeństwa. Dobrodusznie nazywał ją: zdrowym rozsądkiem anglików.

Uśmiech zadrżał koło ust lorda Henryka, odwrócił się i spojrzał na Dorjana.

— Jakże drogi chłopcze, czy już lepiej? spytał. — Przy stole wyglądałeś jakoś nieswój.

— Czuję się zupełnie dobrze, Harry. Tylko trochę znużenia. Nic więcej.

— Wczoraj wieczór byłeś czarujący. Księżna całkiem zachwycona. Powiedziała mi, że przyjedzie do Selby.

— Przyrzekła na dwudziestego.

— Czy Monmouth będzie także?

— Zapewne.

— Strasznie nim jestem znudzony, niemal w równym stopniu co ona sama. Bardzo jest mądra, prawie za mądra na kobietę. Brak jej tego nieokreślonego wdzięku słabości. Nóżki z gliny podnosiłyby jeszcze złoto obrazu. Jej nóżki są bardzo piękne, ale nie z gliny. Powiedzmy, nóżki z białej porcelany. Przeszły przez ogień, a czego ogień nie niszczy, to hartuje. Ma za sobą doświadczenie.

— Jak długo była zamężna?—spytał Dorjan.

— Ona powiada, że całą wieczność. Sądząc z perostwa, musiało to trwać jakie dziesięć lat, ale dziesięć lat z Monmouthem, to istotnie wieczność, pomnożona przez doczesność. Kto będzie jeszcze?

— Ach, wiesz przecież... Willonghbysowie, lord Rugby z żoną, pani tego domu, Geoffrey Cluston—zwykle nasze kółko. Zaprosiłem także lorda Grotiana.

— Mnie on się podoba — rzekł lord Henry — wielu ludziom jest antypatyczny. Ale ja go lubię. Ubiera się trochę przesadnie, ale za to jest hyperkulturny. Typ bardzo współczesny.

— Nie wiem tylko czy będzie mógł przybyć.

Ojciec chce go zabrać z sobą do Monte Carlo.

— Jakże nieznośni są ci ojcowie! Postaraj się, by był u ciebie. Ale à propos Dorjanie. Uciekłeś wczoraj tak wcześnie, przed jedenastą. Gdzie byłeś później? Wszak nie w domu?

— Dorjan spojrział nań przelotnie i zmarszczył brwi.

— Nie, Harry — odparł po chwilowej pauzie — dopiero koło trzeciej wróciłem do domu.

— Byłeś w klubie?

— Tak — odparł. Zagryzł usta. — Nie, nie uważałem, o co pytasz... Nie byłem w klubie. Wałęsałem się. Ale jaki ty ciekawy... Harry... Zawsze chcesz wiedzieć, co się robiło. A ja chcę zapomnieć, co robiłem. Przyszedłem do domu o pół do trzeciej, jeśli ci zależy na dokładności. Zapomniałem zabrać klucz i służący musiał mi otworzyć. Jeśli chcesz potwierdzenia, to możesz go zapytać.

Lord Henry wzruszył ramionami.

— Ależ drogi chłopcze, co mnie to może obchodzić! Przejdźmy do dam. Dziękuję bardzo Mr. Champman, nie mogę już pić. Dorjanie, tobie się zdarzyło coś nieprzyjemnego. Co to jest? Nie poznaję cię dzisiaj.

— Nie troszcz się o mnie, Harry. Jestem trochę rozdrażniony. Przyjdę do ciebie jutro lub pojutrze. Bądź tak dobry usprawiedliwić mnie przed lady Narborough. Nie mogę zostać dłużej. Wracam do domu. Muszę wrócić...

— Pięknie. A zatem oczekuję cię jutro do herbaty. Będzie księżna.

— Postaram się przyjść — odparł wysuwając się do przedpokoju.

Jadąc do domu, czuł wyraźnie, że trwoga, którą uważał był za przezwyciężoną, znów się zbudziła. Przypadkowe pytanie lorda Henryka pozbawiło go na chwilę przytomności umysłu, która mu była nieodzowną. Rzeczy niebezpieczne należy zniszczyć do cna. Drgnął cały. Nienawistną była mu sama myśl o nich.

A jednak należało skończyć. Dobrze o tem wiedział i zamknąwszy na klucz drzwi biblioteki otworzył tajemną skrytkę za tapetą, gdzie rzucił był płaszcz i torbę Hallwarda. Na kominku płonął ogień. Szybko dorzucił jeszcze parę drzew. Woń palącego się materiału i skóry była okropna. Mięły całe trzy kwadranse, zanim się wszystko spaliło. Ostatecznie uczuł się znużonym i chorym. Zapalił w kadzielnicy kilka Algier=pastylek a ręce i twarz obmył zimnym octem.

Nagle drgnął od stóp do głowy. W oczach jego pojawił się dziwny błysk, a zęby wpiły się w dolną wargę. Pomiedzy oknami stała duża szafa florentyńska z hebanowego drzewa, wykładana kością słoniową. Patrzył na nią wzrokiem, wyrażającym równocześnie gorące pragnienie i wstręt. Oddech jego stał się szybszy. Ogarnęła go dzika tęsknota. Zapalił papierosa i odrzucił go. Zmrużył oczy tak,

że długie rzęsy niemal dotykały twarzy. Ale ciągle jeszcze wpatrywał się w szafę. Wreszcie zerwał się, podbiegł ku niej i otworzył. Dotknął ukryte sprężyny i wysunęła się trójkątna szuflada. Palce jego zbliżyły się instynktownie, poczęły szukać i ujęły jakiś przedmiot. Była to mała szkatułka chińska z czarnego laku, artystycznie wykonana. Po bokach subtelna inkrustacja przedstawiała fale wzburzone, a jedwabna frendzla zwisająca u dołu była zakończona cudnymi, krągłemi kryształami. Otworzył szkatułkę. Była w niej zielona pasta wodnistego koloru, o woni dziwnie ciężkiej, oszalamiającej.

Przez kilka minut stał niezdecydowany z jakimś martwym uśmiechem koło ust. Nagle drgnął i rękę przyłożył do czoła, jakby w pokoju było nieznośnie gorąco. Spojrzał na zegar. Dwadzieścia minut brakowało do północy. Postawił szkatułkę na dawnem miejscu, zamknął szafę i poszedł do sypialni.

Gdy spizowe dźwięki obwieszczały północ uspio-nej dzielnicy, Dorjan Gray w lichem ubraniu i grubym szalu dokoła szyi, wymknął się ze swego domu. W Bond-Street zawołał na przejeżdżającego fiakra i cichym głosem podał mu adres.

Mężczyzna potrząsnął głową przecząco.

— To dla mnie zadaleko — mruknął.

— Oto zapłata — szepnął Dorjan, rzucając garść monety. — Jeśli szybko pojedziecie, dam jeszcze raz tyle.

— Zgoda, proszę pana. Za godzinę będzie pan na miejscu.

Gdy dziwny pasażer usiadł, fiakier zawrócił na miejscu i galopem pomknął w stronę rzeki.

XVI.

Zimny deszcz począł padać, a latarnie przydrożne spoglądały brudne i blade w mgle wilgotnej. Właśnie zamykano szynki, a ponure grupki mężczyzn i kobiet stały jeszcze przed drzwiami. Z jednej szynkowni dołatywał jakiś śmiech okropny. W innych lokalach toczyły się gwałtowne kłótnie pijanych.

Wsparty o poduszki powozu, z kapeluszem tak naciśniętym, że zakrywał mu całe czoło, Dorjan Gray obojętnie patrzył na brud i hańbę tego życia nocnego, od czasu do czasu powtarzając słowa, które lord Henry wypowiedział kiedyś, w dniu ich poznania: »Duszę leczyć zmysłami, a zmysły duszą«. Tak, w tem tajemnica. Nieraz się do niej uciekał, a i teraz chce spróbować. Wszak istnieją nory dla palaczy opjum, gdzie można kupić zapomnienie, i inne nory potworne, gdzie pamięć grzechów starych ustępuje przed grzechami nowymi.

Księżyc nisko zawisł nad ziemią niby żółta czaszka trupa. Od czasu do czasu ciężka, bezkształtna chmura wysuwała swe długie ramię i zasłaniała go. Lampy gazowe stawały się coraz rzadsze

a ulice z każdą chwilą węższe i ciemniejsze. Raz fiakier zmylił drogę i musiał pół mili jechać z powrotem. Z konia biła para, gdy rozbryzgując kałuże, pędził bez wytchnienia. Szyby powozu okryte były szarą, zimną mgłą.

»Duszę leczyć zmysłami, a zmysły duszą!« Jak te słowa bezustannie mu dzwonią w uszach. Dusza jego chora jest śmiertelnie. Żali zmysły istotnie zdołają ją uleczyć? Niewinna krew została przełana. Jaka za to istnieć może pokuta? Ach, niema żadnej. Ale jeśli przebaczenie jest niemożliwe, to możliwe jest jednak zapomnienie, a on postanowił zapomnieć, wygnać z pamięci, zdeptać wspomnienie, jak się depce żmiję jadowitą, co nam zadała ranę. Bo i jakież prawo miał Bazyli przemawiać doń w ten sposób? Kto go uczynił sędzią nad drugimi? Wszak mówił mu rzeczy straszne, okropne, niepodobne do zniesienia.

Powóz z turkotem toczył się wciąż naprzód i jak mu się wydawało, coraz powolniej. Gwałtownie odemknął drzwiczki i przynagłał do szybszej jazdy. Poczęło go trawić potworne pragnienie opjum. Gardło mu zaschło, delikatne ręce zaciskały się konwulsyjnie. Jak szalony wymachiwał laską, przynaglać konia. Woźnica śmiejąc się, również go popędzał batem. I on się począł śmiać, a wtedy woźnica zamilkł.

Droga zdawała się bieć w nieskończoność, a sieć ulic dokoła wyglądała niby czarna tkanina

pełzającego powoli pająka. Ta monotonia stawała się nieznośna, a coraz gęstsza mgła przyprawiała go o trwogę.

Po chwili znaleźli się na wolniejszej przestrzeni i jechali wzdłuż pustych placów, na których sterowały cegielnie. Mgła nieco opadła, rysowały się więc piece wysokie kształtu flaszek, o żółto-czerwonych wachlarzowatych, płomiennych językach. Pies zaszczeakał na przejeżdżających, a w oddali ozwała się mewa wędrowna. Koń potknął się, skoczył w bok i popędził galopem.

Niebawem minęli cegielnie i znów pędzili po źle brukowanej drodze. Przeważna część okien była ciemna, tylko gdzieniegdzie, na oświetlonej firance, przesuwały się fantastyczne cienie sylwetek ludzkich. Spoglądał na nie z ciekawością. Poruszały się niby potworne marionetki, gestykulując jak żywe istoty. Nienawidził ich wszystkich. Jakaś głucha złość kipiała mu w sercu. Na zakręcie jednej z ulic zaczęła ich kobieta, stojąca w bramie, a dwaj mężczyźni gonili powóz jakie kilkaset metrów. Woźnica opędział się im batem.

Powiadają, że namiętność każe obracać się myślom w jednym i temsamem kole. To też pokasane do krwi wargi Dorjana Gray'a dopóty mamrotały określenie lorda Wottona o wzajemnem oddziaływaniu zmysłów i duszy, aż w niem znalazł pełny wyraz swego usposobienia, za przyzwoleniem intelektu usprawiedliwiając namiętności, które i bez

tego usprawiedliwienia byłyby zawładnęły jego umysłem. W mózgu jego jedna jedyna myśl pełzała z komórki w komórkę: dzikie pragnienie życia, najstraszniejsze pragnienie człowieka, napinające każdy nerw, każdy fibr najdrobniejszy. Brzydota, którą niegdyś nienawidził, ponieważ nadawała rzeczom realność obecnie z tego samego powodu stała mu się drogą. Brzydota — to jedyna rzeczywistość. Brutalna kłótnia, jaskinia ohydy, ordynarna siła życia nieokiełzanego, naga nikczemność złodzieja — wyrzutka; wszystko to w intensywniej swej realności żywsze było od najwdzięczniejszych postaci sztuki. Tej rzeczywistości potrzebował właśnie do zapamiętania. W ciągu trzech dni będzie wyzwolony.

Nagle woźnica przystanął u wylotu ciemnej uliczki. Ponad niskimi dachami i spiczastymi kominami domów piętrzyły się czarne maszty okrętów. Zwoje białej mgły, niby żagle upiorne unosły się w ciemnej przestrzeni.

Dorjan zerwał się i wyrzwał przez szybę.

— Już sam trafię — zawołał i spiesźnie zeskakując z powozu, wetknął woźnicy przyrzeczoną monetę. Sam spiesźnie popędził ku wybrzeżu. Tu i owdzie płonęła latarnia na statku kupieckim. Światło drżało i migotało w kałużach. Czerwone promienie biły od ogromnego parowca, na który ładowano węgiel.

Skierował się na lewo, oglądając się często, czy go nie gonią. Po kilkunastu minutach stanął.

przed domkiem mizernym, wtłoczonym między dwa magazyny. W jednym z piętrowych okien płonęło światło. Zbliżył się i zapukał w sposób dziwny.

Po chwili ozwały się kroki w kurytarzu i brzęk zdejmowanego łańcucha. Drzwi cicho się otwarły, a on wszedł, nie rzucając nawet okiem na drobną, skuloną postać, która się przed nim cofała pod ścianę. U końca kurytarza wisiała podarta, zielona firanka, fruująca na wietrze za każdorazowem uchyleniem drzwi. Odsunął ją i wszedł do podłużnego niskiego pokoju, który wyglądał, jak gdyby nigdy służył był za trzeciorzędą salę do tańców. Jaskrawe, migotliwe lampki gazowe, odbijające się dziwacznie w zwierciadłach, opstrzonych przez mu- chy, przytwierdzone były do ścian. Za nimi stały brudne reflektory z drążonej ceny, rzucając drżące szmaty światła. Podłoga była zasłana wiórami z drzewa tu i owdzie zdeptanemi w czarną kałużę, powstałą skutkiem rozlewanych trunków. Koło pieca przycupnęło kilku małajczyków. Grali w kości, ukazując w rozmowie rzędy lśniących zębów. W jednym kącie, ukrywszy głowę w ramionach, marynarz jakiś zasnął na stole, a przy jaskrawo pomalowanym szynkwasie, biegnącym wzdłuż jednej ze ścian, stały dwie kobiety, drwiąc ze starca, który z wyrazem wstrętu czyścił rękawy swego palta.

— Boi się, czy go nie obsiadły czerwone mrówki — zachichotała jedna, gdy Dorjan przechodził.

Starzec rozglądał się dokoła przerażony, jęcząc.

W rogu pokoju widniały schodki, wiodące do pokoju, gdzie światło było przyćmione. Dorjan poskoczył ku tym schodkom i w tejże chwili doleciała go ciężka woń opjum. Głęboko wchłonał powietrze, a nozdrza zadrżały mu w oczekiwaniu rzekoszy. Za jego wejściem, młody mężczyzna, o miękkich żółtych włosach, pochylony nad lampą, by zapalić długą, cienką fajkę, podniósł głowę i skłonił się po pewnem wahaniu.

— Ty tu Adrjanie? — szepnął Dorjan.

— A gdzież miałbym być? — odparł obcy — wszak nikt nie chce ze mną mówić.

— Sądziłem, że wyjechałeś z Anglii.

— Darlington nie wystąpi przeciw mnie. Brat ostatecznie zapłacił weksel.... Jerzy też się już ze mną nie styka... Wszystko mi jedno! dodał z westchnieniem. — Dopóki się ma to, nie potrzeba przyjaciół. Sądzę, że miałem ich już za wielu.

Dorjan drgnął i przeniósł spojrzenie na dziwaczne postacie, leżące wokół na prostych, zniszczonych materacach. Przykuwały go ich powygiginane członki, otwarte usta i szklane, nieruchome oczy. Wiedział, przez jakie nieba cierpień przechodzili i jak ponure piekła uczyły ich tajemnicy nowych rozkoszy. Byli pod tym względem szczęśliwsi od niego, pozostającego w uwięzi myśli. Pamięć żarła mu duszę, niby choroba potworna. Chwilami zdawało mu się, że czuje na sobie spojrzenie Bazylego Hallwarda. I czuł, że zostać tu

nie może. Niepokoiła go obecność Adrijana Single-
tona. Chciał być sam, gdzie go nikt nie znał. Chciał
uciec przed sobą samym.

— Idę do drugiego lokalu — rzekł po chwili.

— Ku warsztatom?

— Tak!

— Tam zapewne będzie ta warjatka. Tu jej już
nie mogli ścierpieć.

Dorjan wzruszył ramionami.

— Znużyły mnie już kobiety kochające. Bar-
dziej mnie interesują te, co nienawidzą. Przytem
lepszy materiał.

— Mniej więcej tensam.

— Dla mnie sympatyczniejszy. Ale napijmy się
czegoś. Czuję pragnienie.

— Mnie nie potrzeba niczego — mruknął młody
człowiek.

— No, chodźże ze mną.

Adrian Singleton podniósł się z wyrazem znu-
żenia i poszedł za Dorjanem do szynkwasu. Ogromny
drab w podartym turbanie i wytartym surducie,
szczerząc zęby ustawił przed nimi flaszkę wódki
i dwa kieliszki. Kobiety zbliżyły się i poczęły pa-
pląc. Dorjan odwrócił się i szepnął coś Adrianowi.

Zły uśmiech wykrzywił twarz jednej z kobiet.

— Cóżemy dziś tak strasznie dumni? — zadrwiła.

— Na Boga, nie odzywaj się do mnie — krzy-
knął Dorjan, tupiąc nogą. — Czego chcesz? — Pie-
niędzy? — Oto masz! Tylko się nie odzywaj!

Dwie czerwone iskry zamigotały na chwilę w błędnych oczach kobiety, które jednak rychło odzyskały poprzedni wyraz szklanej martwoty. Odrzuciła w tył głowę i chciwemi palcami zagarniała monetę z szynkwasu. Druga przyglądała jej się z ukosa, pełna zawiści.

— Na nic się nie zda — westchnął Adrian. — Nie mogę wrócić! Zresztą poco? Jest mi tu całkiem dobrze.

— Jeśli będziesz czego potrzebował, to mi napiszesz, nieprawdaż? — spytał Dorjan po chwili milczenia.

— Być może.

— Zatem dobranoc.

— Dobranoc — odparł młody człowiek, znów wchodząc na schodki i chustką ocierając spalone usta.

Dorjan odprowadziwszy go bolesnem spojrzeniem, skierował się ku drzwiom. Gdy odchyłał zieloną firankę, z malowanych ust kobiety, której rzucił był pieniądze, wybiegł ohydny śmiech.

— Odchodzi diabli synek — zachichotała ochryple.

— Przekłeta! Nie nazywaj mnie tak! — krzyknął. Uczyniła drwiący gest.

— Aha! Księciem z bajki trzeba cię nazywać — wrzasnęła za nim.

Na te słowa śpiący marynarz zerwał się nagle dzikim spojrzeniem powiódł dokoła. Trzask za-

mykanych drzwi doleciał w tej chwili do jego uszu. Bez namysłu rzucił się w pościg.

Dorjan Gray biegł wzdłuż wybrzeża wśród be-
ustannego deszczu. Spotkanie z Adrianem Single-
tonem silnie nim wstrząsnęło i w duchu zapytywał
się, czyli odpowiedzialność za złamanie tego mło-
dego życia istotnie spada na niego, jak to z wy-
zywającą obelgą rzucił mu był w twarz Bazyli
Hallward. Zagryzł wargi i przez kilka sekund oczy
jego wyrażały smutek. Ale w gruncie rzeczy, co
go to obchodziło? Życie zbyt jest krótkie, by czło-
wiek miał brać na siebie ciężar cudzych win. Każdy
żyje swoim życiem i za nie też odpowiada. Szkoda
tylko, że za błąd popełniony wciąż się musi płą-
cić. W stosunku z człowiekiem los nigdy nie za-
myka swych rachunków.

Zdarzają się chwile — jak twierdzą psychologo-
wie — kiedy żądz grzechu, lub tego, co świat na-
zywa grzechem, do tego stopnia owładnie naturą
ludzką, że każdy fibr organizmu, każda komórka
mózgu brzemienne są strasznymi popędami. Męż-
czyzna, jak kobieta, tracą w owych chwilach wol-
ność woli. Jak automaty biegną ku swemu strasznemu
celowi. Odjęta im jest wolność wyboru a sumienie
martwe, o ile zaś żyje, to tylko poto, by oburze-
niu i nieposłuszeństwu nadać specjalnego uroku.
Bo wszelkie grzechy — teolodzy powtarzają to
w nieskończoność — są grzechami nieposłuszeństwa.
Kiedy ów szczytny duch, owa gwiazda zaranna
złego spadła z niebios — spadła w postaci buntownika.

Bez czucia, z myślą skoncentrowaną dokoła złego, ze splugawioną wyobraźnią i duszą łaknącą buntu, Dorjan Gray pędził przed siebie. Zwolnił kroku i skręcił w ciemną uliczkę, którą tyloкратно skracał sobie drogę do osławionego lokalu, dokąd właśnie zdążał, w tejże jednak chwili uczuł się napadnętym z tyłu i zanim miał czas pomyśleć o obronie, rzucono go o mur, a brutalna pięść chwyciła go za gardło.

Z szaloną energią walczył o życie i po strasznym wysiłku udało mu się oderwać od szyi dławiące go palce. Równocześnie usłyszał trzask kurka rewolwerowego i ujrzał błyszczącą lufę skierowaną tuż w jego głowę, a przed sobą ciemną sylwetkę niskiego, przysadkowatego mężczyzny.

— Czego chcesz? — wykrztusił.

— Cicho! — szepnął mężczyzna, — jeden ruch, a strzelę ci w łeb.

— Szalony człowieku, cóż ci zrobiłem?

— Złamałeś życie Sybili Vane — brzmiała odpowiedź. — Sybila Vane była moją siostrą. Odebrała sobie życie. Wiem o tem. Za jej śmierć ty odpowiadasz. Przysiągłem cię zamordować. Szukałem cię całe lata. Nie miałem żadnej wskazówki, ani śladu. Te dwie, któreby cię mogły być opisać, umarły. Nie wiedziałem o tobie nic, prócz imienia, którem ona cię nazywała. Dziś w nocy usłyszałem je przypadkowo. Załatw swe rachunki z Bogiem, bo za chwilę staniesz przed Nim.

Dorjan Gray drżał ze strachu.

— Ja jej nigdy nie znałem — jękał. — Nigdy o niej nie słyszałem. Oszalałeś chyba.

— Lepiej zrobiłbyś, wyznając grzech, bo przysięgam, jak jestem James Vane, umrzesz za chwilę.

Nastąpiła straszna pauza. Dorjan nie wiedział co mówić lub czynić.

— Na kolana! — warknął mężczyzna. — Pozostawiam ci minutę czasu na obrachunek z Bogiem. Jeszcze dziś wyjeżdżam do Indyj, więc muszę się wprawdzie załatwić z tobą. Daję ci jedną minutę czasu. Nie więcej.

Dorjan bezwładnie zwiesił ramiona. Sparaliżowany trwogą, nie wiedział co począć. Nagle błysnęła mu dzika nadzieja.

— Czekaj! — krzyknął. — Jak dawno siostra twoja umarła? Mów prędzej!

— Osiemnaście lat — mruknął mężczyzna. — Ale czemu pytasz? Co na tem zależy?

— Osiemnaście lat! — triumfująco zaśmiał się Dorjan Gray. — Osiemnaście lat! Ustaw mnie pod latarnią i przyjrzyj się mej twarzy!

James Vane wahał się przez chwilę, nie rozumiejąc, o co chodzi. Następnie chwycił Dorjana Gray'a i powłókł go do rogu uliczki.

Pomimo słabego, na wietrze migocącego światła, spostrzegł swą straszną pomyłkę, twarz człowieka, którego miał zamordować, wykazywała całą świeżość pierwszej młodości, nieskalany czar dziecka.

Mógł mieć zaledwie dwadzieścia wiosen skończonych, tyle mniej więcej, ile miała siostra, zmarła przed dawnymi laty. Rzecz jasna: on nie mógł być tym, który spowodował jej śmierć.

Uwolnił go ze straszego uścisku i zatoczył się w tył przerażony.

— Mój Boże! Mój Boże — szepnął. — O mało, a byłbym cię zamordował.

Dorjan Gray głęboko odetchnął.

— Człowieku, o mało, a byłbyś popełnił straszną zbrodnię — rzekł mierząc go surowym spojrzeniem. — Niech ci to służy za przestrożę, że nie należy brać zemsty w swoje ręce.

— Wybaczcie, panie — mamrotał James Vane. — Pomyliłem się. Przypadkowe słowo w przeklętej nrze, zawiodło mnie na fałszywy ślad.

— Wracaj lepiej do domu i odłóż ten rewolwer. Inaczej mogłoby ci się przydarzyć co złego — rzekł Dorjan, odwracając się i powoli skręcając napowrót w uliczkę.

James Vane, skamieniały z trwogi, wciąż jeszcze stał na ulicy. Drżał od stóp do głowy. Po chwili mroczny cień, chyłkiem przesuwający się wzdłuż wilgotnego muru, wyłonił się z ciemności i podszedł ku niemu. Uczuł rękę na swem ramieniu i obejrzał się przerażony. Była to jedna z kobiet od szynkasu.

— Czemu go nie zamordowałeś? — syknęła, zbliżając swą chudą twarz do jego twarzy. — Wiedzia-

łam, że o niego ci szło, gdy wyleciałeś od Daliego. Głupcze! trzeba go było zabić! Ma moc pieniędzy, a gorszy od najgorszego.

— On nie jest tym, za kogo go brałem, a pieniędzy nie potrzebuję od nikogo. Chcę czyjegós życia. Ale ten, na którego życie godzę, musi teraz mieć jakie czterdzieści lat. A ten, co odszedł, to młode chłopię. Bogu dzięki, że nie splamilem się jego krwią.

Kobieta gorzko się zaśmiała.

— Młode chłopię! — wybuchnęła szydersko. — Człowieku, toż osiemnaście lat dobiega, jak ten ksiązę z bajki zrobił mnie tem, czem jestem.

— Kłamiesz! — krzyknął James Vane.

Wzniosła rękę ku niebu.

— Przysięgam, że mówię prawdę.

— Przysięgasz?

— Niech mnie ziemia pochłonie, jeśli mówię nieprawdę. Najgorszy jest ze wszystkich, co tu przychodzą. Powiadają, że diabłu duszę sprzedał za ładną twarz. Osiemnaście lat będzie, jak go poznałam. Mało się zmienił. Ale za to ja! — zakończyła śmiechem spazmatycznym.

— Przysięgasz na to?

— Przysięgam! — wybiegło brutalnem echem ze szkaradnych ust. — Tylko mnie nie zdradź przed nim — zajęczała. — Ja się go boję. Daj mi trochę pieniędzy na noc.

Z przekleństwem skoczył w najbliższy róg ulicy, ale Dorjan Gray już zniknął. Obejrzał się za kobietą, lecz i jej już nie było.

XVII.

W tydzień później Dorjan Gray siedział w oranżerii w Selby Royal i rozmawiał z piękną księżną Monmouth, bawiącą wraz z mężem, sześćdziesięcioletnim przeżyтым gentlemanem, w gronie innych gości. Była właśnie pora herbaty. Duża lampa stołowa, przesłonięta abażurem koronkowym łagodne światło rzucała na delikatny serwis z chińskiej porcelany i matowego srebra, koło którego krzątała się księżna, nalewając herbatę. Białe jej ręce zgrabnie ujmowały jedną filiżankę po drugiej, a pełne purpurowe usta uśmiechały się do czegoś, co jej szeptem mówił Dorjan. Lord Henry siedział oparty w fotelu z trzciny, krytym jedwabiem i przyglądał się jej z pewnej odległości. Na dywanie, koloru brzoskwiniowego, zajęła miejsce lady Narborough, udając, że słucha opowiadania księcia, opisującego jej ostatniego chrapaszczka z Brazylii, którym udało mu się wzbogacić swe zbiory. Trzech młodych panów w starannym stroju wieczorowym podawało damom herbatniki. Towarzystwo składało się z dwunastu osób, a następnego dnia mieli przybyć nowi goście.

— O czem rozmawiacie? — spytał lord Henry, przystępując do stołu i stawiając swą filiżankę. — Gładys, czy mówił ci może Dorjan o moim planie nadania wszystkiemu innych nazw? To doskonała myśl.

— Ależ Harry! Kiedy ja wcale nie chcę zmienić swego imienia — odparła księżna, podnosząc nań swe cudne oczy. — Jestem zupełnie zadowolona z dotychczasowego, a sądzę, że Mr. Gray powinienby być również zadowolony ze swego.

— Moja droga Gładys, ja też nie zamierzam zmieniać żadnego z nich. Obydwa są doskonałe. Myślałem specjalnie o kwiatach. Wczoraj zerwałem orchideję do butonierki. Była precudnie nakrapiana, czarowna jak siedm grzechów śmiertelnych. W chwili bezmyślności zapytałem ogrodnika o jej nazwę. Powiedział mi, że jest to piękna odmiana Robinsoniany, czy coś równie okropnego. Smutna to prawda, ale zatraciliśmy zdolność nadawania rzeczom pięknych nazw. A nazwy są wszystkim. Nigdy nie walczę o czyny. Chodzi mi jedynie i wyłącznie o słowa. Dlatego nienawidzę brutalnego realizmu w literaturze. Kto motykę nazywa motyką, powinienby zostać skazany na kopianie. To jedyne odpowiednie dlań zajęcie.

— Ale jak w takim razie nazywać ciebie, Harry? — spytała księżna.

— On się zowie ksiązę Paradoks — odparł Dorjan.

— Akceptuję natychmiast — zawołała księżna.

— Nie chcę o tem słyszeć — zaśmiał się lord Harry, padając na fotel. — Od etykiety uwolnić się niepodobna. Zrzekam się tytułu.

— Królewskiej Wysokości nie wolno abdykować — padła przestroga z pięknych ust.

— Mam więc bronić swego tronu?

— Tak!

— Rozdaję prawdy jutrzejsze.

— Ja przenoszę błędy dzisiejsze — odparła.

— Gładys, rozbroiłaś mnie — zawołał, zauważając jej swawolny humor.

— Tylko tarczę ci wytrąciłam, nie oszczep.

— Nigdy go nie podnoszę przeciw piękności — rzekł z gestem pełnym wdzięku.

— W tem właśnie twój błąd, Harry. Wierzaj mi. Przeceniasz piękność.

— Jak możesz mówić coś podobnego? Przyznaję, że wyżej stawiam piękność, niż dobroć. Ale nikt z równą gotowością nie przyzna, że lepiej być dobrym niż brzydkim.

— Więc brzydota jest jednym z siedmiu grzechów śmiertelnych? — zawołała księżna. — Cóż będzie z tem porównaniem wobec orchidei?

— Brzydota jest jedną z siedmiu cnót śmiertelnych, Gładys. Jako należąca do partji torysów, nie powinnaś jej lekceważyć. Piwo, biblja i siedm cnót śmiertelnych uczyniły Anglję tem, czem jest.

— A więc ty nie kochasz swej ojczyzny? —
zapytała.

— Żyję w niej.

— Tem lepiej możesz ją smagać.

— Mam-li przyswoić sobie zdanie Europy? —
pytał.

— A co o nas mówią?

— Że Tartuffe wyemigrował do Anglii i otwo-
rzył sklep.

— Czy to twój sąd, Harry?

— Odstępuję ci go.

— Mnie on niepotrzebny. Zbyt jest praw-
dziwy.

— Nie potrzebujesz się obawiać. Żaden anglik
nie uznaje prawdziwości opisu.

— Bo praktyczny.

— Raczej chytry. Przy robieniu bilansu, wy-
suwa pieniądze przeciw ograniczoności, a obłudę
przeciw występкови.

— A jednak dokonaliśmy rzeczy wielkich.

— Narzucono je nam.

— Ale unieśliśmy ciężar.

— Aż do giełdy.

Potrząsnęła głową.

— Wierzę w rasę — rzekła.

— Wykazuje przeżycie bezczelnych.

— Rozwija się.

— Mnie więcej pociąga upadek.

— A sztuka? — spytała.

- Jest chorobą.
- Miłość?
- Rozczarowaniem.
- Religja?
- Wytwornym surogatem wiary.
- Jesteś sceptykiem.
- Nie. Sceptycyzm jest początkiem wiary.
- Więc czemu jesteś?
- Wyjaśnić, znaczy ograniczać.
- Rzuć mi swe hasło.
- Nić się zrywa. Gładys, zbłąkałabyś się w labiryncie.
- Twoich słów. Mówmy o czym innym.
- Nasz gospodarz jest pięknym tematem. Przed laty nazywano go księciem z bajki.
- O, nie przypominaj mi tego! — zawołał Dorjan Gray.
- Nasz gospodarz jest dziś nieco szorstki — rzekła księżna, czerwieniejąc. — Zdaje się sądzić, że Monmouth ożenił się ze mną z motywów czy- sto naukowych, jako z najlepszym okazem współczesnego motyla.
- Ach, mam nadzieję, że pani nie wbije na szpilkę — zaśmiał się Dorjan.
- O to stara się już moja garderobiana, gdy się na mnie zirytuje.
- Ależ z jakiego powodu, księżno, może się na panią irytować?
- Z powodów najbliższych, zapewniam pana.

Gdy naprzykład wracam do domu o dziewiątej i powiadam jej, że o w pół do dziewiątej powinienabym być ubrana.

— Jakże to nierozsądne z jej strony. Powinna ją pani ostrzec.

— Nie śmiem, Mr. Gray. Ona komponuje moje kapelusze. Przypomina pan sobie, jaki kapelusz nosiłam na majówce u lady Hilstone? Pan nie pamięta, ale ładnie, że pan przynajmniej udaje, jakoby pamiętał. Otóż kapelusz ten zrobiła z niczego. Każdy dobry kapelusz robi się z niczego.

— Jak wszelką dobrą sławę, Gladys — wtrącił lord Henry. — Każde wrażenie, jakie się wywołuje w świecie, stwarza nam nieprzyjaciela. Aby być popularnym, musi się być miernotą.

— Tylko nie u kobiet — rzekła księżna wykonując głową ruch przeczący — a kobiety rządzą światem. Powiadam panu, że my nie znosimy miernot. Ktoś powiedział, że my, kobiety, kochamy łzami, jak wy mężczyźni oczyma — jeśli wogóle kochacie.

— Zdaje mi się, że nigdy nie czynimy nic innego — szepnął Dorjan.

— O, w takim razie nigdy pan nie będziesz kochał prawdziwie — odparła księżna z udanym żalem w głosie.

— Moja droga Gladys! — zawołał lord Henry. — Jak możesz twierdzić coś podobnego? Romans żyje powtarzaniem się, a powtarzanie przekształca żądę

w sztukę. Przytem każdorazowa miłość wydaje nam się zawsze jedyną. Rozmaitość przedmiotu wcale nie zmienia poczucia, że namiętność jest jedyną. Potęguje je tylko. W życiu możemy mieć co najwyżej jedno wielkie doświadczenie, a tajemnica życia polega na tem, by doświadczenie to powtarzało się jak najczęściej.)

— Nawet gdy nam zadaje rany, Harry? — po chwili milczenia spytała księżna.

— Wówczas tem więcej — odparł lord Henry.

Księżna się odwróciła i z dziwnym wyrazem spojrzała na Dorjana Gray'a.

— A co pan na to, Mr. Gray? — spytała.

— Ja księżno, zawsze się zgadzam z Harrym.

— Nawet wtedy gdy niema słuszności?

— Harry zawsze ma słuszność, księżno.

— I filozofja jego daje panu szczęście?

— Nigdy nie szukałem szczęścia. Kto szuka szczęścia? Szukałem rozkoszy.

— I znajdowałeś ją, Mr. Gray?

— Często. Nazbyt często.

Księżna westchnęła.

— Ja szukam spokoju — rzekła — a nie będę go miała dzisiejszego wieczora, jeśli natychmiast nie pójdę się przebrać.

— Przyniosę pani kilka orchidei — rzekł Dorjan i poskoczył ku oranżerji.

— Flirtujesz z nim w sposób nieodpowiedzialny — rzekł lord do swojej kuzynki. — A powinna-

byś się mieć na ostrożności. To człowiek fascynujący.

— Gdyby nim nie był, nie byłoby walki.

— Zatem grecy przeciw grekom?

— Ja trzymam z trojańczykami. Walczyli za kobietę.

— I zostali pokonani.

— Istnieje coś gorszego od klęski — odparła.

— Wypuszczasz cugle z dłoni.

— Tempo nadaje życiu rytm — brzmiała odpowiedź.

— Zapiszę to sobie dziś wieczór.

— Co?

(Że dziecko, co się spieкло, kocha ogień.)

— Mnie ogień nawet nie owionął. Mam skrzydła nietknięte.

— Do wszystkiego ich używasz, tylko nie do ucieczki.

— Odwagę przejęłam od mężczyzny.

— Masz rywalkę.

— Kogo?

Zaśmiał się.

— Lady Narborough — szepnął. — Ubóstwia go

— To mnie zatrważa. Zamiłowanie do starożytności jest dla nas romantyków, niebezpieczne.

— Romantyków? Posługujesz się metodą naukową.

— Pouczyli nas mężczyźni.

— Ale nie wyjaśnili.

— Określić ród niewieści! padło wyzwanie.

— Sfinksy bez tajemnic.

Uśmiechnęła się doń.

— Jakże długo nie wraca Mr. Gray! — zawołała. — Chodź, pomożemy mu w wyborze. Nie podałam mu nawet koloru swej sukni.

— O, Gladys, kolor sukien musisz stosować do jego kwiatów.

— Byłoby to kapitulacją przedwczesną.

— Sztuka romantyczna zaczyna się punktem kulminacyjnym.

— Muszę sobie zapewnić odwrót.

— Podług taktyki Partów?

— Oni znaleźli bezpieczeństwo w pustyni. Ja bym się na to nie zdobyła.

— Nie zawsze pozostawia się kobietom wolność wyboru — odparł.

Ale zaledwie wypowiedział te słowa, gdy z głębi oranżerii doleciał zdławiony jęk, a niemal równocześnie głuchy łoskot, jakby ciała padającego ciężko na ziemię. Wszyscy się zerwali. Księżna znieruchomiała ze strachu. Lord Henry z przerażeniem w oczach biegł przez oranżerję wśród szeleszczących liści i ujrzał Dorjana Gray'a w śmiertelnym omdleniu, leżącego twarzą na kamiennej podłodze.

Przeniesiono go natychmiast do błękitnego salonu i złożono na sofie. Niebawem przyszedł do siebie i rozglądał się wokół pomieszany.

— Co się stało? — spytał. — O tak, już sobie

przypominam Harry, czy mogę tu być bezpieczny?
Drżał całym ciałem.

— Mój drogi Dorjanie — uspakajał go lord Henry.
— Omdlałeś tylko. Nic więcej. Jesteś widocznie trochę przemęczony. Lepiej zrobisz, nie przychodząc na obiad. Ja cię zastąpię.

— Owszem, wolę przyjść — odparł, z trudem powstając z sofy. — Wolę przyjść. Nie chcę być sam.

Przeszedł do swego pokoju i ubrał się. Przy stole okazywał dziką, niepohamowaną wesołość, ale od czasu do czasu przebiegał go lęk śmiertelny na wspomnienie białej jak chusta twarzy James Vane'a, który przyciśnięty do szyby oranżerii, bacznie mu się przyglądał.

XVIII.

Następnego dnia wcale nie wychodził z domu i prawie cały czas spędził w swym pokoju. Chory był od tej trwogi przed śmiercią, równocześnie jednak zobojętniały na życie. Świadomość, że jest ścigany, śledzony, prześladowany, całkowicie nim ośladnęła. Firanki, poruszane wiatrem, wprawiały go w drżenie. Martwe liście, miotane o szyby w ołów oprawne, wydawały mu się niby jego własne zmarnowane przedsięwzięcia i dzika skrucha. Gdy zamykał oczy, widział znów za mokrą od deszczu szybą, przyczajoną twarz marynarza i jeszcze raz trwoga okropna ścisnęła mu serce.

A może to tylko mara jego wyobraźni, którą zemsta wywlokła z mroku, stawiając mu przed oczy straszne postacie kary. Życie było chaosem, ale wyobraźnia miała straszną swoją logikę. Wyobraźnia w trop za grzechem wysyłała skrucę. Wyobraźnia zespala każdą zbrodnię z jej płodem potwornym. W podłym świecie rzeczywistości, złych nie spotyka kara, ani dobrych nagroda. Powodzenie towarzyszy silnemu — słaby musi się usuwać z drogi. Oto wszystko. Przytem — gdyby jakiś obcy człowiek wałęsał się koło domu, byłaby go musiała spostrzec służba, lub stróż domowi. A gdyby na grzędach odkryto ślady stóp, ogrodnicy byłiby natychmiast zameldowali. Tak, to tylko mara wyobraźni! Brat Sybilli Vane nie wrócił, by go zamordować. Wyjechał na owym okręcie, by się gdzieś rozbić wśród lodów porą zimową. Przed nim mógł się czuć bezpiecznym. Wszak człowiek ten nie wiedział nawet, kim on był. Ocalała go maska młodości.

A jednak... Jeśli to nawet było złudzenie, jakie to straszne, że sumienie zdolne jest stwarzać podobne mary okropne i nadawać im kształty widzialne! Jakież to będzie życie, gdy dniem i nocą cienie jego zbrodni zaczną go podpatrywać z milczących kątów i szydzić ze skrytek tajemnych i szeptać mu do uszu podczas uczyty i ze snu go budzić lodowatemi palcami! Gdy myśl ta wpełzła

mu do mózgu, twarz jego okryła się bledością strachu i zdało mu się, jak gdyby powietrze nagle się oziębiło. O! w jakże dzikiej godzinie szafu zamordował swego przyjaciela! Jak straszną była sama pamięć owej sceny! Widział ją przed sobą. Każdy wstrętny szczegół ożył, spotęgowany strachem. Z czarnej otchłani czasu wyłonił się potworny, w szkarłat okryty obraz jego grzechu.

Gdy o szóstej godzinie przyszedł do niego lord Henry, zastał go we łzach. Płakał jak człowiek, któremu serce pęka.

Dopiero trzeciego dnia odważył się wyjść z domu. W czystej, wonią jodeł przesyconej atmosferze zimowego poranku było coś, napawającego go ponownie radością i zapałem życiowym. Ale nie tylko zewnętrzne warunki jego otoczenia wywołały tę zmianę. Własna jego natura podniosła bunt przeciw wyrafinowanej udręce, pragnącej bezczęści i niweczyć jego doskonały spokój. Leży to w naturze organizacyj subtelnych i wrażliwych. Ich silne namiętności muszą się ugiąć lub złamać. Zabijają człowieka lub same giną. Płytki żal i płytka miłość żyją długo. Wielka miłość i wielki ból giną od własnego nadmiaru. Nadto przekonał się, że był ofiarą smaganej trwogą wyobraźni i na lęk swój spoglądał teraz z odcieniem litości, a sporą dozą wzgardy.

Po śniadaniu przechadzał się z księżną po ogrodzie, następnie wyjechał przez park, by się

zetknąć z myśliwymi. Szron jak grudki soli świecił na trawie. Niebo wyglądało niby odwrócona filiżanka z błękitnego metalu. Cienka warstwa lodu okrywała płytkie, trzciną porośnięte jezioro.

Na skraju lasu sosnowego spotkał sir Geoffrey'a Cloustonea, brata księżny, który właśnie wystrzelał ze strzelby dwa ślepe naboje. Zeskoczył z powoziku, kazał furmanowi zawrócić i pieszo po zwiedłych i poplątanych zaroślach szedł naprzeciw swego gościa.

— I jakże Geoffrey'u powiodło się polowanie? — spytał.

— Niezbyt, zdaje się, że przeważna ilość ptaków odleciała na kontynent. Sądzę jednak, że po lunch'u powiedzie się lepiej, gdy przejdziemy na nowy teren.

Dorjan w milczeniu szedł obok niego. Ostre wonne powietrze, brązowe i czerwone smugi świetlne, migocące wśród lasu, schryple krzyki naganiaczy, rozlegające się od czasu i następujące po nich wystrzały — wszystko to upajało go, przejmując uczuciem nieokiełznanej swobody. Opanowała go beztraska szczęścia, spokojna radość.

Nagle, o jakie dziesięć metrów od nich, z gęstej kępy zeschłej trawy wybiegł zając o nastawionych czarno-żółtawych słuchach. Sadząc na tylnych skokach, zmierzał wprost ku gęstwie olch. Sir Geoffrey chwycił strzelbę, ale w zwinnych susach zwie-

rzęcia było tyle wdzięku, że Dorjan zachwycony zawołał:

— Geoffreyu, nie strzelaj! Daruj mu życie!

— Cóż za kaprys, Dorjanie! — zaśmiał się towarzysz, mierzając prosto w gęstwinę.

Odpowiedziały dwa głosy: pisk przedśmiertny zająca i straszniejszy od niego jęk przedśmiertny człowieka.

— Na Boga, trafiłem naganiacza! — krzyknął sir Geoffrey. — Cóż za dureń! Stawać naprzeciw lufy! Nie strzelać! — wołał na całe gardło. — Człowiek zraniony.

Pierwszy naganiacz nadbiegł z drągiem w rękę.

— Gdzie, jaśnie panie, gdzie on jest?

Równocześnie umilkły strzały na całej linii.

— Tu! — z wściekłością odparł sir Geoffrey, biegnąc ku gęstwinie. — Czemu, u diabła nie trzymacie ludzi w porządku? zepsuliście mi całe polowanie.

Dorjan przystanąwszy na uboczu, patrzył, jak wśród gęstwy olch odchylali długie, giętkie, ku ziemi zwisające gałęzie. Po kilku minutach wyszli, wlokąc trupa. Odwrócił się przerażony. Zdawało mu się, że gdziekolwiek stąpi, wszędzie mu towarzyszy nieszczęście. Słyszał jak sir Geoffrey pytał, czy ranny już nie żyje, a naganiacz odpowiedział twierdząco. Las nagle ożywił mu się marami. Tyśiące stóp stąpało, niezliczone głosy szumiały wokół. Duży bażant o miedziano-ceglastych piórach zatrzepotał wśród gałęzi.

Po kilku minutach, które jemu wydały się godzinami bezbrzeżnego bólu, uczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Drgnął i odwrócił się.

— Dorjanie — ozwał się lord Henry — lepiej może będzie, gdy na dziś zarządzę koniec polowania. Inaczej zrobi to złe wrażenie.

— Chciałbym, aby się już skończyło na zawsze, Harry — odparł gorzko. — Wszystko to jest szkodliwe i okrutne. Czy ten człowiek...

Nie mógł dokończyć zdania.

— Niestety — odparł lord Henry. — Cały ładunek utkwił mu w piersi. Chodź, wracajmy do domu.

Uszli jakie pięćdziesiąt metrów, nie mówiąc do siebie. Wreszcie Dorjan spojrzał na lorda Henryka i rzekł z ciężkiem westchnieniem:

— To zły omen, Harry, bardzo zły omen.

— Co? — spytał lord Henry. — Ach, myślisz o tym wypadku? Mój drogi chłopcze, na to nie ma już rady. Sam zresztą zawinił. Czemuż stawał naprzeciw łuf? Nas to wreszcie nic nie obchodzi. Nieprzyjemna historia dla Geoffreya. Zaraz rozchodzą się plotki, że się tak strzela na oślep. A w tym wypadku niesłusznie — Geoffrey strzela dobrze. Ale naczóż zda się o tem mówić!

Dorjan potrząsnął głową.

— To zły omen, Harry. Mam wrażenie, że jednemu z nas zdarzy się coś strasznego. Może mnie — dodał z wyrazem cierpienia, przesuwając dłońią po czoło.

Starszy mężczyzna się zaśmiał.

— Jedyna straszna rzecz na świecie to ennui. To grzech, za który niema przebaczenia. My jedniak nie będziemy cierpieć z jego powodu, jeśli tylko przy obiedzie nie zacznie się paplać o tej historii. Muszę im powiedzieć, by cały ten wypadek zatuszowano. A omen! (Niema omenów żadnych. Los nie wysyła heroldów. Zbyt jest na to mądry lub okrutny. Zresztą, Dorjanie, cóż mogłoby ci się zdażyć? Posiadasz wszystko, czego tylko człowiek może zapragnąć. Nie znam nikogo, ktoby się z przyjemnością z tobą nie zamienił.

— Nie znam nikogo, Harry, z kim ja bym się nie zamienił. Nie śmieję się tak, mówię prawdę. Temu nędznemu chłopu, co skonał przed chwilą, lepiej niż mnie. Ja się śmierci nie boję. Ale trwogą mnie przejmuje to zbliżanie się śmierci. Jej olbrzymie skrzydła szumią dokoła mnie w ołowianem powietrzu. Na Boga, czy nie widzisz tam za drzewem człowieka, który na mnie czyha?

Lord Henry spojrzał w kierunku, wskazanym drżącą ręką Dorjana.

— Tak, — odparł z uśmiechem — widzę ogrodnika, który cię oczekuje. Prawdopodobnie chce zapytać, jakie kwiaty pragniesz mieć dziś przy stole. Ależ drogi chłopcze, jakżeś ty śmiesznie zdenerwowany! Musisz pójść do mego lekarza, gdy wrócimy do Londynu.

Dorjan odetchnął swobodniej widząc zbliżają-

cego się ogrodnika. Ten zdjął kapelusz, przez chwilę niezdecydowanym wzrokiem mierzył lorda Henryka, poczem wyjął list i wręczył go swemu panu.

— Jaśnie pani kazała mi czekać na odpowiedź — rzekł.

Dorjan wetknął list do kieszeni.

— Proszę powiedzieć, że ja tam przyjdę — zimno odparł Dorjan.

Ogrodnik się odwrócił i szybko pobiegł ku domowi.

— Jak chętnie kobiety popełniają rzeczy niebezpieczne! — zaśmiał się lord Henry. — To jedna z właściwości, którą najbardziej u nich podziwiam. Kobieta flirtuje z każdym mężczyzną, dopóki się inni przyglądają.

— Jak chętnie ty wypowiadasz niebezpieczne rzeczy, Harry! W tym wypadku się mylisz. Księżna jest mi bardzo sympatyczna, ale jej nie kocham.

— A księżna ciebie bardzo kocha, ale jesteś jej mniej sympatyczny. Doskonała więc z was para.

— Harry, rozpowiadasz plotki, a plotki nigdy nie mają podstawy.

— Podstawą plotek jest niemoralna pewność — rzekł lord Henry, zapalając papierosa.

— Ty, Harry, poświęciłbyś cały świat dla epi-gramu.

— Świat dobrowolnie garnie się do ołtarza ofiarnego — brzmiała odpowiedź.

— Chciałbym móc kochać — zawołał Dorjan

z głębokim patosem w głosie. — Zdaje mi się jednak, że straciłem namiętność i wyzbyłem się pragnień. Zbyt się koncentruję w sobie samym. Własna moja osobistość stała mi się ciężarem. Chcę uciec, odejść, zapomnieć. Głupstwem było z mej strony, że w ogóle tu przybyłem. Mam zamiar zatelegrafować do Harvey, by jacht mój był w pogotowiu. Na jachcie człowiek czuje się bezpiecznym.

— Bezpiecznym? Przed czym, Dorjanie? Coś cię niepokoi. Czemu mi nie powiesz, co to jest? Wiesz, mógłbym ci pomóc.

— Harry, tego ci powiedzieć nie mogę — odparł smutnie. — Sam zresztą sędzę, że to tylko wytwór mej wyobraźni. Ten nieszczęśliwy wypadek zupełnie mnie wyprowadził z równowagi. Mam straszne przeczucie, że i mnie spotka coś podobnego.

— Co za nedorzecznosc!

— Mimo to nie mogę zmienić tego mojego stanu. Ach, oto i księżna. Wygląda pani jak Artemis w toalecie spacerowej. Wróciliśmy już z polowania.

— Wiem o wszystkim, Mr. Gray — odparła. — Ten biedny Geoffrey nie może się uspokoić. A pan go prosiłeś, by nie strzelał do zająca! Jakie to dziwne!

— Tak, to było dziwne, istotnie. Nie wiem, czemu to powiedziałem. Kaprys chwilowy, widocznie. Tak ślicznie wyglądało to stworzonko. Przykro mi tylko, że pani to opowiedziano. Brzydki temat...

— Przedewszystkiem nudny temat — wtrącił lord Henry. — Pozbawiony wszelkiego motywu psychologicznego. Gdyby Geoffrey był czyn ten spełnił rozmyślnie, jakże byłby zajmujący! Bardzobym pragnął znać człowieka, który popełnił prawdziwe morderstwo.

— Harry, jakie ty straszne rzeczy wygadujesz! — krzyknęła księżna. — Nieprawdaż, Mr. Gray? Harry, Mr. Gray znów się czuje źle. Mdleje!...

Dorjan z trudem opanował słabość i uśmiechnął się.

— To nic, księżno — mamrotał — tylko moje nerwy strasznie się rozstroiły. Nic więcej. Za długo chodziłem dziś rano. Nie dosłyszałem, co Harry powiedział. Czy znów coś bardzo złego? Powtórz mi to pani przy sposobności — dobrze? Teraz muszę się na chwilę położyć. Wszak pani wybaczy?

Stanęli przed wspaniałą klatką schodową, wiodącą z oranżerii na taras. Gdy drzwi szklane zamknęły się za Dorjanem, lord Henry odwrócił się i rozmarzonymi oczyma spozjrzał na księżnę.

— Bardzo go kochasz? — spytał.

Długo nie dawała odpowiedzi, zapatrzona w kraj obraz.

— Sama chciałabym to wiedzieć — rzekła wreszcie. Potrząsnął głową.

— Samowiedza jest fatalna. Niepewność czaruje. Mgła nadaje rzeczom urok.

— Można w niej zatracić drogę.

— Wszystkie drogi wiodą do jednego punktu,
moja droga Gladys.

— A tym jest?

— Rozczarowanie.

— To był mój debiut życiowy — westchnęła.

— Przyszedł wraz z koroną.

— Znużyły mnie już laury.

— Bardzo ci z niemi do twarzy.

— Tylko w życiu publicznem.

— Bolesnie odczułabyś ich brak.

— Nie chcę też uronić ani listeczka.

— Monmouth ma uszy.

— Starość jest głucha.

— Nigdy nie był zazdrosny?

— Chciałabym, aby nim był.

Rozglądał się, jakby czegoś szukał.

— Czego szukasz? spytała.

— Rękojeści twego rapiru — odparł powoli. —

Straciłaś ją.

— Zaśmiała się.

— Pozostała mi jeszcze maska.

— Potęguje czar twych oczu — brzmiała odpowiedź.

Znów się zaśmiała. Zęby jej wyglądały jak białe ziarna w szkarłatnym owocu.

Na piętze w swym pokoju leżał na sofie Dorjan Gray, każdym fibrem jego ciała wstrząsała trwoga. Życie stało się dlań nagle wstrętnym ciężarem. Okropna śmierć nieszczęsnego naganiacza,

jak dzikie zwierzę zastrzelonego w gęstwinie, wydała mu się niejako marą, zwiastującą własną jego śmierć. Omal nie zemdlął, gdy lord Henry rzucił był swój cyniczny żart.

O godzinie piątej zadzwonił na służącego i kazał spakować swe rzeczy do nocnego ekspresu odchodzącego do Londynu, a także obstałować powóz na pół do dziewiątej. Ani jednej nocy nie chciał już spędzić w Selby Royal. Nachodziły go tu złe przeczucia. Tu śmierć kroczyła w świetle słońca. Trawa w lesie obryzgana była krwią.

Później nakreślił bilet do lorda Henryka, zawiadamiając go, że jedzie do Londynu poradzić się swego lekarza. Prosi więc, by pod jego nieobecność zajął się jego gośćmi. Gdy wkładał bilet do koperty, zapukał służący, meldując, że pierwszy naganiacz prosi o chwilę rozmowy. Zmarszczył czoło i przygryzł dolną wargę.

— Niech wejdzie — rzekł po chwili wahania.

Wyjął z szuflady książkę czekową i otworzył ją.

— Przychodzicie zapewne z powodu tego niešťęśliwego wypadku? — zwrócił się do naganiacza, ujmując pióro.

— Tak, jaśnie panie.

— Czy ten biedak był żonaty? Utrzymywał kogoś z rodziny? — wypytywał tonem znudzonym.

— Jeśli tak, to nie zaznają biedy. Wyznaczę im pensję, jaką uznacie za stosowną.

— Jaśnie panie, my nie wiemy, kto jest ten

zastrzelony. Dlatego też ośmieliłem się przyjść do jaśnie pana.

— Nie wiecie, kto on jest? — obojętnie mówił Dorjan. — Co to ma znaczyć? Więc to nikt ze służby?

— Nie, jaśnie panie. Nigdy go na oczy nie widziałem. Wygląda na marynarza.

Pióro wypadło z palców Dorjana. Miał uczucie, że serce przestało mu bić.

— Marynarz? — krzyknął. — Marynarz, po-
wiadacie?

— Tak, jaśnie panie. Wygląda na marynarza, ma obydwie ramiona tatuowane a także inne oznaki.

— Czy znaleziono coś przy nim? pytał Dorjan przechylając się ku mężczyźnie i wlepiając w niego rozszerzone źrenice. — Coś, z czego możnaby wnioskować o jego nazwisku?

— Znaleziono tylko trochę pieniędzy, jaśnie panie i rewolwer. O nazwisku wnioskować z tego niepodobna. Wygląda zupełnie przyzwoicie i był widać ogromnie zahartowany. Najpewniej marynarz.

Dorjan się zerwał. Błysnęła mu straszna nadzieja. Uczepił się jej rozpaczliwie.

— Gdzie zwłoki? — zawołał. — Szybko, chcę je zaraz zobaczyć.

— Złożyliśmy je w pustej stajni w Home Farn, jaśnie panie. Ludzie nie chcą trzymać trupa w domu. Mówią, że to przynosi nieszczęście.

— W Home-Farn! Proszę zaraz zejść i kazać

mi przygotować konia. Nie, zaczekać! sam idę do stajni. Będzie prędzej.

W kwadrans później Dorjan galopem pędził wielką aleją parkową. Drzewa upiornym korowodem sunęły obok niego, a czarne cienie zdawały się raz po raz wyłaniać z mroku i znikać. Przy białej bramie koń skoczył w bok i omal nie zrzucił jeźdźca. Trzcinką śmignął go po szyi. Jak strzała pomknął w ciemną dal. Kamienie podskakiwały pod podkowami.

Wreszcie dopędził do Home-Farn. W podwórze stało dwóch ludzi. Zeskoczył z siodła i jednemu z nich rzucił uzdeczkę wierzchowca. W głębi najdalszej stajni migotało światelko. Coś zdawało mu się mówić, że tam leży trup. Pobiegnął ku drzwiom i ujął za klamkę.

Zawahał się na chwilę, czując, że stoi przed odkryciem, od którego zależy spokój lub niepokój jego życia. Poczem pchnął drzwi i wszedł.

Na stosie worów, w najdalszym kącie stajni leżały zwłoki mężczyzny. Ubrany był w grubą koszulę i błękitne spodnie. Pstrokata chusta zakrywała twarz. Obok migotała brudna świeca.

Dorjan się wzdrygnął. Czuł, że sam nie zdołałby ściągnąć tej chustki i przywołał jednego z fernali.

— Ściągnąć to z głowy — rzekł. Chcę zobaczyć twarz — dodał, opierając się o oddrzwia.

Gdy fernal spełnił rozkaz, postąpił o krok na-

przód. Okrzyk radości wypadł z jego piersi. Człowiekiem zastrzelonym w gęstwinie był James Vane.

Stał jeszcze parę minut, wpatrzony w trupa. Wracając do domu miał w oczach łzy. Wiedział, że jest już bezpieczny.

XIX.

— Na nic się nie zda twoje zapewnianie, że staniesz się dobrym — zawołał Henry, zanurzając swe białe palce w czerwonej czarze miedzianej, napełnionej różaną wodą. Ty już jesteś doskonałym. Proszę, nie zmieniaj się tylko.

Dorjan potrząsnął głową.

— Nie Harry, zbyt wiele okropności popełniłem w życiu. Ale to się już nie powtórzy. Wczoraj rozpocząłem moje dobre czyny.

— Gdzie byłeś wczoraj?

— Na wsi, Harry. Byłem sam jeden w małej oberży.

— Mój drogi chłopcze — z uśmiechem rzekł lord Henry — na wsi każdy może być dobrym. Tam niema żadnych pokus do zwalczania. Dlatego też ludzie nie mieszkający w mieście są tak nieucywilizowani. Cywilizacji nie osiąga się tak łatwo. Wiodą do niej tylko dwie drogi: kultura lub zepsucie. Ludność wiejska niema sposobności ani do jednego ani do drugiego — dlatego ulega stagnacji.

— Kultura i zepsucie! — wykrzyknął Dorjan. — Ja znałem chyba jedno i drugie. Trwogą mnie przejmuje myśl, że one mają iść z sobą w parze. Bo znalazłem dla siebie nowy ideał, Harry. Chcę się zmienić. Zdaje mi się nawet, że już się zmieniłem.

— Nie powiedziałeś mi jeszcze, na czym polega twój dobry czyn. Czy może popełniłeś ich już kilka? — pytał lord Henry, nakładając na swój talerzyk małą czerwoną piramidę nasieniem okrytych poziomek i cukrem je posypując łyżeczką, w kształcie muszli, dziurkowanej jak sitko.

— Zaraz ci opowiem, Harry. Jest to historia, o której prócz ciebie, nie mógłbym mówić z nikim. Wiesz, oszczędziłem kogoś. To brzmi jak przechwałka, ale ty mnie zrozumiesz. Była cudnie piękna i dziwnie podobna do Sybili Vane. Sądzę, że to mnie do niej pociągnęło. Wszak przypominaś sobie Sybilę? Jakie to dawne czasy! Hetty nie należała oczywiście do naszej sfery. Była tylko dziewczyną wiejską. Ale kochałem ją naprawdę. Jestem pewny, że ją kochałem. W ciągu tego czarownego maja, co tydzień wyjeżdżałem tam dwa lub trzy razy, by się z nią widzieć. Wczoraj spotkałem ją w małym sadzie. Kwiecie jabłoni osypywało jej włosy, a ona się śmiała. Dziś rano, świtem, mieliśmy zniknąć. Nagle postanowiłem ją zostawić taką śnieżno-liljową, jaką ją poznałem.

— Sądzę, Dorjanie, że nowość tego uczucia

musiała ci dostarczyć prawdziwej rozkoszy — przerwał lord Henry. — Ale mogę już sam dośpiewać sobie koniec twojej idyli. Udzieliłeś jej dobrej rady, łamiąc przytem jej serce. To był początek twego nawrócenia się.

— Harry, ty jesteś straszny! Nie wolno ci mówić tak brzydkich rzeczy. Ja jej nie złamałem serca. Naturalnie, że płakała i rozpaczała, ale nie ma na niej hańby. Może żyć jak Perdita w swym ogródku, pełnym róż i nagietków.

— I oplakiwać niewiernego Florizela — zaśmiał się lord Henry, wygodnie opierając się we fotelu. — Mój drogi Dorjanie, miewasz kaprysy wprost dziecinne. Czy sądzisz, że tę dziewczynę zadowolni już kiedykolwiek człowiek z jej sfery? Najprawdopodobniej wyjdzie kiedyś za ordynarnego furmana, lub chłopca, szczerzącego do niej zęby, ale fakt, że ciebie znała i kochała, nauczy ją gardzić swym mężem i uczyni nieszczęśliwą. Ze stanowiska moralności nie mogę też stawiać wysoko twojej abnegacji. Nawet jako początek nie jest ona imponującą. Pozatem, skąd wiesz czy Hetty już w tej chwili nie tonie w jakimś stawie, oblana światłem księżyca i otoczona wodnemi liljami.

— Harry, ja nie mogę tego słuchać! Naprzód szydzisz ze wszystkiego, a później wysnuwasz najokropniejsze tragedje. Żałuję, że ci w ogóle o tem mówiłem. Jest mi zgoła obojętnem, jak się do tego odnosisz. Wiem, że postąpiłem dobrze. Biedna

Hetty! Gdy dziś przejeżdżałem koło dworku, biała jej twarzyczka zajaśniała za szybą niby wiązanka śnieżnego jaśminu. Ale nie mówmy o tem dłużej i nie staraj się mnie przekonać, że pierwszy dobry czyn, jaki spełniłem od lat, pierwsza drobna ofiara, jaką sobie nałożyłem, w rzeczywistości miałyby się równać grzechowi. Ja się poprawię. Opowiadaj mi o sobie. Co się dzieje w mieście? Dawno już nie byłem w klubie.

— Ciągłe jeszcze mówią o zniknięciu Bazylego.

— Sądziłem, że się już znudzono tym samym tematem — rzekł Dorjan, dolewając sobie wina i lekko marszcząc czoło.

— Mój drogi chłopcze, wszak mówi się o tem dopiero od sześciu tygodni, a nasza angielska publiczność nie zdobyłaby się na taki wysilek mózgu, jakiego wymaga wyczerpanie tematu przed upływem trzech miesięcy. Ale w ostatnim czasie szczególnie im się poszczęściło. Mieli mój rozwód i samobójstwo Alana Campbella. Teraz znów tajemnicze zniknięcie artysty. Yard szkocki obstaje przy twierdzeniu, że mężczyzna w szarym płaszczu, który dziewiątego listopada wyjechał pociągiem o północy do Paryża, to Bazyli, natomiast policja francuska twierdzi, że Bazyli wcale do Paryża nie przybył. Najprawdopodobniej usłyszymy za kilka dni, że widziano go w San Francisco. Dziwna to rzecz, że ktokolwiek zniknie, bywa zawsze wiadywany w San Francisco. Musi to być jakieś

cudowne miasto. Posiada zapewne całą siłę atrakcyjną zaświatów.

— Co też, sądzisz, mogło się stać z Bazylim? — spytał Dorjan. Postawił pod światło swój kieliszek z burgundem i dziwił się, że może o tem mówić tak spokojnie.

— Nie mam pojęcia. Jeśli Bazyli Hallward chce się ukrywać, cóż to mnie obchodzi? Jeśli umarł, nie chcę o nim myśleć. Śmierć jest jedyną rzeczą, której się boję. Nienawidzę jej.

— Czemu? — znudzonym tonem spytał młody człowiek.

Lord Henry podniósł do nosa otwarty złoty flakonik i rzekł:

— Ponieważ wszystko można dziś negocjować, prócz niej jednej. Śmierć i pospolitość, oto dwa fakty dziewiętnastego wieku, nie dające się zbliżyć słowem. Dorjanie, każ podać kawę do sali koncertowej. Musisz mi grać Chopina. Ten człowiek, z którym żona moja uciekła, grał precudnie Chopina. Biedna Wiktorja. Bardzo ją lubiłem. Dom teraz dość pusty bez niej. Naturalnie, że małżeństwo jest przyzwyczajeniem, złem przyzwyczajeniem. Ale żałujemy utraty przyzwyczajeń choćby najgorszych. Tych może najwięcej. Tworzą one poniekąd nieodłączną część naszej istoty.

Dorjan nic nie odrzekł, lecz przeszedł do sąsiedniego pokoju, siadł do fortepianu i począł przebiegać palcami białą-czarną klawiaturę. Gdy wnie-

siono kawę, przestał grać i patrząc na lorda Henryka rzekł:

— Harry, nigdy ci nie przyszło na myśl, że Bazyli Hallward został może zamordowany?

Lord Henry ziewnął.

— Bazyli był ogólnie lubiany i nosił zegarek wartości trzydziestu marek. Z jakiego więc powodu mógłby być zostać zamordowany? Aby mieć wrogów, do tego był zamało mądry. Bezwątpienia, że w sztuce był genjuszem. Ale można przecie malować jak Velasquez, a być przytem zupełnie ograniczonym. Bazyli był nieco ograniczony. Tylko jeden jedyny raz był dla mnie zajmującym, mianowicie wtedy, przed laty, kiedy mi wyznał, że cię ubóstwia do szaleństwa, i że ty jesteś dominującą nutą jego twórczości.

— Ja bardzo lubiłem Bazylego — rzekł Dorjan z akcentem smutku w głosie. — Więc powiadają, że został zamordowany?

— Tak, niektóre pisma. Mnie się to jednak wydaje nieprawdopodobnem. Wiem, że w Paryżu istnieją nory okropne, ale Bazyli nie należał do tych, co tam chodzą. Nie był wcale ciekawy. To było jego wadą kardynalną.

— Harry, cobyś powiedział, gdybym ci wyznał, że ja zamordowałem Bazylego? — spytał Dorjan, bystro obserwując, jakie wrażenie wywrą jego słowa.

— Powiedziałbym ci, drogi chłopcze, że pozu-

jesz na charakter całkiem dla ciebie nieodpowiedni. Każdy występek jest pospolity, taksamo jak każda pospolitość jest występkiem. Tobie Dorjanie, nie przystoi zbrodnia. Przykro mi, jeśli obrażam twą próżność, ale zapewniam cię, że to prawda. Zbrodnia należy wyłącznie do klas niższych. Wcale ich z tego powodu nie potępiam. Można sobie wyobrazić, że zbrodnia jest dla nich tem, czem dla nas sztuka, mianowicie środkiem stwarzania sobie niezwykłych emocyj.

— Środkiem stwarzania sobie emocyj? Sądzisz zatem, że człowiek, który raz popełnił zbrodnię, mógłby ewentualnie dokonać jej po raz wtóry? Nie mów mi tego.

— O, każda rzecz staje się rozkoszą, gdy zbyt często do niej wracamy — ze śmiechem zawołał lord Henry. — Oto jedna z najważniejszych tajemnic życia. Sądzę jednak, że zbrodnia jest zawsze krokiem fałszywym. Nie powinno się nigdy czynić nic takiego, o czem nie można swobodnie mówić po obiedzie. Ale pozostawmy tego biednego Bazylego w spokoju. Chciałbym uwierzyć, że skończył tak romantycznie, jak napomknąłeś, nie mogę jednak... Przypuszczam raczej, że spadł z omnibusu do Sekwany, a konduktor zatuszował cały skandal. Tak, sądzę, że taki był jego koniec. Niemal go widzę, leżącego na wznak w brudno zielonej wodzie, a ciężkie łodzie suną ponad nim, a długie rośliny czepiają się jego włosów. Wiesz, ja nie

wierzę, aby mógł być stworzyć jeszcze coś dobrego. W ostatnich latach twórczość jego raptownie się obniżyła.

Dorjan westchnął, a lord Henry przeszedłszy się po pokoju, gładził głowę rzadkiej papugi z wyspy Jawy, dużego ptaka o szarem upierzeniu i różowej piersi, kołyszącego się na drążku bambusowym. Za dotknięciem delikatnych palców, ptak zsunął zmarszczone powieki na czarne, jak szkło przejrzyste oczy i począł się rytmicznie kołysać.

— Tak — mówił dalej lord Henry, odwracając się i wyjmując chusteczkę z kieszeni — twórczość jego całkiem się obniżyła. Jakby z niej był coś uronił. Straciła ideał. Odkąd przestałeś być jego przyjacielem, on przestał być wielkim artystą. Co was rozłączyło? Nudził cię zapewne. Jeśli tak, to nie wybaczy ci tego nigdy. Tak zawsze bywa z ludźmi nudnymi. A propos, co się stało z tym cudnym portretem, do którego mu poważałeś? Zdaje mi się, że go nie widziałem od chwili wykończenia. O, pamiętam go dokładnie. Przed laty opowiadałeś, że go wysłałeś do Selby i po drodze go zgubiono, czy skradziono. Jaka szkoda! To było arcydzieło. Przypominam sobie, że koniecznie chciałem obraz ten kupić u Bazylego. Szkoda, że mi się nie udało. Pochodził z jego najlepszej epoki. Od tego czasu prace jego wykazywały dziwną mieszaninę lichego wykonania a dobrego zamiaru, co najzupełniej uprawia artystę do

uważania się za reprezentanta sztuki angielskiej. Czy ogłosiłeś wówczas w prasie o zaginięciu tego obrazu? Powinieneś był to uczynić.

— Nie pamiętam już — odparł Dorjan. — Prawdopodobnie to zrobiłem. Jakkolwiek nigdy nie lubiłem tego obrazu. Żałuję, że do niego pozowałem. Nienawidzę nawet jego wspomnienia. Czemu o tem mówisz? Portret ten zawsze mi przypominał owe dziwne wiersze — z Hamleta podobno:

Jako obraz bólu,
Oblicze bez serca.

— Tak, taki był ten portret.

Lord Henry się zaśmiał.

— Dla człowieka biorącego życie z punktu artysty, sercem jest głowa — odparł, osuwając się na fotel.

Dorjan Gray potrząsnął głową i wydobył kilka cichych akordów.

— Jako obraz bólu, oblicze bez serca — powtórzył.

Starszy mężczyzna wygodnie oparty w fotelu, patrzył na niego z pod nawpół zmrużonych powiek.

— Nawiasem mówiąc, Dorjanie — rzekł po chwili — naco się zda człowiekowi zdobyć bodaj cały świat, jeśli... jakże to brzmi ów cytat? — Jeśli zatraci swą duszę?

Muzyka zamilkła nagle, Dorjan Gray zerwał się i bystro spojrział na przyjaciela.

— Harry, czemu o to pytasz?

— Mój drogi chłopcze — odparł lord Henry, z wyrazem zdumienia podnosząc brwi do góry — pytałem, ponieważ sądziłem, że zdołasz mi na to odpowiedzieć. Oto wszystko. Zeszłej niedzieli szedłem przez park i tuż koło marmurowego łuku natknąłem się na małą gromadkę ludzi, słuchającą takiego kaznodzieji ulicznego. Przechodząc, słyszałem jak ów człowiek piskliwym dyszkantem rzucił swym słuchaczom właśnie to pytanie. Wywołało efekt dramatyczny. Londyn jest widownią wielu podobnych scen. Słotna niedziela, niezgrabny kaznodzieja w czarnym surducie, garść bladych, chorych postaci pod dziurawym daszkiem ociekających parasoli i cudny jakiś frazes, rzucony głosem histerycznym, przenikliwym — w swoim rodzaju było to coś ładnego, niemal, że pobudzającego. Miałem wielką ochotę powiedzieć temu człowiekowi, że sztuka ma duszę, ale człowiek jej niema. Wątpię jednak, czy byłby mnie zrozumiał.

— Daj pokój, Harry. Dusza jest straszną rzeczywistością. Można ją kupić i sprzedać i zamieścić. Można ją zatruć i udoskonalić. Każdy z nas ma duszę. Ja o tem wiem.

— Dorjanie, czy jesteś tego tak pewny?

— Całkiem pewny.

— O, w takim razie jest to złudzenie. To, co się odczuwa jako pewność bezwzględna, nigdy nie jest prawdą. To właśnie stanowi fatalizm wiary i zasady romantyzmu. Ale jaki ty jesteś poważny!

Nie bądź taki poważny! Cóż mnie lub ciebie obchodzić mogą przesady naszej epoki? Nie, my zrezygnowaliśmy z wiary w duszę. Zagraj coś. Zagraj mi nokturn, a grając, opowiadaj mi cichym głosem, jakim sposobem zachowałeś swą młodość. Musisz znać jakąś specjalną tajemnicę. Wszak ja tylko o dziesięć lat starszy od ciebie, a jestem przeżyty, żółty, okryty zmarszczkami. A ty ciągle czarujący. Nigdy nie wyglądałeś może tak zachwycająco, jak dzisiejszego wieczora. Zupełnie mi przypominasz, jak wyglądałeś owego dnia, kiedy cię widziałem po raz pierwszy. Byłeś wówczas nieco kanciasty i nieśmiały, ale nadzwyczajny. Zmieniłeś się oczywiście, lecz nie pod względem powierchowości. Chciałbym, abyś mi zdradził swą tajemnicę. Dla odzyskania młodości, uczyniłbym wszystko, o ileby tylko nie wymagano odemnie ćwiczeń gimnastycznych, rannego wstawania i cnoty. Młodość! Niemasz nic, coby się z nią mogło równać. To idiotyzm, mówić o niedoświadczeniu młodości. Ja bo słucham wyłącznie sądów ludzi, znacznie młodszych odemnie. Oni mnie wyprzedzili. Życie odsłoniło im ostatnią swą tajemnicę. A starsi! Starszym stale się sprzeciwiam. Czynię to z zasady. Spytasz ich, co sądzą o aferze wczorajszej, a oni z namaszczeniem powtórzą ci opinie, jakie panowały w 1820 roku, kiedy noszono wysokie halsztuki, wszystkiemu wierzono a nic nie wiedziano. Jakże to ładne, co grasz teraz! Ciekaw

jestem, czy Chopin skomponował to na Majorce, gdy wicher jęczał koło willi, a słońca piana obryzgiwała szyby. Takie to czarująco romantyczne. Jakie szczęście, że istnieje sztuka, nie będąca naśladownictwem. Nie przerywaj. Potrzeba mi dziś muzyki. Wydaje mi się, że ty jesteś wiecznie młodym Apollinem, a ja Marsjasem, wsłuchującym się w twe melodie. Niejedną ja w sobie noszę troskę, Dorjanie, o której nawet ty nic nie wiesz. Tragedją starości nie jest to, że człowiek się starzeje, lecz to, że pozostaje młodym. Chwilami lękam się swej własnej szczeroci. O, Dorjanie, jakże jesteś szczęśliwy! Jakie cudowne miałeś życie! Wysączyłeś wszystko do dna. Winne grona zmiażdżyłeś na podniebieniu. Nic przed tobą nie pozostało ukrytem. I wszystko było dla ciebie jakby melodją muzyczną. Niczem więcej. Nie zniszczyło cię. Pozostałeś tymsamym.

— Nie pozostałem tymsamym, Harry.

— A jednak nim pozostałeś. Chciałbym wiedzieć, jak upłynie ci reszta życia. Nie psuj go rezygnacją. Teraz jesteś typem doskonałym. Nie rób się niedoskonałym. Jesteś bez błędu. Nie potrząsaj głową, sam o tem wiesz. I nie łudź się, Dorjanie. Życie jest rzeczą nerwów i fibrów, komórek powoli zbudowanych, w których kryje się myśl, дума, namiętność. Możesz się uważać za bezpiecznego, silnego. Lecz przypadkowo odcień barwy w pokoju lub na niebie porannem, specjalna

jakaś woń, niegdyś przez ciebie lubiana i wnosząca subtelne wspomnienia, wiersz zapomnianego utworu, który kiedyś czytałeś, urywek melodji, której już dawno nie grałeś — Dorjanie, wierzej mi, że od tych szczegółów zależy nasze życie. Browning raz o tem wspomina... Są chwile, kiedy nagle zaleci mnie zapach bzu, a wtedy przeżywam najdziwniejszy miesiąc mego życia. Dorjanie, pragnąłbym się z tobą zamienić. Świat przeklina nas obu, ale ciebie też równocześnie ubóstwia. I zawsze cię będzie ubóstwiał. Ty jesteś typem, którego epoka nasza pragnie, a którego się jednak boi. Tak jestem rad, że nigdy nic nie stworzyłeś... Nie wyrzeźbiłeś posągu, nie namalowałaś obrazu, nigdy się nie uzewnętrzniałaś żadnem dziełem sztuki. Sztuką twą było życie. Sonetami — dni, które przeżyłeś.

Dorjan wstał od fortepianu i palce zanurzył we włosach.

— Tak, Harry, życie było cudne — mamrotał — ale nie chcę już takiego życia. A ty nie powinieś mi mówić takich przesadnych rzeczy. Ty nie wiesz o mnie wszystkiego. Sądzę, że gdybyś wiedział wszystko, odwróciłbyś się odemnie. Śmiejesz się. O, nie śmiej się, proszę.

— Dorjanie, czemu przestałeś grać? Chodź, zagraj mi jeszcze ten nokturn. Patrz na ten duży księżyc barwy miodu, zawieszony w mrocznej atmosferze. Czeka na ciebie, masz nań rzucić

czar, a gdy zaczniesz grać, on się zbliży do ziemi. Nie chcesz? Więc chodźmy do klubu. Wczor był czarujący i w czarujący sposób go zakończymy. Jest ktoś u White'a, pragnący cię poznać — młody lord Poole, najstarszy syn Bourne-mouthe'a. Kopjuje już twoje krawaty i prosił mnie, bym ci go przedstawił. Zachwycający chłopiec. Przypomina mi ciebie.

— Spodziewam się, że tak nie jest — ze smutnem spojrzeniem rzekł Dorjan. — Ale jestem coś znużony, Harry. Nie pójdę już do klubu. Docho-dzi jedenasta, a chcę się wcześniej położyć.

— Więc nie chodź. Nigdy nie grałeś tak pięknie jak dzisiaj. W twem uderzeniu było coś cudnego. Więcej w niem było wyrazu, niż kiedykolwiek słyszałem.

— To dla tego, że chcę się stać dobrym — odparł ze śmiechem. — Już się nawet trochę zmieniłem.

— Dorjanie, względem mnie nie potrafisz się zmienić — rzekł lord Henry. — My obaj na zawsze pozostaniemy przyjaciółmi.

— A jednak zatrueś mnie kiedyś książką. Nie powinienem ci tego wybaczyć. Harry, przyrzeknij mi, że książki tej nie pożyczysz nikomu. Książka ta przynosi nieszczęście.

— Mój drogi chłopcze, ty już istotnie zaczynasz prawić morały. Niebawem zaczniesz wędrować po kraju jak nawróceni zmartwychwstańcy i ostrzegać ludzi przed grzechami, które mi się już

znużyłeś. Zbyt jesteś czarujący do tej misji. Po-
 zatem, na nic się to nie zda. Ty i ja jesteśmy
 tem, czem jesteśmy i będziemy tem, czem będzie-
 my. Powiadasz, że zostałeś zatruty przez książkę...
 Coś takiego jest wręcz niemożliwem. Sztuka nie
 wywiera żadnego wpływu na czyny. Ona właśnie
 niszczy pragnienie czynu. Jest wzniośle bezpłodną.
 Książki, które świat nazywa niemoralnemi, są właśnie
 te, które światu wykazują jego hańbę. Nic więcej.
 Nie mówmy jednak o literaturze. Przyjdź do mnie
 jutro. O jedenastej mam zamiar wyjechać konno.
 Moglibyśmy pojechać razem, a potem zabrałbym
 cię na lunch do lady Branksome. Zachwycająca
 dama, a pragnie zasięgnąć twej rady w kwestji
 zakupna gobelinów. Nie zapomnij o tem. Czy
 może odwiedzimy naszą małą księżnę Gladys? Po-
 wiada, że wcale cię nie widuje. A może cię już
 znużyła? Domyślałem się. Jej mądry języczek
 działa na nerwy. W każdym razie bądź u mnie
 o jedenastej.

— Harry, czy istotnie muszę się stawić?

— Oczywiście. Park teraz cudny. Zdaje mi się,
 że takiego bzu nie było od owego roku, kiedy
 cię poznałem.

— Dobrze. Będę więc o jedenastej — rzekł Do-
 rjan. — Dobranoc, Harry.

We drzwiach przystanął na chwilę, jakby
 jeszcze chciał coś powiedzieć. Lecz westchnął
 tylko i poszedł.

XX.

Noc była piękna i tak ciepła, że płaszcz niósł na ramieniu i nawet jedwabnej chustki nie obwiązał koło szyi. Paląc papierosa, zmierzał powoli ku mieszkaniu. Na zakręcie ulicy spotkał dwóch młodych ludzi, w stroju wizytowym. Dosłyszał jak jeden z nich szepnął towarzyszowi:

— To Dorjan Gray.

Przyszło mu na myśl, jak mu zwykle było przyjemnie, gdy na niego zwracano uwagę, gdy go obserwowano, lub o nim mówiono. Teraz nużył go dźwięk jego nazwiska. Połowa uroku małej wioski, gdzie ostatnimi czasy przebywał tak często, polegała na tem, że nikt nie wiedział, kim jest. Dziewczynie, której miłość wzbudził, powiedział, że jest biedny, a ona mu wierzyła. Raz jej powiedział, że jest złym człowiekiem, a ona zaśmiała się w odpowiedzi, twierdząc, że źli ludzie są zawsze bardzo brzydcy. Jak ona się umiała śmiać! Przypominała śmiechem swym śpiew kosa. A jaka była śliczna w swych bawełnianych sukienkach i dużych kapeluszach! Nic nie wiedziała, ale posiadała wszystko, co on utracił.

Za powrotem do domu zastał służącego, który jeszcze czuwał, czekając na niego. Kazał mu się położyć, a sam rzucił się na sofę i począł rozmyślać nad rozmaitemi sądami, wygłoszonymi w ciągu wieczora przez lorda Henryka.

Czy to istotnie prawda, że się nie można zmienić? Czuł dzikie pragnienie odzyskania nieskalanej czystości swych lat chłopięcych — swej białoróżowej młodości, jak to kiedyś określił był lord Henry. Wiedział że się zbrukał, że duszę swą skaził zepsuciem, a wyobraźnię zapłodnił potwornościami, że niszczący wpływ wywierał na swe otoczenie i uczuwał przytem radość straszną, że ludzi najpiękniejszych i najwięcej obiecujących, którzy się z nim zetknęli, doprowadził do hańby. Ale czy nie można tego odpokutować? Czy żadnej już niema nadziei?

O, w jakże przekłętej chwili dumy i zaślepienia modlił się, by portret nosił brzemię jego dni, on zaś zachował nieskażony wdzięk wiecznej młodości! Wszystkie jego błędy stąd pochodziły. Lepiej byłoby, gdyby każdy grzech jego życia spowodził był szybką, pewną karę. W karze było oczyszczenie. Modlitwa człowieka do Boga sprawiedliwego nie powinna brzmieć: »I odpuść nam nasze winy«, lecz: »Karz nas za nasze przewinienia«.

Na stole stało zwierciadło, ujęte w rządką rzeźbę, dar, otrzymany od lorda Henryka. Białe amorki z ramek uśmiechały się doń jak ongi. Wziął je do ręki, jak owej straszej nocy, kiedy po raz pierwszy zauważył zmianę na fatalnym obrazie i dzikimi, łzami przyćmionemi oczyma wpatrywał się w błyszczącą tarczę kryształu. Ktoś, kochający

go szalenie, napisał mu kiedyś płomienny list, kończący się bałwochwalczymi słowy: »Świat się cały zmienił, ponieważ ty jesteś stworzony ze złota i kości słoniowej. Linje twych ust piszą od nowa dzieje świata«. Słowa te przyszły mu teraz na myśl i raz po raz je powtarzał. I w przystępie nienawiści do własnej swej piękności, rzucił zwierciadło na ziemię i zdeptał nogami w błyszczący proch kryształowy. Piękność jego pchnęła go do zguby, piękność jego i młodość, o którą się modlił kiedyś... Gdyby nie one, życie jego mogłoby być pozostać nieskalane. Piękność jego była dlań tylko maską, młodość jego—li szarlatanerją. Bo czemuż jest młodość w najlepszym razie? Okresem zieloności, niedojrzałości, okresem płytkich kaprysów i wątplych myśli. Czemuż nosił jej szatę? Wszak młodość go zgubiła.

Lepiej nie myśleć o rzeczach minionych. Odstać się już nie mogą. Musi teraz myśleć o sobie: o swej przyszłości. James Vane pogrzebion w bezimiennym grobie na cmentarzu w Selby. Alan Campbell zastrzelił się pewnej nocy w swem laboratorium, nie zdradziwszy jednak tajemnicy, gwałtem mu narzuconej. Senzacja, jaką wywołało zniknięcie Bazylego Hallwarda rychło przeminie. Jest całkiem bezpieczny. Przytem nie śmierć Bazylego Hallwarda tak bardzo mu ciąży na sumieniu. To śmierć za życia własnej jego duszy gnębi go bezlitośnie. Bazyli namalował obraz, który mu zniszczył

życie. Tego mu wybaczyć nie mógł. Wszystko to winą portretu. Bazyli mówił doń obelżywemi słowami, a on je znosił cierpliwie. Morderstwo było szaleństwem chwilowym. A Alan Campbell? Popełnił samobójstwo z własnej woli. Tak mu się podobało. Cóż to jego ochodzi?

Nowe życie! Tak, tego mu potrzeba. Na nie czeka. Już je nawet rozpoczął. Raz przynajmniej oszczędził niewinność. I nigdy już nie zgrzeszy względem niewinności. Stanie się dobrym.

Gdy tak odtwarzał wspomnienia o Hetty, przyszło mu na myśl, czy też zaszła jakaś zmiana na portrecie w zamkniętym pokoju. Chyba już nie będzie tak straszny jak przedtem? A może — gdy życie jego stanie się czystem — może zdoła też zatrzeć na obrazie wszelki ślad złych namiętności. Może już teraz zniknęły ślady złego... Musi się przekonać.

Wziął lampę ze stołu i cicho wszedł na schody. Gdy odmykał drzwi, uśmiech radości przemknął po jego dziwnie młodocianej twarzy i na chwilę osiadł na ustach. Tak, stanie się dobrym, a ten straszny obraz przechowywany w ukryciu, nie będzie już dlań przedmiotem strachu. Miał uczucie, jakby mu już odjęto ten ciężar.

Spokojnie wszedł do pokoju i jak zwykle, zamknął za sobą drzwi. Poczem odsunął purpurową zasłonę. Krzyk bólu i oburzenia wypadł mu z piersi. Żadnej nie dojrzał — iany, tylko w oczach

płonął błysk chytrłości, a koło ust zarysowała się linja obłudy. Był taksamo wstrętny — może jeszcze wstrętniejszy niż poprzednio — a szkarłatny ton ręki wydawał się jeszcze bardziej błyszczący, jakby od świeżo rozlanej krwi. Zadrżał. Czy istotnie próżność tylko podyktowała mu jego jedyny dobry uczynek? Czy też pragnienie nowych sensacji, jak ironicznie określił lord Henry? Lub może owa żądza odegrania roli, skłaniającej nas do spełnienia czynów szlachetniejszych, niż te, które wypływają z naszej istoty? A może wszystkie te czynniki razem? Czemu jednak krwawa plama większa jest niż poprzednio? Niby rana potworna wżarła się w grube, obrzękłe palce. Krew widnieje na nogach portretu, jakby była ściekła z ręki — krew także na tej ręce, która nie trzymała noża. Wypowiadać się? Wyznać? Oddać się w ręce władzy, dać się zabić? Zaśmiał się. Myśl ta była idyotyczną. Czuł to doskonale. A jeśliby nawet wyznał — któż mu uwierzy? Nigdzie śladu zamordowanego. Wszystko, co doń należało zniszczył, sam własnoręcznie spałił jego rzeczy. Zamkniętoby go w domu obłąkanych, gdyby obstawał przy swem zeznaniu. Ale jego obowiązkiem wyznać, publicznie znieść hańbę publicznie uczynić skruchę. Istnieje Bóg, nakazujący wyznawać grzechy swe ziemi i niebu. Nie! — cokolwiek uczyni — nic nie zdoła go oczyścić, jeśli wpierv nie wypowiada się z grzechu. Z grzechu? Wzruszył ramionami. Nie wiele go obchodzi

śmierć Bazylego Hallwarda. Myślał o Hetty Merton. Gdyż to zwierciadło jego duszy, w które oto spogląda—to zwierciadło jest niesprawiedliwe. Próżność? Ciekawość? Obłuda? Czy w jego wyrzeczaniu się nie tkwiło nic więcej? Było w niem jeszcze coś innego. Tak przynajmniej mniemał. Ale kto może wiedzieć?... Nie, w jego rezygnacji nie było nic więcej. Oszczędził ją przez próżność. Przez obłudę nosił maskę dobrego. Z ciekawości próbował teraz abnegacji. Teraz to poznaje.

Ale to morderstwo! czyż pamięć jego będzie go prześladowała przez całe życie? Czyż wiecznie ma dźwigać ciężar swej przeszłości? Więc wyznać istotnie? Nigdy! Jedno tylko istnieje przeciw niemu świadectwo! Zniszczy je. Cemu oszczędzał je tak długo? Dawniej sprawiało mu przyjemność obserwowanie zmian na portrecie, śledzenie postępu jego starzenia się. Obecnie nie zaznaje już tej przyjemności. Nieraz całe noce spędzał bezsennie z powodu tego obrazu. Gdy wyjeżdżał, doświadczał trwogi szalonej, by go ktoś nie zobaczył. Obraz ten wnosił melancholję we wszystkie jego namiętności. Samo wspomnienie o nim zatruwało mu chwile radości. Był dla niego złem sumieniem. Tak, był jego sumieniem. Teraz go zniszczy.

Odwrócił głowę i ujrzał nóż, którym zamordował był Bazylego Hallwarda. Nieraz go czyścił, dopóki żadna na nim nie pozostała plama. Świecił

się i błyszczał. Nim zabił malarza, więc nim zabije też dzieło malarza i wszystko co ono oznacza. Tak, zabije przeszłość, a skoro ją zabije, stanie się wolnym. Zabije to straszne życie duszy, a bez jej potwornych ostrzeżeń będzie miał spokój. Chwycił nóż i przebił obraz.

Rozległ się krzyk i łoskot. Krzyk męki przedśmiertnej był tak okropny, że przerażona służba przebudziła się i wybiegła ze swych pokoi.

Dwaj panowie, przechadzający się na ulicy przystanęli, skierowując spojrzenia na duży dom. Po chwili odeszli i wrócili z policjantem. Ten zadzwonił kilkakrotnie, lecz nikt nie otwierał. Z wątkiem słabego światła w jednym pokoju na najwyższym piętrze, cały dom był pogrążony w ciemności. Policjant się oddalił i zajmując stanowisko pod przeciwległą kolumnadą, bacznie obserwował dom.

— Do kogo należy ten dom? — spytał starszy z mężczyzn.

— Do Mr. Dorjana Gray'a — objaśnił policjant.

Zamienili z sobą spojrzenia i zaśmiali się, odchodząc. Jeden z nich był wujem Sir Henryka Ashtona.

Służba tymczasem, nawpół ubrana, zgromadziwszy się we wspólnej sali, szeptem udzielała sobie uwag. Stara Mrs. Leaf płakała, łamiąc ręce. Franciszek blady był jak śmierć.

Może w kwadrans później, przywoławszy fur-

mana i drugiego służącego, wszedł z nimi na piętno. Zapukali raz i drugi—żadnej odpowiedzi. Wokół cisza. Po daremnych usiłowaniach wyłamania drzwi, wdarli się na dach, a stamtąd spuścili się na balkon. Okna z łatwością dały się usunąć — ramy były spróchniałe.

Gdy weszli, zobaczyli na ścianie cudny portret swego pana, jakim go znali do ostatniej chwili, w całej krasie młodości i wdzięku. Na podłodze leżał trup w stroju wizytowym, z nożem wbitym w pierś. Twarz miał zwiędłą, pomarszczoną, wstrętną. Poznali go dopiero po pierścieniach.

KONIEC.



Biblioteka Główna UMK



300000800536

mana i drugiego służącego, wszedł z nimi na piętro. Zapukali raz i drugi—żadnej odpowiedzi. Wokół cisza. Po daremnych usiłowaniach wyłamania drzwi, wdarli się na dach, a stamtąd spuścili się na balkon. Okna z łatwością dały się usunąć — ramy były spróchniałe.

Gdy weszli, zobaczyli na ścianie cudny portret swego pana, jakim go znali do ostatniej chwili, w całej krasie młodości i wdzięku. Na podłodze leżał trup w stroju wizytowym, z nożem wbitym w pierś. Twarz miał zwiędłą, pomarszczoną, wstrętną. Poznali go dopiero po pierścieniach.

KONIEC.



Biblioteka Główna UMK



300000800536

